

1965. n. 6 - 17(c)

B.D.I.C

„ORZEŁ BIAŁY“
(White Eagle)
(Aigle Blanc)



ORZEŁ BIAŁY

SYRENA

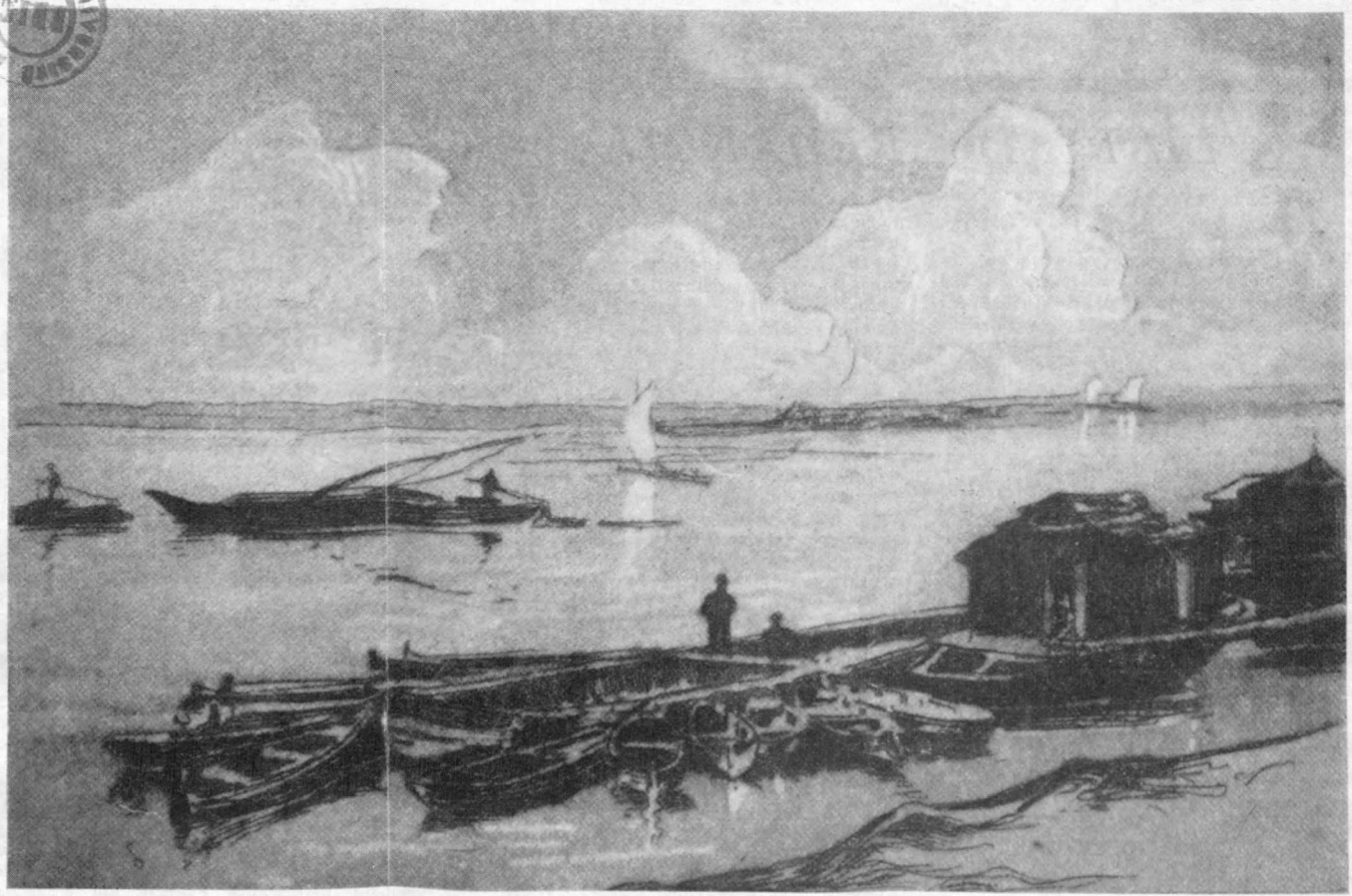
STYCZEŃ
1965

Nr 6/1153

Polska walcząca o wolność

January 1965
Price 3/6
Cena 3/6
\$ 0.50; 2.50 F.

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



PIASKARZE NAD WISŁĄ

Akwaforta z teki Zofii Stankiewicz

44

STRONY

W NUMERZE PISZĄ M.IN.: Stanisław Paczyński: „Głos dyskusyjny“ znad Sekwany • Paweł Zaremba: „Wstydlivy temat“ • Antoni Pospieszalski: Po III sesji soboru • Zbigniew Grabowski: Z cyklu: Ojczyzna Europa — Francja (I) • Zygmunt Stermiński: Żółw, komputerowy zajac — amerykańska absencja wyborcza • Józef Łobodowski: Sprawa Melchiora Wańkowicza • Stefan Mękowski: Literatura 600-lecia nauki polskiej • Zdzisław Stahl: O epigoniźmie i rocznicach • Przyjazd ks. biskupa W. Rubina do Londynu na zjazd milenijny • Stefan Wóycicki: Człowiek czy maszyna? • Kazimierz Głabisz: Siły zbrojne obozu antykomunistycznego • Jan Kowalewski: Sowieckie manewry jesienne w 1964 r. • Jan Ostrowski: Życie kulturalne polskiego Londynu • Teodozja Lisiewicz: Migawki abstrakcyjne • Czesław Dobek: Ostatnia bitwa nad Adriatykiem • Osobliwości londyńskiego „Undergroundu“ • Stanisław Piekut: Cienie Paola i Franczeski w Gradarze • Zamiast: „Między plotką i anegdotą“ • Z życia polskiego w świecie • Krzyżówka • Listy do redakcji.

FP 2156

fraszki

TEORIA I PRAKTYKA

„Dzielić się wciąż z innymi — to bogactwa cena!“ —
Rzekł milioner i wręczył żebrakowi pena.

ROZWIĄZANIE PALĄCEGO PROBLEMU

Wynalazek, który się o niezwłoczne wykonanie prosi:
To składany samochód, by go w teczce, gdy konieczne, nosić.

Rawicz

LISTY DO REDAKCJI

ZYCZENIA

Szanowny Panie Redaktorze,

Wielce zasłużonemu Wydawnictwu, reprezentującemu Polskę walczącą o Wolność, informującemu Polaków o aktualnych przemianach politycznych w świecie, broniącemu interesów narodu polskiego na wszystkich scenach politycznych świata, informującemu Polaków o bieżącej sytuacji w Polsce, prowadzącemu nieustanną i nieubłaganą walkę z reżymem, narzuconym Polsce, utrwalającemu w Polakach wiarę, że w końcu „Zwyciężymy“ w tej walce — wszystkim Jego Współpracownikom życzenia pomyślności osobistej, oraz dalszego pięknego rozwoju pisma zasyla Polskie Gimnazjum i Liceum Les Ageux we Francji — dziękując równocześnie za stałe długoletnie nadsyłanie bezpłatnie egzemplarzy wydawnictwa, co w dużej mierze ułatwia wychowywanie młodzieży szkolnej w znajomości spraw polskich.

Z głębokim szacunkiem
W imieniu szkoły

M. Jurkiewicz
dyrektor

„FRAGMENT I ODZWIERCIEDLENIE LOSÓW WYCHODZCTWA“

Szanowny Panie Rewaktorze,

Od lat jesteśmy stałymi czytelnikami i prawdziwymi przyjaciółmi „Orla Białego“. Z zainteresowaniem i sympatią śledzimy losy pisma, które są w dużej mierze fragmentem i odzwierciedleniem losów polskiego wychodźstwa na przestrzeni ponad dwudziestu lat.

W takim zespole przyczynowym i na tle tych faktów rozumiemy kolejne metamorfozy pisma, z dziennika*) w tygodnik, a obecnie w miesięcznik. Zdajemy sobie również całkowicie sprawę z tego, iż każdorazowa zmiana narzucała konieczność odpowiedniej zmiany typu informacji i charakteru publicystyki — w tym też przekonaniu pozwalamy poczynić sobie kilka sugestii własnych:

Rozumiemy, że o obecnej formie „Orla Białego“ zdecydowały dwa zespoły pokrewnych faktów: konsekwentne wrastanie pokolenia starszego w cywilizację krajów osadnictwa i nieuchronne zespolenie się z nią pokolenia młodszego. Obydwa pokolenia obsługiwane są obecnie przez prasę miejscową, dysponującą niewspółmiernie większymi środkami, niż pismo emigracji.

Jest jednak dziedzina szczególnie ważna i ciekawa, która winna stać się domeną pisma polskiego, są nią rozumie się sprawy Polski i Polaków w kraju i na obczyźnie. W tej dziedzinie „Orzeł Biały“ nie byłby zmuszony do korzystania z informacji prasy światowej, lecz odwrotnie, mógłby dostarczyć jej wielu cennych informacji i miarodajnych komentarzy.

Druga sprawa, która wydaje się nam niemniej ważna, jest aktualność informacji; zbyt wiele — zdaniem naszym — jest w „Orle Białym“ materiałów historycznych, które byłyby pożądane i cenne w piśmie specjalnie tej tematyce poświęconym, nie zaś w miesięczniku, którego podstawowym założeniem jest raczej spojrzenie na teraźniejszość i w przyszłość, niż nostalgiczny powrót ku przeszłości.

Prosimy o przyjęcie niniejszych uwag wraz z wyrazami nieklamanej sympatii i życzeniami powodzenia w spełnianiu przyszłych, niełatwych zadań.

Stowarzyszenie Polskiej Kultury
w Wiedniu

*) „Orzeł“ nigdy nie ukazywał się jako dziennik. Red.

DLACZEGO „WSTYDLIWY“ I „DYSKUSYJNY“?

Szanowny Panie Redaktorze,

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem w numerze grudniowym artykuł Stanisława Lisa pt. „Wstydlivy Temat“. Nie podobały mi się natomiast dwie rzeczy, mające tylko luźny związek z treścią artykułu, która wydaje mi się bezsporna z punktu widzenia każdego emigranta politycznego, Polaka a.d. 1965 a mianowicie: 1) Tytuł artykułu. Dlaczego „wstydlivy“ temat? Jeśli reżym za pomocą swoich dywersyjnych i infiltracyjnych instrumentów próbuje rozbić nasze organizacje społeczne i polityczne na emigracji, jeśli usiłuje podmianować niepodległościową postawę wolnej części narodu poza krajem i jeśli zaczynamy się w tym nareszcie orientować i bronić za pomocą demaskowania macek i metod reżymu... to kogo się mamy wstydzić? Siebie samych? To nonsens. Pragnąłbym bardzo, by redakcja lub autor artykułu odpowiedział na to pytanie. Jasność na tym punkcie na pewno nie zaszkodzi pismu z takimi tradycjami jak „Orzeł Biały“.

2) Redakcja zaopatrzyła artykuł zastrzeżeniem, że to „artykuł dyskusyjny“. Zwy-

czajowo i normalnie redakcje zastrzegają się w ten sposób, gdy całkowicie albo częściowo nie podzielają poglądów autora i drukują artykuł na podstawie sobie tylko wiadomych motywów. Wszystko co pisze w artykule, p. Lis — to rzeczy znane, wiadome, stwierdzone od wielu lat, o których wróble na dachach śpiewają w Londynie i poza Londynem. Strona informacyjna artykułu to fakty znane każdemu, kto nie odmawia przyjęcia ich do wiadomości. O czym tu dyskutować? Jakie zastrzeżenia rzeczowej natury może mieć redakcja w stosunku do informacyjnych przesłanek autora artykułu i wyciągniętych z nich wniosków?

Sądzę, że nie tylko mnie ale i bardzo wielu innych czytelników interesuje odpowiedź na te pytania. Jeśli redakcja zechce udzielić odpowiedzi o którą proszę to istnieje możliwość, że stanowisko redakcji spowoduje potoczenie się publicznej dyskusji na łamach jej pisma, odsłaniającej wiele „wstydlivych“ kulis reżymowej roboty rozbijacko-infiltracyjnej i oportunistycznej bierności niektórych środowisk naszej emigracji. A jeśli się tak stanie, to będzie na pewno z wielkim pożytkiem dla całej emigracji politycznej i idei, którą ona reprezentuje.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku

Tadeusz Norwid-Nowacki
Sztokholm

PESYMIZM ZBIGNIEWA GRABOWSKIEGO

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Grabowski w zakończeniu swojego szkicu o Anglii (nry z listopada i grudnia 1964) osądził swoją interesującą pracę bardzo trafnie, stwierdzając, że szkic ten wypadł krytyczniej, niż szkice o innych narodach (których nie mieliśmy jeszcze okazji przeczytać). Istotnie, niebawale pesymistyczna ocena Anglii przez p. Grabowskiego robi wrażenie braku obiektywizmu, niewątpliwie wywołanego rozczarowaniem, że W. Brytania nie spełniła po wojnie zadań, które jej postawił p. Grabowski. Śmiem wątpić, czy te zadania były celem powojennej polityki brytyjskiej i czy, wobec tego, można na tej podstawie oceniać osiągnięcia rządów angielskich. Wydaje mi się, że Anglia oceniła sytuację powojenną, tj. likwidację mocarstwowej pozycji wszystkich państw oprócz Stanów Zjednoczonych i Rosji, trafnie, i nagięła swoją linię polityczną do wymogów chwili. Z tego punktu widzenia jej usiłowania oparcia się o sojuszy amerykański są jak najbardziej zrozumiałe i logiczne.

Ogromna większość socjologicznych uwag p. Grabowskiego jest niewątpliwie w zasadzie słuszna i w znacznej mierze potwierdzona wypowiedziami socjologów, dziennikarzy, polityków i literatów brytyjskich. Niemniej, p. Grabowski użył zbyt wiele czarnego koloru w swoim szkicu. Bardzo mało miejsca zajmują oceny dodatnich stron życia i charakteru angielskiego, a ciężar gatunkowy stron ujemnych podkreślony jest w sposób chyba nieproporcjonalny. Po przeczytaniu jego szkicu ma się ochotę natychmiast przywdziać żalobę po W. Brytanii, a na to, doprawdy, chyba jest jeszcze grubo za wczesnie!

Z ciekawością oczekuję dalszych szkiców p. Grabowskiego, aby się przekonać, czy czarne okulary są stałą częścią jego ekwipunku, czy też zostały przywdziane tylko dla ochrony przed rażącym słońcem angielskim.

Wyrazy szacunku łączę

S. Wóycicki
Londyn, S.W.18



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

Nr 6/1153

STYCZEŃ 1965

Rok XXV

STANISŁAW PACZYŃSKI

„GŁOS DYSKUSYJNY“ ZNAD SEKWANY

PRZED paru laty, usiłowałem przerwać emigracyjną znowę milczenia panującą dokoła sprawy wyjazdów do Kraju, wyraziłem zdumienie z powodu wyraźnej niechęci emigracyjnych ośrodków politycznych do zajmowania się tym rzekomo drażliwym tematem, dążyłem do wywołania poważniejszej dyskusji na temat wciąż rozrastającej się reżimowej machiny do rozróbki emigracji politycznej.

Ale mój artykuł (Orzeł Biały nr 13/14 z 30.3/6.4.1961), starannie ukryty w gąszczu imponujących ogłoszeń płatnych i konkursowej krzyżówki, nie wywołał żadnego echa, jeśli w ogóle był dostrzeżony. Etykieta zaś „artykułu dyskusyjnego“, nadana mu przez Redakcję, wskazywała najwyraźniej, że kierownictwo pisma nie podziela mych poglądów i obaw.

Niezrażony tym wcale, po roku wróciłem do tego samego tematu. Przerażenie bowiem mnie ogarniało na widok spustoszenia, jakie czyniło w polskim Londynie „Mazowsze“. Artykuł zakończyłem takim oto stwierdzeniem:

„Reklama — reklamą, głupota głupotą, a prawda — prawdą. Otóż prawdą jest, że „Mazowsze“ powtórnie przyleciało do Londynu, by kontynuować rozpoczęte przed pięciu laty dzieło rozbijania moralnego centralnego ośrodka polskiej emigracji politycznej“.

Artykuł ten nie ukazał się wcale. Nie mógł się ukazać nawet jako „ar-

tykuł dyskusyjny“. Odsyłając go autorowi, Redaktor nie rozwoził się szerzej. Stwierdził krótko: „*Nie mogę drukować*“. Artykuł naturalnie się ukazał, ale... za oceanem — w nowojorskim „Nowym Świecie“. W „Orle“ więcej do tych tematów nie powracałem.

Dzisiaj, po paru latach, ten „wstydlivy temat“ podejmuje Stanisław Lis. Podejmuje go w warunkach znacznie trudniejszych, gdyż bezkarność do tego stopnia rozszalała grasujących wśród nas agentów reżimowych, iż nie kryją się wcale ze swą robotą, z otwartą przyłbicą uprawiają prawdziwy terror moralny. A znieczulica polityczna ogarnia coraz to nowe szeregi emigracyjne przybierając rozmiary prawdziwej epidemii. I biada śmiałkowi, który odważy się szukać na nią lekarstwa. Emigracyjni majstrowie politycznej ugody zmieszają go z błotem, oplwają, zaszczują, zniszczą. I zawsze znajdą jakiś „niezależny“ organ emigracyjny, który nań wyda „potępiający wyrok“. Pouczający obraz takiej roboty kreśli w paryskiej „Kulturze“ (listopad 1964) Zbigniew Jasiński, biorąc słusznie w obronę Mieczysława Iwańczaka.

Iwańczaka znałem dobrze. Po ucieczce z Kraju, przez pewien czas przebywał w Paryżu i współpracował z ówczesną „Syreną“. Czujny, wrażliwy, doskonały znawca komunistycznych metod, w lot orientował się w różnych reżimowych chwytach,

(Ciąg dalszy na str. 2)

PAWEŁ ZAREMBA



„WSTYDLIWY TEMAT“

Artykuł Stanisława Lisa o infiltracji komunistycznej w życie polskiej emigracji politycznej odezwał się głośnym echem. Nosił tytuł „Wstydlivy Temat“. Dlaczego „wstydlivy“ — zapytywano — dlaczego taki tytuł?

„Wstydlivy“ nie dlatego by należało mówić o nim szeptem, lecz dlatego, że się o nim szeptem mówi. Albo nie mówi się wcale. A mówić się powinno.

Wynikało to zupełnie jasno z treści artykułu, który zamieściliśmy w numerze grudniowym. Nie miałem żadnych wątpliwości co do znaczenia tytułu wybranego przez autora. Nie miałem też wątpliwości, że artykuł nie wyczerpuje tematu. Tematu nie można wyczerpać w jednym artykule. Choćby z tego względu, że jest ciągle aktualny w życiu polskim. Nie w życiu polskiej emigracji politycznej tylko, lecz w życiu polskim w ogóle.

Ostabilenie emigracji w sensie politycznym, zamienienie jej w młtawę „polonie“ uważają komuniści za jedno z najważniejszych zadań. Poświęcają mu mnóstwo energii. Z drugiej strony uchwycenie politycznego oblicza emigracji to czołowa konieczność dla narodu polskiego. Leży nie w interesie emigracji, to znaczy w interesie tych Polaków, którzy mieszkają poza Polską, lecz w interesie Polski, traktowanej nadrzędnie ponad dziwaczne nieco określenia: „Kraj“ i „emigracja“. Dziwaczne w moim przekonaniu dlatego, że słowom tym nawykło się nadawać często znaczenie przeciwstawne. Jest to nonsens. Przeciwstawiać możemy tylko naród polski rządowi komunistycznemu, który sprawuje fizyczną władzę nad Polską. Nie wiem czy dziewięćdziesiąt czy tylko osiemdziesiąt i pół procent Polaków traktuje władzę komunistyczną jako władzę obcą a ustrój komunistyczny jako zło. Obojętnie czy „zło konieczne“, czy „mniejsze zło“, czy tylko jako zło bez żadnych kwalifikacji. Lecz faktem jedynie istotnym jest, że nie ma w tym względzie zasadniczych różnic między Polakami, bez względu na to gdzie mieszkają. Różnica polega tylko na tym, że Polacy w granicach Polski i Polacy poza jej granicami mają inne możliwości walki z komunizmem i z obcą władzą w Polsce. I jedni i drudzy mają obowiązek możliwości te wyzyskiwać. I wyzyskują. Lepiej lub gorzej. Wiedzą o tym komuniści. Stąd

(Ciąg dalszy na str. 3)

odważnie przeciwstawiał się emigracyjnej ugodzie, bez pardonu przygważdżał różnych dwustolkowców. Z wielkim żalem żegnaliśmy go, gdy wyjeżdżał na stałe do Australii — do brata.

Otóż ten właśnie Iwańczak śmiał odważyć na alarm, gdy „dostojne czynniki emigracyjne“ — do prezydium Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii włącznie — zaczęły się kumać z przybyłym z Kraju w specjalnej misji drem Janem Frankowskim.

Jest w Kraju kilka ugrupowań, które publicystyka emigracyjna eufemistycznie określa jako „reżimowych katolików“. W rzeczywistości bowiem są to narzędzia aparatu policyjnego — sowieckiego względnie reżimowego — do walki z Kościołem. Jednym z głównych ich zadań na Zachodzie jest tworzenie wśród emigrantów politycznych różnego rodzaju „pasów transmisyjnych“, spełniających — bardzo często bezwiednie — taką czy inną funkcję w realizacji zamiarów sowieckiego imperializmu. Najważniejsze z nich są: PAX, Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne i ZNAK.

O PAX-ie pisałem już wiele. Dwóm pozostałym poświęcę w najbliższej przyszłości więcej czasu i miejsca. Dziś powiem krótko:

PAX — to bezpośredni instrument Moskwy.

Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne — to „PAX“ będący w dyspozycji polskiej kompartii.

Natomiast ZNAK — to kandydat ubiegający się u Gomulki o powierzenie mu funkcji paxowskiej. Okres terminatora ma on już poza sobą, obecnie jest w okresie zdawania egzaminu czeladniczego: do majstrów paxowskich jest mu jeszcze daleko. Ale oto otwierają się przed nim jaśniejsze perspektywy. Zdemaskowanie w Europie zachodniej PAX-u stwarza dla ZNAK-u nadzwyczaj pomyslną koniunkturę łatwiejszego wypłynięcia na szerokie wody paxowskiej roboty na Zachodzie. Zwłaszcza że drzwi wielu emigracyjnych dygnitarzy stoją zawsze otworem przed jego agentami. Uchodzą oni bowiem zazwyczaj za „dobrych“ Polaków, z którymi każdy kontakt jest „pożądany“, każda rozmowa jest

„bardzo ciekawa“. Toteż taki na przykład Jerzy Zawieyski dwoi się i troi w Londynie, w Paryżu i w Rzymie. I raz po raz wykazuje polskiej kompartii, że w dziele tworzenia emigracyjnych „pasów transmisyjnych“ czasem nawet góruje nad autentycznym, t.j. sowieckim PAX-em.

Kraje dalekie, zwłaszcza Australia — stały się domeną działania Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego. Na czele tego gomulkowskiemu PAX-u stoi — jak wiadomo — dr Jan Frankowski.

W drugiej połowie 1961 r. Politbiuro KC PZPR-u postawiło do dyspozycji Frankowskiego 1 milion złotych na „zorganizowanie podległego terenu“. Wkrótce potem „katolik“ Frankowski wyruszył w podróż — przez Japonię do Australii.

I oto — jak wynika z artykułu Zbigniewa Jasińskiego — „katolicki“ politruk znalazł w Australii nadzwyczaj podatny grunt do organizowania emigracyjnych „pasów transmisyjnych“. Frankowski odwiedzał redakcje niepodległościowych pism, objeżdżał wzdłuż i wszerz polskie skupiska, odbył kilkadziesiąt rozmów z czołowymi działaczami, nawiązał nawet pożyteczny kontakt z prezydium Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii. Widząc co się dzieje, zawsze czujny Iwańczuk zaczyna bić na alarm. Piszę Jasiński:

„W „Naszej Drodze“ (bo gdzie indziej nie pozwolono mu na to) Iwańczuk zaalarmował społeczeństwo o tajemniczych konszachtach kilku naszych „leaderów“ — z Frankowskim. W wyniku skarg, wniesionych do tu-tejszego Związku Dziennikarzy, Iwańczuk doczekał się „wyroku“. Nie zadano tu sobie trudu, by orzec, czy narady owych „leaderów“ z Frankowskim miały miejsce czy też ich nie było. Po prostu „skazano“ Iwańczuka za... naruszenie norm etycznych Związku. Dostał ostrą nagana i został zawieszony w prawach członkowskich na dwa lata“.

I dodaje:

„Na ogólnaustralijskim Zjeździe Delegatów Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii (w listopadzie 1962 r.) pod adresem Iwańczuka padły publiczne insynuacje, że — w celu podważenia autorytetu emigracyjnej „góry“ — odrobił robotę godną dyrekcji Kremla. Od stołu prezydium Rady, nad głowami setki

delegatów i gości z całej Australii, powiewano „wyrokiem“ Związku jak lilią, jak sztandarem prawości, chroniącym nieposzlakowaną biel oratorów“.

Nagle, gdy paroksyzm „patriotycznego oburzenia“ doszedł do szczytu — wybucha prawdziwa bomba. Oto znalazł się naoczny świadek, który zeznał, że sam osobiście brał udział w naradach z Frankowskim. Że brało w nich udział również prezydium. Że więc Iwańczuk pisał prawdę. Tylko prawdę — nic więcej. To oświadczenie wprowadziło zjazd w osłupienie. Ale prezydium szybko znalazło „uspokajającą“ formułę. Oto ona:

„Prezydium Rady Naczelnej, kierując się dobrem społecznym, po troskliwej a głębokiej rozprawie, postanowiło rozmów z drem Frankowskim nie ujawniać, aby nie wywoływać niepożądanych niepokojów“.

Formułka zaiste zdumiewająca. Zdaniem tego przedziwnego „prezydium“, Politbiuro polskiej kompartii w Warszawie ma prawo być poinformowane o rozmowach, bo przecież Frankowski złożył mu szczegółowy z nich raport, ale społeczeństwo emigracyjne o nich wiedzieć nie może. Nie ma prawa. A Iwańczuków trzeba tępić.

Skutki takiej „postawy niepodległościowej“ polskich „leaderów“ w Australii nie kazały długo na siebie czekać. Stwierdza Jasiński:

„Że dzisiejsza prasa polska w Australii nie dopuszcza do publikacji wypowiedzi, mogących skutecznie przeciwstawić się lokalnemu „patriotyzmowi“ spod znaku Frankowskiego.

„Że mamy tu tzw. Rząd Dusz, nie liczny, lecz aktywny i zgrany, a działający według zasad ustrojów totalnych: poza plecami i wbrew oporom społeczeństwa; i że samowola owej monopartii przedstawiana jest w tu-tejszej prasie jako wzór aktywności demokratycznej“.

W tym stanie rzeczy, w Australii „opinia publiczna zesłała w podziemie“, a tak zw. „sprawa Iwańczuka“ nie jest tylko prywatną krzywdą Iwańczuka: „Jest sprawą dalszych losów polskiego ogółu w Australii“.

Otóż to właśnie. Ale to co się dzieje w Australii, jutro może się dzieć we Francji (piszący te słowa już parę razy był „sądzony“), a pojutrze w W. Brytanii. Albo nawet odwrotnie. Dlatego dobrze się stało, że Stanisław

Łis zabrał się do swego „wstydliwego tematu“.

Nie jest to naturalnie opracowanie wyczerpujące. Szkoda, że autor pominał milczeniem obie narady paxowskie w Warszawie, poświęcone problemom emigracyjnym. Zwłaszcza że tezy odnośnie sposobów „uświadamiania emigrantów“ zostały w prasie paxowskiej opublikowane. Ich dokładna znajomość wybitnie ułatwia orientowanie się w na pozór skomplikowanych reżimowych chwytach w stosunku do emigracji politycznej.

Gruntowniejszego opracowania wymaga także akcja sowieckiego sztabu w Berlinie wschodnim, nawiązującego „stosunki kulturalne“ z emigrantami. Jak się bowiem okazuje, wszystkie reżimowe „konsulaty“ w świecie zachodnim podlegają temu sztabowi w zakresie polskich emigrantów urodzonych za Bugiem. Wszelkie posiadane o takich emigrantach wiadomości, zbierane najczęściej przy okazji udzielania wiz do Kraju (od 1 maja 1964 odnośne formularze zostały wybitnie rozszerzone) — „konsulaty“ natychmiast przekazują sowieckiemu sztabowi. Mnożą się wyjazdy emigrantów do Kraju — w sprawach rodzinnych, handlowych, turystycznych. Jada, by „powąchać“ co się tam dzieje, jak się niegdyś w Warszawie wyraziła Maria Kuncewiczowa. A przy tym trochę zarobić w paxowskim domu wydawniczym, który płaci dobrze. I nikt nie myśli o tym, że równocześnie pęcznieje kartoteka sowieckiego sztabu w Berlinie wschodnim. Wielu emigrantów we Francji, urodzonych za Bugiem — dzisiaj zaspinywanych jest bibułą sowiecką, napływającą właśnie z Berlina wschodniego. Napływającą od chwili, gdy ktoś z rodziny złożył podanie — i wypełnił formularz — o wizę do Polski.

Nie porusza też autor niebezpieczeństwa zarysowującego się na odcinku ściśle kombatanckim, a wynikającego z przygotowywanej na tym odcinku ofensywy ZBoWiD-u. Tymczasem już dzisiaj trzeba się przygotować do odparcia tej ofensywy.

Reżimowy Związek Bojowników o Wolność i Demokrację przez lata nie zajmował się sektorem emigracyjnym. Ale od chwili gdy po ostatnim zjeździe „związku“, który się odbył w końcu września 1964, prezesem został gen. Mieczysław Moczar, dzisiaj

główny szef osławionej bezpieki — właśnie sektor emigracyjny stał się jednym z najważniejszych zadań ZBoWiD-u. Na pierwszym posiedzeniu nowego zarządu, Moczar wysunął projekt powołania do życia „Komisji współdziałania z Polonią“ i określił jej zadania w sposób następujący:

„Komisja ta powinna rozwinąć swoją działalność w celu nawiązania trwałych kontaktów ze środowiskiem emigracji na całym świecie, a zwłaszcza z pokrewnymi organizacjami zrzeszającymi byłych kombatanatów, członków antyfaszystowskiego ruchu oporu, byłych więźniów i jeńców oraz inwalidów wojennych. Konieczne byłoby nawiązanie współpracy w zakresie wymiany dokumentów historycznych i opieki nad pomnikami, mogiłami i cmentarzami żołnierzy polskich, poległych na różnych frontach“.

Projekt Moczara został oczywiście przyjęty, „komisja“ powołana. I ZBoWiD już się zwrócił z apelem do „byłych żołnierzy zrzeszonych w Stowarzyszeniu Polskich Kombatanatów i do byłych Uczestników Polskiego Ruchu Oporu we Francji i w innych krajach“. Zbowidowi agenci już się pojawili we Francji; jestem przekonany, że grasują także i w innych krajach. Nowa penetracja komunistyczna zarysowuje się coraz bardziej. Tym razem pod płaszczykiem „współpracy między kombatanatami“.

* * *

Ale rozumiem, że autor nie mógł w jednym artykule dokładniej omówić całej roboty olbrzymiego aparatu sowiecko-reżimowego, którego zadaniem jest nauczenie polskiej emigracji politycznej „właściwego patriotyzmu“ i „prawidłowego myślenia politycznego“. Jego wielką zasługą jest to, że „wstydlivy temat“ podjął i odważnie go rozwijał. Mam nadzieję, że w Londynie nie będzie nowej „sprawy Iwańczaka“.

Natomiast nie rozumiem zupełnie, dlaczego Redakcja z uporem godnym lepszej sprawy stale i systematycznie odżegnuje się od „wstydlivych tematów“ i przykleja im etykietkę „artykułów dyskusyjnych“. Czas zawrócić z tej drogi. Przykład polskiej prasy w Australii jest dostatecznie pouczający. I odstraszający.

Stanisław Paczyński

„Wstydlivy temat“ (c. d. ze str. 1)

ich planowe natarcie na emigrację. I stąd ciągła aktualność tematu poruszonego w artykule „Wstydlivy Temat“. Im więcej będziemy myśleć i pisać o tym „Wstydlivym Temacie“ tym mniej będzie potrzebny tytuł: „Temat hańbiący“.

Mógłbym na tym uwagi swe zakończyć, zwłaszcza że drukuję je obok artykułu Stanisława Paczyńskiego, który jest bezpośrednim odzewem na artykuł Stanisława Lisa. Lecz muszę dodać parę słów wyjaśnienia właśnie w związku z tym artykułem. Chodzi o sprawę nagłówka: „artykuł dyskusyjny“.

Stanisław Paczyński widzi w nim kamień obraży i pomawia w niezbyt zakamulowany sposób redakcję „Orla“ o, powiedziawszy delikatnie, chowanie głowy w piasek. Przytacza przy okazji żale raczej stare. O to, że kiedyś i jego artykuł otrzymał nagłówek „dyskusyjny“. A inny artykuł w ogóle drukowany nie był, gdyż redaktor napisał „nie mogę drukować“. Ponieważ ja byłem tym redaktorem i jestem redaktorem „Orla“ dzisiaj, wypada bym odpowiedział na ten zarzut podpisując swą odpowiedź, zamiast występować bezosobowo jako „redakcja“ lub jeszcze gorzej „kierownictwo“.

Słowa „artykuł dyskusyjny“ oznaczają tylko jedno: zaproszenie do dyskusji. Spełniły swe zadanie, gdyż dyskusja się rozwinęła. Przykro mi, że nie rozwinęła się po artykule Paczyńskiego w numerze wielkanocnym z roku 1961. Nie wiem co było przyczyną. Nie sądzę wszakże by przyczyną było umieszczenie go obok krzyżówki konkursowej, która raczej ściąga uwagę a nie odstrasza czytelnika, oraz obok ogłoszeń o których nie pamiętam czy były dobrze czy źle płatne. Nie sądzę też by Stanisław Paczyński interesował się ceną jakie za nie wyznaczyła administracja „Orla“.

Powody nie wydrukowania następnego artykułu Stanisława Paczyńskiego, tego co się z kolei ukazał w nowojorskim „Nowy Świecie“, omawialiśmy dość dokładnie w rozmowie, bodaj że w kawiarni „George V“ na Champs Elysées. Przyznaje, że autor nie uznał ich za przekonujące. Lecz sądzę, że je pamięta. Rozbieżność polegała — jak to często bywa — nie na niedocenieniu istoty zagadnienia lecz na obranej metodzie. Obawiałem się „wylania dziecka z kąpielą“ by użyć angielskiego przysłowia.

Chodziło o sprawę baletu „Mazowsze“. Przyznaje, że trudno jest oddzielić szkody jakie agenci komunistyczni chcą zadać emigracji politycznej, posługując się jego wystąpiami od kon-

(Dokończenie na str. 22)

PO III SESJI SOBORU

Jak druga sesja rok temu tak i trzecia skończyła się nieprzyjemnym zgrzytem. Wówczas chodziło o deklarację w sprawie stosunku Kościoła Katolickiego do Żydów i deklarację o wolności religijnej. Tym razem deklaracja o Żydach i religiach niechrześcijańskich została szczęśliwie uchwalona, natomiast decyzja w sprawie wolności religijnej została znowu odłożona do następnej (i zapewne już ostatniej) sesji. Powód ten sam co poprzednim razem: brak czasu.

DECYZJA W SPRAWIE WOLNOŚCI RELIGIJNEJ

W opinii świata ten oficjalny powód wygląda na wygodną wymówkę. Rzeczywistym powodem — jak mówią — jest to, że Kościół Katolicki zasadę wolności religijnej wyznaje nieszczerze albo przynajmniej jest w tej sprawie głęboko podzielony. Tak zgrubsza oceniła sytuację Światowa Rada Kościołów w wydanym niedawno oświadczeniu.

Pomijając mniej lub więcej wyraźnie sugerowany zarzut nieszczerości, można powiedzieć, że ta ocena sytuacji odpowiada prawdzie i argument braku czasu bynajmniej temu nie przeczy. Kościół Katolicki przyznaje się całkiem szczerze wobec świata, że nie ma w tej sprawie jasnego i jednomyślnego zdania. Zeszlóroczny tekst deklaracji o wolności religijnej został gruntownie przerezagowany i ten nowy tekst budzi zastrzeżenia ze strony niewielkiej zresztą grupy Ojców Soboru. W świetle debaty przeprowadzonej we wcześniejszym stadium ostatniej sesji łatwo się zorientować, o co tej opozycji chodzi. Czy Kościół może deklarować pełną wolność sumienia jednostki bez rezygnowania z fundamentalnej tezy, że on — i tylko on — jest w posiadaniu pełni objawionej prawdy? Innymi słowy — by sformułować to zastrzeżenie w jego klasycznej formie — czy błąd może mieć te same prawa co prawda? Mało kto poza ową grupą około 120 biskupów opozycyjnych jest gotów zaakceptować ten argument w tej formie; większość Ojców Soboru uważa za bezprzedmiotowe mówienie o „prawach“ abstrakcyjnej prawdy; prawa mogą przysługiwać tylko konkretnym ludzkim osobom. Ale można zrozumieć obiekcje opozycji w innym sformułowaniu: Kościół nie powinien stwarzać pozorów dogmatycznego indyferentyzmu, nie może przestać być w swych własnych oczach jedynym prawdziwym Kościołem Chrystusa, a przynajmniej jego historycznym rdzeniem. Deklara-

cja o wolności religijnej wymaga bardzo precyzyjnego sformułowania i w tym świetle odłożenie decyzji wydaje się usprawiedliwione. Szkoda tylko, że zrobiono to tak niezgrabnie, stwarzając inne, bardzo niepożądane pozory.

FUNKCJONOWANIE ZASADY KOLEGIALNOŚCI

Taktyka opóźniająca 120-osobowej opozycji i niedała „rewolta“ 800 Ojców Soboru przeciw decyzji odroczenia głosowania do następnej sesji rzuciła bardzo interesujące światło na praktyczne funkcjonowanie uchwalonej na tejże sesji t.zw. zasady kolegialności. Stwierdza ona, że światowe kolegium biskupów, jako następców apostołów dzieli z papieżem jako następcą św. Piotra najwyższą i pełną władzę nad całym Kościołem.

Wielu komentatorów jest skłonnych interpretować uchwalenie zasady kolegialności jako zapowiedź demokratyzacji Kościoła na wzór zachodnich demokracji parlamentarnych. Uważa się, że w tej kościelnej demokracji Sobór, względnie jakiś przyszły senat kościoła, powinien pełnić rolę parlamentu z tym, że papież zostałby praktycznie zdegradowany do roli szefa egzekutywy lub — co gorsza — konstytucyjnego monarchy. To jest nieporozumienie. Zasada kolegialności, tak jak jest sformułowana w dekrecie „De Ecclesia“, starannie salwuje pozycje papieża, jako niezbędnego zwornika kościelnej jedności. Stwierdza bowiem równocześnie, że kolegium biskupie może sprawować swą najwyższą i pełną władzę tylko w łączności z głową kolegium, papieżem, i nigdy bez papieża. Ta klauzula nie jest, jak się czasem wydaje, zaprzeczeniem czy nawet osłabieniem kolegialności, ale jest zaprzeczeniem demokratyzmu w sensie parlamentarnym czyli automatycznych rządów większości. Zdanie większości, soborowej czy senackiej, samo w sobie nie ma żadnej mocy wiążącej i wymaga zatwierdzenia albo też może być przekreślone decyzją samego papieża. Czy zatem zasada kolegialności istotnie nie jest fikcją? Albo, mówiąc łagodniej, czy funkcja kolegium biskupiego nie zostaje ograniczona do roli czysto doradczej, pozostawiając nienaruszonym dotychczasowy absolutyzm papieski formalnie zadekretowany przez I Vaticanum?

JEDNOMYŚLNOŚĆ

I tak i nie. Różnica między kościelną zasadą kolegialności a świecką koncepcją rządów większości parlamentarnej

polega na tym, że pierwsza zakłada możliwość osiągnięcia zawsze praktycznej jednomyślności. Śmiałe założenie i — po ludzku rozumując — wysoce nierealistyczne. Rzecz w tym oczywiście, że Kościół nie może sobie pozwolić na czysto ludzkie rozumowanie bez narażenia na szwank swego najbardziej istotnego charakteru, który jest racją jego bytu, charakteru instytucji boskiej. To nierealistyczne założenie jest niemniej konieczne, jeśli zważyć, że decyzje najwyższej władzy Kościoła muszą obowiązywać wszystkich jego członków w sumieniu a nie tylko jako wiążące dyrektywy praktycznego postępowania.

I rzecz — dziwna — pierwsze próby realizacji zasady kolegialności na Soborze zdają się potwierdzać jej wykonalność. Losy samej zasady kolegialności w toku 3-letniej debaty — od mglistej koncepcji do jej obecnego sformułowania w dekrecie „De Ecclesia“ — są tego najlepszym przykładem. Na I i II sesji budziła ona gwałtowne sprzeciw ze strony poważnej soborowej mniejszości i jej sformułowanie ulegało wielokrotnym przeobrażeniom. Jeszcze w ciągu III sesji opozycja przeciw zasadzie kolegialności w głosowaniach szczegółowych mobilizowała po kilkaset głosów. W ostatecznym głosowaniu stopniała do 46 głosów i można przypuszczać, że w ostatnim dniu sesji, gdy papież uroczysto proklamował dekret „De Ecclesia“ jako oficjalną naukę Kościoła, nawet tych 46 nie odczuwało już sprzeciwu sumienia. Została osiągnięta jednomyślność.

INTERWENCJA PAPIEŻA

W ciągu ostatniej sesji zauważono, że Paweł VI kilkakrotnie interweniował w toku obrad i to interweniował na rzecz konserwatywnej mniejszości, jak gdyby pragnął podkreślić swój nadrzędny autorytet wobec pretensji soborowej większości. Zacytujmy dwa przykłady. 6-go listopada papież osobiście zjawił się w auli soborowej, by nakłonić Ojców do przyjęcia bez większych zmian projektu dekretu o misyjnej działalności Kościoła. Mimo to Sobór znaczną większością głosów projekt odrzucił i odesłał do Komisji. Drugi przykład to właśnie reakcja papieża na wspomnianą „rewoltę“ 800 biskupów przeciw odroczeniu głosowania nad deklaracją o wolności religijnej. O ile w pierwszym przypadku Paweł VI zaakceptował decyzję większości, o tyle w drugim twarzą do stanął w obronie stanowiska stosunkowo drobnej mniejszości 120 Ojców, którzy domagali się odroczenia. Zwróć-

my uwagę, że w obu przypadkach papież ostatecznie opowiedział się za odroczeniem decyzji. Zwróćmy uwagę, że taki sam był sens słynnej interwencji Jana XXIII w czasie I sesji, gdy ten (mimo niewystarczającej większości dogmagającej się tego kroku) kazał odesłać do komisji pierwszą redakcję dekretu zwanego wówczas „O źródłach Objawienia” (dekret ten wrócił na plenum Soboru dopiero w ciągu III sesji w całkowicie zmienionej formie i pod charakterystycznie odmiennym tytułem „O Objawieniu Bożym”). Paweł VI — podobnie jak Jan XXIII, mimo że obu im zależało i zależy na szybkim zakończeniu kosztownego Soboru, interweniuje ostatecznie na rzecz dalszej dyskusji i tym samym na rzecz ostatecznej jedno-myślności. Papież nie pozwala przechodzić do porządku nad obiektywami opozycji drogą samego głosowania. To jest procedura zbyt po ludzku parlamentarna. Papież żąda od większości Ojców, by przekonali a od mniejszości żąda przekonania. To jest właściwe funkcjonowanie zasady kolegialności w praktyce. I to jest droga do niezbędnej supremacji osobistego przekonania w całym ciele Kościoła.

W szerszym kontekście całości prac Soboru jest to jeden z dwóch kierunków odnowy Kościoła: droga prowadząca do samego wnętrza wolnego sumienia każdej osoby ludzkiej. Drugi kierunek prowadzi do Ewangelii i osoby Chrystusa i w Nim spotyka się z pierwszym. Na linii pierwszego kierunku leży konstytucja „De Ecclesia”, dekret „O Ekumenizmie” dotyczący jedności Kościoła z innymi wyznaniem oraz deklaracja o Żydach i religiach niechrześcijańskich. Te dokumenty już uchwalone i ogłoszone — to etap dotychczas przebyty.

Na dalszym etapie tego kierunku leży wielki schemat „O Kościele w świecie naszych czasów” i deklaracja w sprawie wolności religijnej i wolności sumienia. Na linii drugiego kierunku leży ta sama konstytucja „De Ecclesia” oraz dekret o Kościołach Wschodnich pozostających w łączności z Rzymem, również już uchwalony, pozostaje do uchwalenia schemat „O Objawieniu Bożym”.

„De Ecclesia” jest zatem centralnym punktem wyjścia odnowy; spotkanie Objawienia Bożego z wolnym sumieniem człowieka jest tym punktem dojścia o który się modlimy.

A. Pospieszalski

**CZYTAJ
POLSKĄ
KSIĄŻKĘ**

IRENA SAS

SCHEMAT 13. I WIZYTA PAWŁA VI W LIBANIE

Jest zrozumiałe, że Kardynał Bea, referent Schematu nr 13 na Soborze, z uporem podkreślał w swojej motywacji, przed i po głosowaniu, że Schemat ten jest dyktowany wyłącznie względami natury religijnej i tolerancji wobec nie-chrześcijań. Oczywiście, że Kardynał reprezentował tu oficjalną tezę Kościoła, a jego wywody wśród szerokich mas chrześcijańskich Europy i Ameryki zostały przyjęte niemal bez dyskusji. Dla obiektywnego obserwatora jednak spraw niepolitycznych na tym naszym świecie nie ma, a jeśli idzie o Schemat nr 13, to w aspekcie bezpośrednio zainteresowanych, a więc w aspekcie Wschodu, a w szczególności świata Islamu, jest on wybitnie polityczny. Jest tak właśnie, że względu na konflikt o Palestynę, gorzej od lat między Żydami a Arabami. W tej sytuacji fala zdziwienia, niezadowolenia, zawodu, oburzenia a wreszcie gniewu, która podniosła się w świecie Islamu, a w szczególności w krajach arabskich, raz jeszcze dowiodła, że wszelka scholastyka nie jest zdolna pozbawić Schematu nr 13 jego charakteru politycznego w oczach ludzi Wschodu. Nie znaczy to by świat Islamu usiłował a priori kwestionować dobrą wolę Soboru, czy w ogóle Kościoła Katolickiego (chociaż i takie głosy gdzieś w Egipcie np. dały się słyszeć). Lecz cierpi on na ciężki kompleks krzywdy nieodkupionej, a równocześnie jest przekonany, że potęga Izraela i identyfikowanych z nim Żydów, jest olbrzymia. Toteż wszystko, co zostanie powiedziane i uczynione na korzyść Izraela, uważane jest, w symplifycznym sposobie oceny, cechującym Arabów, jako wyraz poparcia dla Izraela i Żydów i równocześnie akt wrogi w odniesieniu do Islamu, a przynajmniej w odniesieniu do 70 milionów Arabów.

W ten sposób dyktowany niewątpliwą troską o pokój powszechny, choć w oczach laików często budzący wrażenie aktu nie całkiem przemyślanego i nie dość przeanalizowanego, a niepozbawionego być może pewnych inspiracji stronniczych (co wynika zwłaszcza z relacji o tych, którzy na Soborze go bronili) Schemat nr 13 wciąga Sobór, a więc i Kościół, w labirynt spraw delikatnych i kontradykcyjnych. Co więcej, w dalszym rozwoju może doprowadzić on do niebezpiecznego zaognienia między Rzymem a Islamem. Komentarze jor-

dańskie, opierające się głównie na stanowisku, jakie w odniesieniu do Schematu zajęli prawosławni, broniąc tradycyjnego punktu widzenia w odniesieniu do winy ukrzyżowania Chrystusa, są bardzo wymowne i pozwalają przewidzieć, jak daleko zadrażnienie mogłoby dojść, gdyby go nie złagodzić. Wypowiedzi czynników prawosławnych w tym względzie, też nie są zgoła dwuznaczne i demaskują zamiary ich dalekie od podtrzymania stanowiska Soboru, a zgodne z linią jaką cerkiew prawosławna zajmuje zawsze, gdy grozi starcie między Zachodem a Wschodem, w tym wypadku reprezentowanymi przez Sobór i Arabów. Jeśli dodać, że praktycznie, po oficjalnym ogłoszeniu, że Schemat nr 13 został przegłosowany na II Soborze przed przewianiem ostatniej sesji, szereg czynników kościelnych, choć nie właściwe władze Soborowe, wydało uspokajające komunikaty, stwierdzające, że Schemat raz jeszcze na następnej sesji będzie głosowany, to wizyta Pawła VI w Libanie, w drodze do Bombaju, nabiera specjalnego znaczenia.

Podłożem tej niespodziewanej wizyty Papieża w Libanie, tym jedynym spośród krajów arabskich, gdzie rozum góruje nad uczuciem i namiętnością, jest niewątpliwie sprawa Schematu nr 13. Przyjęcie jakie Papieżowi Pawłowi VI w Libanie zgotowano, mimo krótkości Jego pobytu na tej ziemi, po której stąpił Chrystus, dowiodły, że ta wizyta Ojca Świętego była również potrzebna, jak ta z początkiem roku złożona w Jerozolimie. Pod wpływem siów wypowiedzianych przez Namiestnika Chrystusowego, a równoległe z uspokajającymi komentarzami, świat arabski powściągnął swój gniew i zdecydował się czekać. Obudziła się znów nadzieja, że sprawa dla Islamu i dla Arabów najwyższej wagi, ze względu na swój uczuciowy ciężar gatunkowy, będąca dla nich probierzem intencji Kościoła, zostanie rozstrzygnięta z umiarem, na jaki zasługuje słuszne poszanowanie dla interesów nie jednej tylko, a dwu stron. Spieranie się, czy Schemat nr 13 jest aktem związanym wyłącznie z religią, czy też zahacza o politykę jest w tych warunkach całkowicie bezprzedmiotowe, jako że szukać się musi tam, gdzie toczy się nieustanna walka, rozwiązań praktycznych a nie tylko teoretycznych.

FRANCJA (I)

Drukujemy ciąg dalszy wyjątków ze studium Zbigniewa Grabowskiego, które ma się pojawić w formie książkowej w ciągu r. 1965, a nosić będzie tytuł „Ojczyzna Europa“. W dwóch poprzednich numerach ogłosiliśmy wyjątki z rozdziału o Anglii; w nrze styczniowym i lutowym mamy wyjątki z rozdziału o Francji. Zachowujemy oryginalną numerację podrozdziałów.

(1) — PARYŻ, MIASTO ŻYCZLIWE

Rodzice opowiadali nam bardzo często w dobie naszego dzieciństwa, że gdy się postarzą to wyjadą do Paryża na spędzenie swoich sędziwych lat. W wielu rodzinach polskich — a na pewno i w licznych rodzinach na całym świecie — zakorzeniło się przekonanie, że Paryż jest miastem wymarzonym zarówno dla ludzi młodych, jak i dla tych, którzyby chcieli już tylko wspominać. Nie było to li-tylko polskie złudzenie, albowiem język niemiecki ukuł powiedzenie o szczęśliwym życiu, które określał słowami: „Der Gott in Frankreich“ (Bóg we Francji.) Był to zatem synonim boskiego zaiste życia. W sukurs temu powiedzeniu przyszła wersja amerykańska — przefiltrowana przez paradoks Oscara Wilde'a,* że dusze dobrych Amerykanów idą po śmierci do Paryża. Amerykanie nie czekali jednak na śmierć, by zwiedzić Pola Elizejskie — najlepsi ich pisarze rozbijali swoje namioty w Paryżu, aby przypomnieć tylko Gertrudę Stein, Ernesta Hemingway'a, Sinclaira Lewis'a i Henry James'a; a obok tych sławnych i wybitnych miliony zwykłych turystów.

Niestety, czasy zmieniły się i dla wielu obywateli krajów nie tak bogatych jak Ameryka pozostaje już tylko nadzieja, że dusze ich krążyć będą po śmierci po Polach Elizejskich, albowiem utrzymanie ciała w dzisiejszym Paryżu stało się zbyt kosztownym zabiegiem. Jest rzeczą wprost nie do pojęcia, że Francja, która była do czasu wojny jednym z najtańszych krajów w Europie, należy dzisiaj do najdroższych. Z rozrzewnieniem wspominam się czasy przedwojenne, kiedy to za pokój w hotelu w Quartier Latin płacono około 200

*) Kto wie, czy Wilde nie był autorem tego bon mot? Za tęż taką przemawia świadectwo Ady Levenson („Sphinx“); patrz książkę jej córki o „Sfinksie“.

franków miesięcznie, kiedy apartament na Riwierze kosztował miesięcznie 17/6 szyl. na co sobie mógł pozwolić każdy chyba Anglik, kiedy budżet miesięczny studenta wahał się w granicach od 1.200 do 1.500 franków i kiedy bilet do teatru kosztował 10 franków, a dobry obiad 15 do 20 franków.

Ta zmiana w kosztach utrzymania Francji, ten postęp de la vie chère — drogiego życia, stał się jedną z najbardziej niepomysłnych zmian, jaką obserwować możemy w Europie powojennej. Oczywiście Paryż jest dalej siedliskiem artystów i ludzi, którzy jakimś cudem egzystują, organizując całe łańcuchy pożyczek — ale już nie jest Mekką dla olbrzymich rzesz studentów i nie może stanowić marzenia tysięcy emerytów. Dzisiaj Francuzi uciekają z własnego kraju nie tylko do Hiszpanii, gdzie jest tanio, ale nawet — o dziwo — do Szwajcarii, która przed wojną uchodziła za kraj wyjątkowo drogi. Na pewno nie tylko niskie ceny na obcych Riwierach i w obcych górach zwabiają Francuzów — ale także i nowo obudowana ciekawość świata, która dawniej niemal nie istniała we Francji. Przeciętny Francuz uważał, że jego ojczyzna jest skończoną doskonałością jeżeli chodzi o różnorodność krajobrazu i świetność kuchni oraz sztukę życia. Nie widział powodu do podróży do obcych krajów i żył szczęśliwie, chociaż często i burzliwie w swoim kręgu i w swoich horyzontach. Dzisiaj Francja — zwłaszcza młodzież francuska — nabrała ochoty do podróży i zaczyna powoli rozumieć, że poza *douce France* są jeszcze kraje i widnokręgi godne poznania.

Ale Francja dzisiejsza i Paryż obecny nie są już tym, czym były i to tak niedawno jeszcze, bo 25 lat temu. Paryż dzisiejszy wydaje się miastem niecierpliwym i nerwowym, gdzie politesse — grzeczność, należy do przeszłości, gdzie cudzoziemcy nie są traktowani z dawną pobłażliwością i gdzie brutalność życia dochodzi częściej do głosu aniżeli za dawnych lat. Pomimo odnowienia i odświeżenia gmachów publicznych, poczynając od Izby Deputowanych a skończywszy na Operze i *Comédie Française*, w Paryżu dzisiejszym spotykamy narosłe od wieków chyba zaniedbania, zarysowane i popękane ściany domów, kamienice wołające o „zrobienie toalety“. Te zaniedbania staną się oczywiste, gdy wyjedziemy z

kręgu bulwarów i zapuścimy się na przedmieścia. Na Paryżu odbija się groźnie fakt, że w latach międzywojnia budowano w stolicy Francji bardzo niewiele, a po wojnie zabrano się przeważnie do gmachów reprezentacyjnych. Paryż cierpi na przeraźliwą ciasnotę mieszkaniową, ceny mieszkań przedwojennych są komicznie niedostateczne, co sprawia, że *immeubles* — nieruchomości Paryża nie są odnawiane, natomiast ceny nowych mieszkań, które kupuje się na własność, są astronomicznie wysokie, wyższe nawet aniżeli w Londynie.

Ta ciasnota mieszkaniowa, stała zwyżka cen, która stawia Francję na czołowym bodaj miejscu w Europie w dziedzinie postępu drożyzny — podczas gdy Szwajcaria i NRF znajdują się na szarym końcu — to wszystko przyczynia się do stanu ustawicznego podrażnienia i zdenerwowania, jaki cechuje Paryż dzisiejszy. Dla przybysza zakochanego w Paryżu, czy może raczej wizji Paryża jego młodości, ta konfrontacja wczoraj z dziś jest niezwykle bolesna. Żadne miasto na świecie nie stanowiło tyle dla Europejczyka, co Paryż i to w sensie tak wszechstronnym. Było to bowiem miasto-ideał, gdzie można było zaspokoić wszelkie głody i to zarówno jeżeli chodzi o *nouritures terrestres*, by użyć tytułu powieści André Gide'a, jak i pokarmów duchowych. Paryż uczył wielu z nas pracy, wytężonej i intensywnej, uczył rozrywki, uczył sztuki, sztuki życia przede wszystkim. W tym mieście było wszystko na wszystkie żądania i była swoboda nieznaną innym stolicom. Było to miasto pobłażliwe i życzliwe, symbol życia w tym sensie, że łączyło ono wszelkie sprzeczności. Żadne miasto europejskie nie miało tej zdolności w tworzeniu atmosfery, a jak słusznie powiedział myśliciel niemiecki von Keyserling, nawet głupiec, gdy przyjedzie do Paryża, nabiera polotu i *esprit*.

(2) — POLACY I FRANCJA

Dzisiaj, niestety, ta wizja Paryża-mikrokosmosu, miasta, które zaspokaja wszystkie potrzeby i wszystkie tęsknoty, nie przystaje już do o wiele twardszej rzeczywistości. Francja roku 1964 nie jest na pewno Francją ani przedwojenną, ani Francją de la belle époque — wspaniałej epoki. Na tym kraju widać wyraźnie i boleśnie szramy upokorzeń i klęsk, upust krwi i upust nadziei. Na naszych oczach dokonały się bolesne operacje utraty nie tylko posiadłości kolonialnych, ale także i Algerii, która uważana była za część metropolitalnej Francji. Francja przeżyła zbyt wiele poniżeń, ziałała zbyt wiele przyrzeczeń, ażeby móc się dźwignąć dzisiaj w nową glorię. Pamięta ona, chociaż potajemnie i pokryjomo, swoje zachowanie z roku 1940-go, kiedy to pancer-

na pięć niemiecka uderzyła w ten sam Sedan, pod którym poległa ambicja Napoleona III-go. Kraj pamięta, chociaż dyskretnie, swoje zachowanie w czasie okupacji niemieckiej, a pretensje Francji po roku 1945-tym do należenia do szeregu zwycięzców wydają się nam żałośnie nie na miejscu.

Te wszystkie uczucia poniżenia i niedoskonałości, te wszystkie klęski Francji, czujemy na własnej skórze, albowiem Francja była znowu jedynym krajem w Europie, którego przejścia obchodziły nas Polaków jak najserdeczniej. Przwilejem „Marsylianki“ było to, że budziła w nas te same dreszcze co nasz własny hymn narodowy. Przwilejem Napoleona było to, że jego losy uważaliśmy za nasze. Wszystko to, co działo się we Francji było nam osobliwie bliskie — wszystko jedno czy w dziedzinie polityki czy literatury. Rozpaczaliśmy nad krótkowzrocznością polityki francuskiej i niepoważnym zamętem jej rządów. Klęska w roku 1940-ym zmieniła chyba niewiele w tym stosunku czułości do Francji i wyrozumienia jej grzechów. I znowu żaden kraj w Europie — poza chyba Włochami — nie potrafił tak rozbroić naszego krytycyzmu jak Francja. Żaden kraj nie posiada tego wdzięku, który sprawia, że najostrzejsze słowa oskarżenia stają się bezsilne. Nie wiemy czemu to przypisać: czy długim tradycjom związków z Francją, związków rodzinnych — albowiem w tylu rodzinach te związki były potwierdzone emigracją do Francji, albo kampaniami napoleońskimi — czy po prostu temu, co powiedział Michelet, że Francja jest osobą, i że ta la personne jest oczywiście rodzaju żeńskiego.

Gdy tylko Francja podźwignęła się za rządów de Gaulle'a gdy zaczęła doprowadzać do ładu swoje podwórko, w całej Europie podniosły się nadzieje, które może są znowu przesadne i ponad siły Francji. Znowu gotowi jesteśmy zapomnieć liczne przewinienia temu krajowi i ludzi się, że Francja raz jeszcze dokona na sobie cudu regeneracji i że stanie się wielkim przywódcą Europy. Jesteśmy źli na siebie, że wpadamy znowu w pułapkę nadziei i ziudy — ale nie możemy bez nich żyć w odniesieniu do kraju, który tak bardzo wzbogacił nasze życie.

(3) — WIELOSTRONNOŚĆ KRAJOBRAZU FRANCJI

Dlatego w spojrzeniu na Francję, nawet najbardziej krytycznym, walczy u Europejczyka stale miłość ze zmysłem analizy. Żadne prawie spojrzenie prawdziwego Europejczyka na Francję nie jest całkowicie obiektywne. Toteż przystępując do analizy Francji dnia dzisiejszego musimy sobie zdawać sprawę

z tego, iż jest niezmiernie trudno uwolnić się od czaru kraju, który nawet w epoce swoich schyłków i upadków potrafił nas fascynować jakimś gestem, czy słowem, czy tylko wspomnieniem swojej nieporównanej świetności.

Francja jest przede wszystkim doskonałym kształtem fizycznym i dlatego chyba miłość do Francji ma w sobie wybitnie zmysłowy element. Wybrzeże atlantyckie Francji — jeżeli przeciwstawimy je wybrzeżu atlantyckiemu Anglii — wydaje się o wiele bogatsze, jeżeli chodzi o rzeźbę brzegów, o niespodzianki krajobrazu, nie mówiąc już o architekturze domów. Krajobraz, który zaczyna się gdzieś od Nantes i idzie pod granicę hiszpańską, olbrzymie łąchy piasków krainy Les Landes, opisywanej w powieściach François Mauriac'a, zalewy morskie i pachnące lasy świerkowe pod Arcachon, skromne wybrzeże gdzieś pod Guetary, a potem niebywałe Pireneje o różowym kolorystyce skały i podzwrotnikowej niemal roślinności. Wielkie, osniewane góry, a potem olbrzymie pagóry gdzieś pod Canigou, rozkoszna kraina Roussillon i miasteczka, ukochane przez malarzy oraz muzyków takich jak Pablo Casals, i znowu inne morze pod Argelès-sur-Mer i wokoło średniowiecznego Collioure. Jadąc brzegiem tego morza w stronę Tulonu oglądamy niezwykle zalewy Rodanu i całą krainę Camargue, jedną z najdzikszych — obok Puszczy węgierskiej — na mapie Europy. A potem Côte-des-Maures i brzeg aż popod Riwiere, która mimo wszelkich wyryków komercyjnych ma jeszcze dalej ustronne kąty, a jeżeli chodzi o zaplecze, to raczy nas ciszą swoich miasteczek gdzieś poza St. Paul-de-Vence.

Niezwykłość Massif Central, dziwaczne kształty gór i wąwozów, a potem Sabaudia i masyw Mont Blanc ze swoją fantastyczną Vallée des Neiges. Inne oblicze: idylliczny kraj okolic Cahors i Corrèze, opisany przez świetnego eseistę angielskiego, Waltera Patera, który tam szukał śladów bóstw pogańskich. Ten krajobraz cały w mieniu liści topoli, to dziedzina niesamowitego spokoju i gospodarności. Kontrastem dla niej jest Prowansja zarzucona zabytkami rzymskimi, gdzie raz po raz wylębskują na wzgórzach spalone od słońca i białe miasteczka.

Nie ma końca tej rozmaitości Francji, która bije wszystkie kraje Europy wielostronnością swojego krajobrazu. Ma ona i ocean i morze, ma ona najwyższe góry i góry układne i pokorne jak Wozezy, ma jeziora i przełomy rzek, ma równiny i sfalowane pagórki Francji południowo-zachodniej. Żaden kraj w Europie nie stanowi tak zamkniętej w sobie i samowystarczalnej całości. Nie można się dziwić, że mieszkańcy tego kraju uważali go od wieków za ideał.

(4) — KONIEC OKRESU IMPERIALNEGO

Ten trans się skończył albo został poważnie podminowany. Nie tylko cudzoziemcy dostrzegają dzisiaj wielkie usterki Francji, jeżeli chodzi o cywilizację materialną, ale dostrzegają je także i sami Francuzi. Na łamach żywego „Paris-Match“ pojawiły się na przykład reportaże, w których szczerze pokazano zacofania i zaniedbania Francji na polu materialnym: dalej jeszcze zbyt wiele jest we Francji studni, czyli brak jest wodociągów; dalej jeszcze łaźienka stanowi ozdobę mniejszości mieszkań. Dalej jeszcze ubikacje znajdują się na schodach, na podwórku, w ogródku, słowem nie tam, gdzie należy. Mieszkania francuskie są ciemne; domy nie są odnawiane od lat. Reportaże w „Paris-Match“ podkreślały prawdę, która znana jest nie od dzisiaj wielu obserwatorom: oto w koloniach, w Algierii, w innych krajach zamorskich Francja pobiudowała bardziej nowoczesne gmachy, ulice, miasta aniżeli u siebie; w tychże koloniach niektóre zakłady fabryczne są o wiele bardziej nowoczesne aniżeli w macierzy. Przemysł francuski woła wielkim głosem o unowocześnienie; podobnie biura, gdzie panują warunki pracy niegodne wielkiego kraju (a jeszcze bardziej biura pocztowe). Pod wielu względami Francja — podobnie jak się rzekło, Anglia — jest *un pays arriéré* — kraj zacofany — w zestawieniu ze Szwajcarią, Skandynawią, a obecnie i NRF. Widać po niej dzisiaj oplakane skutki dwóch wojen, wyczerpanie polityką kolonialną, która nie przyniosła Francji tylu zdobyczy jak myślano. Okazało się bowiem, że dzisiaj, kiedy Fracja drastycznie określiła swój rachunek imperialny, kiedy skończyła swoje władanie w Algierii, kiedy odsunęła się od swoich posiadłości na Dalekim Wschodzie, płynnie na większej fali pomyślności aniżeli wtedy gdy była obciążona wszelkimi kolonialnymi kłopotami.

Czyżby zatem teza, że imperium kolonialne Francji było dodatkowym źródłem jej bogactwa — było mitem? Francja zbyt długo wierzyła, iż nie może się obejść bez swojego imperium. Na przykładzie Włoch, które latami dobijały się do Afryki i które zbankrutowały niemal na abisyńskiej awanturze, widzimy, że istotnie owe posiadłości kolonialne nie stanowiły dodatku, majątku, ale raczej tylko kłopoty. Francja dzisiaj jest ekonomicznie zdrowsza aniżeli przed wojną w tym sensie, że nie ma beczek bez dna, jakimi były kolonie. *Union Française* — jaka powstała na miejsce Imperium jest tworem luznym, gdzie Francja jest odległym reżyserem; zobowiązania finansowe Francji wobec tej Francuskiej Wspólnoty nie są wielkie. Francja odgrywa dalej dużą rolę kul-

turalną w Afryce, na Madagaskarze, gdzie dawniej rządziła: język francuski jest dalej językiem warstw wykształconych tych dawnych posiadłości, a nawet *lingua franca* szerszych mas. Magnes kulturalny Francji działa i działać będzie na te kraje. Pomoc francuska w dziedzinie technicznego *know-how*, aby użyć praktycznego skrótu angielskiego, będzie nieodzowna dla tych krajów przez długie jeszcze czasy. Najnowszy układ z Algierią w dziedzinie eksploatacji ropy na Saharze dowodzi, że nawet państwa, które zdawały się odwracać od Francji, chcą korzystać z jej pomocy. Ale wszystko to nie jest już na taką miarę jak dawne zobowiązania wobec Maroka, Algerii, Tunisu. Francja wycofała się ze swego Imperium i doszła do wniosku, że jej władanie kolonialne jest skończone. Może jeszcze rozciągać to panowanie na niewielkich wyspach na Pacyfiku. Przeszła ona na system W. Brytanii, a zatem kładzie nacisk na bazy militarne usiane tu i tam, na swoje poligony atomowe.

Okres imperialny Francji skończył się; trwał on czy odbywał się za dwoma nawrotami, albowiem Francja po pierwszej fazie imperialnej skierowanej głównie ku Ameryce Północnej i po odwrócie z tych dziedzin przeszła bardzo późno do nowego zrywu imperialnego — dopiero w XIX-yim wieku. Jej nabytki afrykańskie były stosunkowo świeżej daty. Jej wkład w te posiadłości był ogromny. Każdy kto poznał francuską Afrykę Północną musiał być zdumiony olbrzymim wysiłkiem Francji — w dziedzinie budowy dróg, szpitali, nowych miast, fabryk, osiedli mieszkaniowych. Doraźne straty poniesione przez Francję przez odstępowanie tej Afryki Północnej były kolosalne. A człowiekiem, który przypieczętował ten odwrót był nie kto inny jeno Charles de Gaulle, a zatem człowiek mistycznie niemal wierzący w *grandeur* swojego kraju, to połączenie jakby Charlemagne'a z Dziewicą Orleańską, naczelnym symbol wielkości Francji.

(5) — CZTERY GŁÓWNE ZASŁUGI DE GAULLE'A

Na pewno tylko on miał potrzebny po temu autorytet: nikomu innemu nie powiódłby się ten bolesny zabieg. De Gaulle dokonał tej operacji całą serią manewrów, z których niejednym wygląda dzisiaj nie tyle może na podstęp, co świadome niemówienie całej prawdy. De Gaulle przeprowadził odwrót „na z góry upatrzone pozycje“, jak mówiły pozwiciwe komunikaty wojenne w czasie pierwszej zawieruchy światowej, wiedząc cały czas, że zdradza swojemu społeczeństwu i armii tylko część swo-

jego planu. Taka jest ocena sceptyków. Ci, co wierzą w jego słowo i w jego uczciwość głoszą, że de Gaulle jest pragmatystą i że po prostu próbował po kolei rozmaitych rozwiązań: a gdy okazywało się, że dane rozwiązanie nie dawało się wcielić w życie, cofał się na następną pozycję.

Bez względu na to, jaki był istotny przebieg tej operacji — jeżeli chodzi o myśl i sumienie de Gaulle'a — uznać należy, że operacja ta przeprowadzona była mistrzowsko. De Gaulle wytrzymał wspaniale presje i napory, kryzysy i groźby i dał swojemu krajowi możliwie najrozsądniejsze rozwiązanie. Koloniści, *colons*, zostali wchłonięci szybciej aniżeli myśłano, albowiem Francja potrzebuje rąk roboczych a owi *colons* przynieśli dawniej — choć często nieznaną ojczyźnie — gotowość pracy, przynieśli nowocześniejsze metody uprawy roli aniżeli te, jakie panują dalej na wsi francuskiej południa kraju albo południowego wschodu i zachodu. Pesymistyczne głosy, że odwrót z Algerii będzie katastrofą narodową, nie spełniły się. Francja zapomniała szybko o tym ciosie: albowiem była na ten odwrót przygotowana siedmioma długimi latami wojny w Algerii, wojny, która pochłaniała astronomiczne kwoty.

De Gaulle zasłużył się dobrze swej ojczyźnie. Zasłużył się nie po raz pierwszy: jego pierwsza zasługa wypada na rok 1940 i podjęcie oporu. Jego druga — polegała na powrocie do Paryża; jego trzecia — na objęciu rządów wtedy gdy wszystko się rozprężyło i Francji groziła jeżeli nie wojna domowa — albowiem wielu sądzi że Francji brak jest sił na wojnę domową — to niebywały zamęt. Czwarta jego zasługa polegała na umocnieniu stanowiska prezydenta. Ale już gorzej jest z tą listą, gdy spojrzymy na jego stosunek do Europy, na jego koncepcję Europy. Tutaj zaczynają się zastrzeżenia: co więcej, zaczynamy się zastanawiać, czy de Gaulle nie jest czynnikiem szkodliwym. Wydaje się bowiem, że każda wielkość polityczna, każdy mąż stanu nawet potężnego kalibru jest wielki do pewnego czasu, dopóki nie przekroczy swojego historycznego momentu. Churchill był wspaniałym wodzem swojego narodu w dobie wojny, chociaż i wtedy już jego polityka zagraniczna musiała budzić wielkie zastrzeżenia z punktu widzenia Europy. Po wojnie nie okazał już dawnej wielkości: nie wprowadził swojego kraju do Europy. I — o ironio! — coś podobnego stało się z de Gaullem, który wobec Churchilla ma zapiekle żale, chociaż ma, i jakże słusznie, jeszcze większe wobec Roosevelta. Churchill nie miał łatwego życia z de Gaullem i powiedział równie dowcipnie jak szczerze, że „ze wszystkich krzyży jakie znosił w życiu naj-

cięższym był krzyż Lotaryngii“. De Gaulle był wielki do pewnego momentu: ale postawiony wobec problemu Europy — zawiódł.

Może nie należy oczekiwać i żądać zbyt wiele od najwybitniejszych nawet mężów stanu? Może są oni przeznaczeni przez los tylko na pewien określony odcinek historii? Może powinni oni spełnić jedno zadanie, a potem odejść, pozostawiając po sobie najlepsze wspomnienia? Może nie powinni próbować grać zbyt wielu ról?

(6) — FRANCJA DOJRZAŁA DO PRZEBUDOWY

De Gaulle zasłużył się dobrze swojemu narodowi w dobie kryzysu algerijskiego: dokonał on rzeczy niezmiernie trudnej — może najtrudniejszej dla patrioty jego typu, dla człowieka, który wierzył w *grandeur et gloire* swojej wielkiej ojczyzny; potrafił się przezwyciężyć. Potrafił wytłumaczyć sobie i narodowi, że w jego interesie jest ten na pewno trudny odwrót. To zwycięstwo nad sobą samym stawia de Gaulle'a bardzo wysoko..

Sprawiedliwość każe przyznać, że była to wielka wiktoria. Sprawiedliwość każe również przyznać, że przez umocnienie stanowiska prezydenta, de Gaulle dokonał rzeczy pożądaną dla Francji. Ale nie należy przypuszczać, ażeby dzisiaj z odejściem de Gaulle'a Francja się zawałiła. Nie, Francja się ostoi: przyjdą do władzy nowe elementy, przyjdą ludzie młodszy, którzy patrzą się lepiej, realniej na szanse Francji w Europie, przyjdzie bodaj orientacja ludzi takich jak Jean Monnet, wielki architekt Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. De Gaulle był swojej ojczyźnie bardzo potrzebny, ale czas jego jest chyba już wypełniony. Jest wielką szkoda, że de Gaulle nie kształcił swoich następców, że powoduje w życiu politycznym Francji *vacuum*, które jest groźne dla każdego kraju. Nikt nie będzie twierdził, że stosunki przed jego przyjściem były idealne: nie, Czwarta Republika była chora i musiała paść w tej rozgrywce. Czwarta Republika była w dużej mierze kontynuacją Trzeciej, a zbyt wiele osób we Francji uważało, że nic się nie zmieniło w zestawieniu z sytuacją sprzed wojny.

To wszystko jest prawda. Ale życie polityczne Francji musi się zregenerować, nawet jeżeli uznamy, że wszędzie — a więc i we Francji — istnieje stan dużego zubożenia na politykę, że partie polityczne nie potrafią dzisiaj stworzyć nowych programów, że młodzież oddala się od polityki, że różnice między partiami zacierają się i maleją. To wszystko jest faktem: ale właśnie na tym tle powinno dojść do odpowie-

dniego przegrupowania partii, czy do stworzenia nowych. Bo jest to osobliwe zjawisko, że kraj tak konserwatywny jak Francja nie ma partii konserwatywnej, że nie ma w tym kraju również i partii chłopskiej, chociaż chłop jest dalej siłą. Rozmaite sztyldy i wywiezki z okresu 3-ciej i 4-ej Republiki — a zatem partie zwące się radykalnymi, chociaż nie ma w nich nic radykalnego poza słowami — powinny zniknąć, i Francja powinna wyłonić kilka nowych czy przerobionych stronnictw.

Dopóki jednak trwa paraliż polityczny, do którego rządu de Gaulle'a sporo się przyczyniają, dopóki tłum się krytykę, dopóki w dziedzinie polityki zagranicznej decydują własne względy i opinie Prezydenta, a nie dochodzą do głosu inne czynniki, to taki stan rzeczy także nie jest zdrowy. Francja dojrzała do przebudowy, ale de Gaulle nie wydaje się być człowiekiem, który potrafiłby dokonać tego dzieła.

(7) — KTO BĘDZIE NASTĘPCĄ PREZYDENTA?

Nawykliśmy się patrzeć na Francję przez okulary Wielkiej Rewolucji z roku 1789 oraz późniejszych wstrząsów rewolucyjnych; nawykliśmy traktować Francję jako klasyczny kraj rewolucji, a sami Francuzi — już chociażby przez swoje zachowanie, swoje porywce obyczaje, swoje nieumiarkowane sądy — uważani są nieraz za samą „sól“ indywidualizmu, nawet anarchii. Widzimy w tym narodzie naród nieposkromiony, naród buntujący się: ale zapominamy o tym, że narody łacińskie wahały się przez wieki między wybuchami cezaryzmu a buntami. I Francja i Włochy i Hiszpania przeżywały epoki cezaryzmu, silnej władzy i ery buntu, rozprężenia, anarchii. We Francji cezaryzm na pewno miał dłuższe okresy rządzenia aniżeli ery republikańskiej swobody.

Francja mieści się i w jednym i w drugim zjawisku: jest zarówno buntownicza, z uwagi na swoje właściwości intelektualne — nadmiar krytyki — jak i popędy swego temperamentu (każdego Francuza ponosi kiedy mówi o własnym rządzie), ale i uległa wobec władzy, cezaryzmu. Dlatego odnowienie się w naszej epoce tego cezaryzmu — w formie, przynajmniej szczerze, łagodnej i oświeconej — a zatem w formie rządów de Gaulle'a, nie może nikogo zbyt dziwić. Francja miała dosyć zamętu za swoich kolejnych republik. Teraz przeżywa okres zawieszenia swego krytycznego sądu, czy raczej może tylko jego ograniczenia; wcale chętnie przyznaje, że jej Prezydent ma w niej rację i że jego rozgrywki na terenie zagranicznym „wychodzą mu dobrze“. De Gaulle cieszy się dalej osobistym prestiżem i nie widać na razie

żadnej siły, któraby mu się przeciwstawiła. Defferre? (2) Nie jest on przeciwnikiem odpowiedniego kalibru. Ale to nie znaczy, ażeby za lat kilka Francja nie dojrzała do stanu rzeczy w którym de Gaulle nie będzie już koniecznością, kiedy Antoine Pinay, czy człowiek jego pokroju nie mógłby sięgnąć po władzę premiera i kiedy na miejscu de Gaulle'a mógłby się znaleźć człowiek o wiele mniej wybitny, ktoś w stylu Auriola. Wprawdzie sam de Gaulle jest przekonany, że po nim trzeba Francji nowego wydania jego samego, — zapytany kiedyś co będzie po jego śmierci albo odejściu, odpowiedział pono spokojnie: „No cóż? Trzeba będzie znaleźć nowego de Gaulle'a“ — ale, wszystko wskazuje na to, że Francja będzie miała już dosyć kuracji gaullistycznej i że wejdzie w epokę kiedy zechce poczuć się swobodniejszą.

(8) — DWIE FRANCJE — CZY WIĘCEJ?

Francja, jak się już rzekło, jest osobą dwoistą w tym sensie, że mówiąc o niej ulegamy nadmiernie presji czy też fascynacji różnych mitów i idolów; że retoryka, ta druga niejako natura Francuza, sprawia, że oblicze Francji — czy raczej liczne jej oblicza: bo jest la France neutrie i la douce France i cały szereg innych Francji — przesłania nam opar słów. Jaka jest istotna Francja, ten pays réel? Jaka jest Francja bez osłonek, ta Francja, która trwa pomimo zmian i przemian — na ogół raczej pozornych, albowiem Francuzi wiedzą dobrze, że plus ça change... Jest to zadanie bardzo trudne i wielu cudzoziemców, którzy kusili się o odcyfrowanie tej prawdziwej Francji potknęło się w swoich analizach — albo na nadmiernej miłości do tej Francji niedoskonalej, ale fascynującej, grzesznej, ale uroczej, albo na nadmiernym krytycyzmie i przymierzaniu Francji do krajów takich jak Szwajcaria, czy państwa skandynawskie, czy Ameryka... Nawet najlepszy bodaj obserwator, szwajcarski socjolog Herbert Luethy, którego książka o Francji — w angielskiej edycji z roku 1955 rzecz ta nosiła tytuł „The State of France“ — stanowi najlepszą próbę analizy sytuacji francuskiej, nawet i on zgubił się w nadmiernych sprzecznościach kraju, który go pociąga i przed którego urokiem stara się bronić.

(9) — DUCH RZĄDNEJ ADMINISTRACJI

A jednak Luethy podkreślił rzecz, która jest zbyt często prześlępiana

2) Kandydat socjalistów na prezydenta.

przez cudzoziemców, gdy zastanawiają się nad zagadką francuską. Mianowicie uwypuklił on fakt, że Francja nie jest właściwie rządzona — i to bodaj od wieków — ale przede wszystkim zarządzana, administrowana. Ze od wieków tworzyła ona doskonale kadry administratorów, od wieków zbierała podatki, od wieków wytyczała granice departamentów i ziem, od wieków odrabiała swoją lekcję biurokracji; jej średniowieczni baillis — w wersji angielskiej bailiffs — to dzisiejsi prefekci i Francja jest kierowana przede wszystkim przez tych prefektów. Do tej administracji doszła on przez „cierpliwy trud legalistyczny“, jak powiada szwajcarski socjolog. I ta praca, ten trud stanowią istotne continuum dziejów Francji, to jest ta nić, która biegnie przez wieki zmian, przesunąć od cezaryzmu do anarchii, swobody, chęci wyżycia się w chaosie. Mimo wojen, mimo rewolucji, mimo zmian idzie od wieków we Francji cierpliwa praca administracyjna; Luethy uważa nawet, że rewolucja francuska nie była żadnym buntem mas, nie przyniosła zysków jakiemuś tiers état — trzeciemu stanowi — zyski odniosła klasa legalistów, prawników, notariuszy i adwokatów. To oni sprawiają, że „aparatur państwowy dawnej monarchii“, jak chce szwajcarski socjolog, dalej żyje i dzisiaj, to oni, ta klasa administratorów i prawników dba o ciągłość państwa. To oni istnieją poza fasadą demokracji, to oni naprawdę kierują państwem.

Jest to na pewno uproszczenie, ale uproszczenie odsłaniające sporą część prawdy. Powiada ona bowiem, że w życiu zmiennej Francji, niekiedy tak lekomyślniej w oczach obcych, istnieje pion czy kościel, że jest to kraj bardzo tradycyjny i konserwatywny, że tron tego kraju stanowi niewątpliwie praca administracyjna, wysiłek legalistyczny, że prefekci są na pewno istotnymi rządcami Francji. Fasada demokratyczna nie powinna nikogo łudzić: tak jak nie powinna łudzić nikogo kto chce odkryć sprężynę władzy w Anglii. Tak jak w Anglii rządzi Establishment — od premiera przez City do pewnych rodzin, — tak we Francji rządzi kasta urzędnicza, o której mówi tak doskonale Luethy, rządzi grono „dwustu rodzin“, rządzą les normaliens, rządzą finanse. I rządzą z Paryża, który jest jedynym zjawiskiem w Europie, jeżeli chodzi o przemoc centralizacji.

(c. d. n.)

Zbigniew Grabowski

POPIERAJ POLSKIE FIRMY

ŻÓŁW, KOMPUTEROWY ZAJĄC —

Warto przypomnieć grecki paradoks o żółwiu i zającu. Do wyścigu stają żółw i zając, który daje swemu współzawodnikowi małą fore. Pada sygnał; obaj zawodnicy ruszają. Przez pierwszy milionowy ułamek sekundy żółw ledwie, ledwie posuwa się naprzód; ale i zając w tym niesłychanie krótkim czasie ledwie się ruszył. Żółw prowadzi, bo miał fore. To samo dzieje się w następnym ułamku sekundy; i w następnym; i w następnym. Aż do mety. Żółw na przedzie. Pierwszy u mety. Wygrał. Niech żyje żółw zwycięzca! Ten paradoks przeczy zdrowemu rozsądkowi, lecz wiele wieków minęło nim wykazano, gdzie w tym rozumowaniu leży błąd.

Goniącej za pośpiechem Ameryce należy się chyba rola zająca, konserwatywnej Anglii, ba, socjalistycznej Anglii — żółwia. Czy jest taka dziedzina, w której paradoks grecki znajdzie zastosowanie? Wybory? Przypatrzmy się temu bliżej. Wybory parlamentarne w Anglii odbywają się tradycyjnie w czwartek. W nocy z czwartku na piątek i w piątek następuje liczenie głosów; w sobotę rano prawie wszystkie wyniki są znane i ogłoszone w codziennej prasie. W sobotę odbywa się liczenie głosów w dwóch rozrzuconych na wyspach okręgach — Argyll i Orkneje. W poniedziałek pełne wyniki są znane; jeśli kto lubi trunek cyfr, może się napić do pełna.

Ameryka daje inny obraz. Pierwsze cyfry są znane szybko. Wyniki obwodów, które często liczą kilkuset wyborców, są ogłaszane natychmiast po obliczeniu głosów. W niektórych okręgach Kalifornii wprowadzono w ostatnich wyborach specjalną maszynę komputerową, która liczy głosy z szybkością 600 na minutę. Te częściowe wyniki idą na komputer, który po analizie podaje przepowiednie ostatecznego wyniku. Jeszcze przed zakończeniem głosowania było wiadome, kto wygrał. Niestety, ostateczne cyfry każą na siebie czekać całymi tygodniami. Postęp techniczny, komputery są więc powolniejsze niż staromodne angielskie metody. Mimo sprzeciwu zdrowego rozsądku żółw jest szybszy od zająca i to zająca komputerowego.

DWA BŁĘDY

Wybory amerykańskie umocniły poglądy ludzi, którzy z dużym zaufaniem odnoszą się do przepowiedni opartych na ankietach. W dniu 2 listopada dwa największe instytuty amerykańskie badania opinii — Gallup i Harris ogłosiły zgodnie, że prezydenta Johnsona popiera 64 procent wyborców, senatora Goldwata 36 procent. (Patrz „Times“ z 3 listopada). Johnson otrzymał 61.2 procent, Goldwater 38.6 procent. Błąd wy-

nosi dla Johnsona 2.8 procent, dla Goldwata 2.6 procent. W obu wypadkach jest on większy niż normalny błąd statystyczny przy próbie 10.000, lecz mniejszy niż przy próbie 2.500.

Jeszcze przed wyborami pojawił się ciekawy argument na tle przepowiedni. Kilka punktów różnicy — mówiono — no tak, można mieć wątpliwości, jaki będzie wynik, lecz gdy różnica jest większa nie ma już na nie miejsca. Sądzę, że ta argumentacja polega na nieporozumieniu. Dwa rodzaje błędów czyhają na ludzi, opierających swoje przepowiednie na ankietach. Pierwszy i mniej niebezpieczny błąd wynika z fluktuacji prawdopodobieństwa. Trzyma się on próbki jak przysłowiowy rzep psiego ogona. Ale można obliczyć jego wielkość i zakreślić granice. Drugim, znacznie poważniejszym, jest błąd w metodzie pobierania próbek. Wielkości jego nie sposób określić. Podam dwa przykłady z brytyjskiego terenu, aby wyjaśnić co mam na myśli. Jeden z brytyjskich instytutów otrzymuje próbkę dwoma różnymi metodami. Proszę pamiętać — ten sam instytut, te same pytania, ci sami ludzie przeprowadzają wywiad. Mimo to różne metody pobierania próbek dawały różne wyniki, niekiedy było ponad 5 procent różnicy. Drugi przykład. Latem ub. roku rozgorzała duża dyskusja, dlaczego wyniki dwóch najpoważniejszych brytyjskich instytutów różniły się o 10 procent między sobą w ocenie wpływu poszczególnych partii.

WPLYW GALLUPA NA OPINIĘ

Te różnice w wynikach wywołały głębokie zaniepokojenie. Pojawił się problem czy Gallupy wpływają na opinię publiczną, a jeśli tak to w jakim stopniu? Poglądy na ten temat były podzielone. Same instytuty twierdzą, może, żeby bronić swojej pozycji, że przepowiednie nie wpływają na formowanie się opinii publicznej. Brak materiału dowodowego, któryby uprawniał do naukowych wniosków. Wpływ jednak tych wyborczych przepowiedni na życie gospodarcze nie ulega wątpliwości. Tuż przed wyborami brytyjskimi ankietą obejmująca 900 osób w marginalnym okręgu Doncaster wykazała mniejsze wpływy torysów niż gdzieindziej. Giełda zareagowała natychmiast. Akcje spadły o wiele milionów. Jeśli zaś taki jest wpływ ankiet na życie gospodarcze, to trzeba się liczyć z ich wpływem na politykę. Tak jak prasa. Może nie decyduje ona o wynikach wyborów,

ale na pewno na nie wpływa. To, że Johnson miał poparcie prawie 90 procent pism poważnie go wzmocniło.

W okresie, gdy ankiety angielskie tak bardzo się między sobą różniły pojawiły się poglądy, przeważnie z kół laburzystowskich, o konieczności publicznej kontroli nad pracą instytutów. Projektowano powiązanie ich z uniwersytetami i całkowite uniezależnienie od pobudek handlowych. Instytuty badania opinii publicznej w Anglii przyjęły od dawna bardzo ciekawą linię obrony przed obcą kontrolą. Same poddają się publicznej kontroli. Udostępniają do wglądu swe książki handlowe, informują o swoich metodach i chętnie udzielają wszelkich wyjaśnień. Chcą przez to wykazać, że są niezależne i nie kierują się niczym innym. Jeśliby opinia publiczna nie była w stanie zapewnić ich bezstronności i bezinteresowności, argumenty za koniecznością wprowadzenia publicznej kontroli zyskałyby na znaczeniu.

BŁĘDNA PRZEPOWIEDNIA FREKWENCJI

Pod jednym ważnym względem przepowiednie wyborcze zupełnie się nie sprawdziły, choć będąca za Johnsonem prasa wyraźnie to przytłumia. W wyborach 1960 roku głosowało prawie 69 milionów 63.8 procent ludzi, którzy osiągnęli wiek, uprawniający do głosowania. Ilość ludności powiększyła się o prawie 11 milionów, a ilość ludzi w wieku uprawniającym do głosowania o przeszło 6 milionów. Jeśliby ten sam procent głosował co poprzednio, to ilość głosujących musiałaby być większa o 4 miliony, razem byłoby więc 73 miliony. Ilość zarejestrowanych wyborców murzyńskich wzrosła o 5 milionów. Głosowali oni w 80 procentach. 4 miliony wyborców murzyńskich powiększa ogólną liczbę do 77 milionów. Tytu powinniśmy głosować, gdyby frekwencja wyborcza białych utrzymała się na poziomie 1960 roku przy dużym zwiększeniu się frekwencji murzyńskiej. Niektóre przepowiednie szły znacznie dalej. Paryskie wydanie „New York Times“ w depeszy Associated Press z dnia 5 listopada cytuje przepowiednię o 81 milionach głosujących. W rzeczywistości głosowało 69 milionów. Mniej o 12 milionów od tej przepowiedni. Mniej o 8 milionów od rachunków, które przed chwilą przedstawiłem; tylko o 169.000 więcej niż w 1960 roku.

AMERYKAŃSKA ABSENCJA WYBORCZA

Prezydent Kennedy otrzymał trochę ponad 34 miliony głosów, prez. Johnson trochę ponad 42 miliony; różnica 8 milionów. Panuje zgoda, że około 4 miliony murzynów, którzy poprzednio nie głosowali, oddało tym razem swój głos na Johnsona. Tylko więc 4 miliony głosów mógł prez. Johnson odciągnąć od Goldwatera lub zdobyć wśród tych, którzy głosowali po raz pierwszy. Weźmy interpretację najkorzystniejszą dla Johnsona. Wtedy przyjmujemy, że 4 miliony — 12 procent — tych, co głosowali w 1960 roku na Nixona, głosowało tym razem na Johnsona.

Sen. Goldwater zdobył około 26.6 milionów głosów, o 7.5 milionów mniej niż Nixon. Jeśli przyjąć, że 4 miliony popierających Nixona przerzuciło się na Johnsona, to 3.5 milionów — 10 procent — musiało wstrzymać się od głosowania.

Przyczyny, dla których sen. Goldwater utracił tyle głosów były wielokrotnie analizowane. Podkreślono jego niezręczne uwagi o ubezpieczeniach społecznych, o zniszczeniu dżungli w południowo-wschodniej Azji atomówkami, by wytrzebić partyzantkę komunistyczną, wreszcie stosunek do sprawy murzyńskiej. Murzyni murem głosowali za Johnsonem, który również pociągnął trochę głosów republikańskich. Tyle komentarze. Czy taka analiza daje dobry obraz poglądów społeczeństwa amerykańskiego? Dlaczego prawie zupełnie milczeniem pominięto niską frekwencję wyborczą?

PRZYCZYNA ABSENCJI

Prasa amerykańska i europejska podkreślała przed i po wyborach, że autorytet osobisty prez. Johnsona zmniejszył się na skutek kampanii wyborczej. Myślę jednak, że błędnym uproszczeniem byłoby szukanie w tym zjawisku jedynie wyjaśnienia ogromnej absencji wyborczej. Skłaniam się raczej do poglądu, że jest to objaw głębokich przemian, które się jeszcze nie zakończyły. Według ankiety Gallupa tradycyjna partia republikańska uległa w ciągu ostatnich 25 lat głębokim reformom. W roku 1940 — 38 procent popierało republikańców, w roku 1960 30 procent, a w 1964 ten procent miał spaść do 25. Goldwater był czymś nowym. Obóz jego przeciwstawił się dużym odłamom tradycyjnej partii republikańskiej. Był on zasadniczo krytyczny wobec obecnej polityki zagranicznej, co zbliża nas do niego, przeciwny

wzmocnieniu władzy federalnej na niekorzyść stanów, nieufny wobec wznoszącej pozycji murzyńskiej i koncepcji państwa opiekuńczego. To radykalnie nowe stanowisko poparło 2 głosujących na 5. Prez. Johnson z dużą zręcznością wykorzystał wszystkie potknięcia się przeciwnika. Cieszył się poparciem zagranicy. Nawet Krenl ogłosił o wizycie Chou-en-laja dopiero po wyborach, może, aby nie psuć obrazu polepszających się stosunków amerykańsko-sowieckich na tle sporu Rosji z Chinami? Czy jednak duża absencja nie dowodzi, że wiele milionów Amerykanów nie wyrobiło sobie zdecydowanie zdania, bo poglądy społeczeństwa są płynne i jeszcze się nie skryształizowały?

Zapowiada się na ostrą walkę w partii republikańskiej. Powyborcza ankieta Gallupa wśród republikańców stwierdza, że większość ich oczekuje utrzymania się grupy Goldwatera przy władzy w partii. Sam Goldwater nie wycofał się z życia politycznego, choć przyznał, że może nie kandydować za cztery lata. Wśród demokratów wewnętrzne napięcia na tle sprawy murzyńskiej prawdopodobnie wzrosną. Horyzont światowy jest zasnuty chmurami i nie obiecuje sukcesów dla polityki demokratów. Nixon wysuwa się na spadkobiercę Goldwatera przy utrzymaniu jego zasadniczej linii. Bo taki chyba tylko sens polityczny może mieć jego ostry atak na Rockefellera po wyborach, a obrona Goldwatera w wywiadzie dla szwajcarskiego pisma.

Choć dopiero za 4 lata znowu amerykański komputerowy zajęć stanie do wyścigu, to jednak wewnętrzne przemiany w Ameryce musimy pilnie śledzić. Znajdą one swój wyraz w polityce amerykańskiej.

ŚWIĘTO POLSKIEGO CZYNU ZBROJNEGO W SZWAJCARI

Dnia 22 listopada 1964 odbyło się w Berni Szwajcarskim święto Polskiego Czynu Zbrojnego w połączeniu ze Świętem Niepodległości.

Uroczystość poprzedziło nabożeństwo z kazaniem odprawione przez o. prof. dr. J. M. Bocheńskiego O. P., rektora Wszechnicy Fryburskiej i Kat. Misji Polskiej w Szwajcarii, w pięknej stylowej kaplicy szpitala Victoria w Bernie.

Po wspólnym obiedzie w restauracji Casino rozpoczęła się tam w obecności licznie zebranej publiczności uroczysta akademicka, którą otworzył gen. W. S. Wieczorkiewicz, po czym płk. S. J. Karolus odczytał referat płk. H. Konasa, który nie mógł przybyć na uroczystość.

W swym krótkim przemówieniu skierowanym do gości szwajcarskich ppłk. Karolus wyjaśnił zebranym dłaczego czcimy w tym roku 50. rocznicę Legionów, 25. rocznicę najazdu hitlerowsko-bolszewickiego na Polskę, 20. rocznicę walk oddziałów polskich we Włoszech i Francji oraz rocznicę Powstania Warszawskiego. Wyjaśnił też pokrótce genezę święta Niepodległości. Na zakończenie pierwszej części akademii uczennica gimnazjalna Ania Richterówna wyrecytowała utwór poety Legionów Józefa Mączki „Starym ojców naszych szlakiem“.

W części muzyczno-wokalnej p. M. Zaczekowska odśpiewała Kozaka S. Moniuszki i Wojaka Fr. Chopina przy akompaniamencie swego małżonka, a p. Zaczkowski wykonał Fr. Chopina Nokturn op. 37 i Polonez op. 44 dając na bis swą własną kompozycję „Upadek Warszawy 1944“.

Odśpiewaniem Hymnu Narodowego polskiego oraz Psalmu Szwajcarskiego zakończono uroczystość zorganizowaną staraniem Związku Organizacji Polskich w Szwajcarii. K. Z.

LWÓW
1782
WIEN

J. A. BACZEWSKI

GATUNKOWE WÓDKI i LIKIERY
NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI!

Jarzębiak	Malinowa	Tea-Rum
Kontuszówka	Starka	Wiśniówka
Krupnik		Wiśniak

Przedstawiciel

J. A. BRUCE & CO.

9, LENTHALL PLACE, LONDON, S.W.7.

Tel. FRE 5808

(Koło stacji kolejki podz. Gloucester Road)

Orzeł Biały, styczeń 1965

11

SPRAWA MELCHIORA WAŃKOWICZA

Sprawa Wańkowicza. Bardzo interesująca sprawa. Nie ze względu na samą osobę pisarza, ani na formalny akt oskarżenia, bo to nie miało większego znaczenia. To powierzchwnia, te zewnętrzne okoliczności. Trzeba sięgnąć znacznie głębiej, zakładając, że proces stał się swoistym papierkiem lakmusowym, wykrywającym istotne zamiary i plany reżymu w tak zwanej „polityce kulturalnej“. Ale najpierw trzeba przypomnieć okoliczności powrotu Wańkowicza do kraju.

Nie był to na razie powrót. Była podróż obywatela amerykańskiego, który po prawie dwudziestu latach chciał znowu odetchnąć powietrzem Soplicowa, wprawdzie w ludowym wydaniu, i zobaczyć, co z tego wynika. Wańkowicz jest typem pisarza, który nie umie czekać. Chce łapać rzeczywistość in statu nascendi i natychmiast o niej pisać. Wańkowicz to właściwie reporter, ale z wielkimi ambicjami. Reportaż, zbliżający się do granicy powieści, zawsze osadzony mocno w socjologii i z wylotami ku przeszłości. Chciałoby się powiedzieć — reportaż retrospektywny, w którym działalność protagonistów zyskuje podbudowę relacją o tym, co robiali ich ojcowie i dziadowie, i ci bliżsi i ci dalsi, z czasów króla Batorego, a jeśli można, nawet za mitycznego króla Cwiczka.

Ambicja godna podziwu. Niejednokrotnie ta trudna i skomplikowana metoda przynosiła Wańkowiczowi niebylejakie tryumfy. W czasie wojny i w latach późniejszych. Chciał je powtórzyć w kraju, łudząc się najwidoczniej, że „październikowa wiosna“ utrwali się i przejdzie w autentyczne, pogodne lato. Pojechał na próbę i ugrzązł na stałe. Reżymowi był na początku potrzebny, jak potrzebny był nieco wcześniej Cat-Mackiewicz, a jeszcze wcześniej, w pierwszych latach powojennych, Gałczyński, Tuwim, Słonimski i wszyscy inni, którzy zgłosili gotowość do powrotu. Każdy taki powrót to było jeszcze jedno oszustwo, jeszcze jeden atut w skomplikowanej grze, mającej udowodnić narodowi, że wszystko jest w najlepszym porządku. Pamiętamy, jak wylazł ze skóry Goldberg-Borejsza, ówczesny dyktator w dziedzinie kultury, by ściągnąć możliwie największą ilość pisarzy.

Borejsza działał z całym cynizmem, zakładam jednak, że niektórzy komuniści postępowali w dobrej wierze. Był taki jeden, dość wysoko ówczesnie stojący w hierarchii partyjnej, który w latach 1945-6, robił co mógł, aby mnie

przekonać, że powinienem wracać do kraju. Również przekonać osoby mi bliskie, na które starał się wpłynąć, aby mnie przekonały. Wyglądało to mniej więcej tak: — Wracaj, włos ci z głowy nie spadnie, bylebyś nie wdawał się w żadne antyludowe akcje. Nie marnuj się na obczyźnie. Znasz hiszpański, będziesz doskonale zarabiać przekładami.

Minęło — ile? — bodajże kilkanaście miesięcy, a ów optymista znalazł się w niełasce, poczem odstawiono go na jakiś boczny tor i stracił wszelkie znaczenie. Powrócił do działania po październiku, z jeszcze gorszym skutkiem, bo wkrótce powędrował do więzienia. A przecież obiecywał mi coś w rodzaju „żelaznego listu“. Ładnie bym na tym wyszedł!

To tylko dygresja, zresztą dość wymowna. Wróćmy jednak do Wańkowicza.

* * *

Jadąc do kraju, Wańkowicz musiał zdawać sobie sprawę, że czekają go daleko idące kompromisy. „Monte Cassino“ ukazało się kosztem różnych skreśleń czy retuszy, stosunkowo mało ważnych. O reedycji innych utworów pisarz nie mógł nawet zająknąć się, już choćby ze względu na ich tematykę. Spod pióra Wańkowicza wyszło wiele przejmujących stron, dających wierne świadectwo polskiej martyrologii w Sowieciech. Oczywiście, o kontynuowaniu tej linii tematycznej nie było mowy.

Przed trzema bodaj laty autor „Ziela na kraterze“ spróbował z innej beczki. Jeszcze przed powrotem do kraju zainteresowały go krwawe wydarzenia na Wołyniu, które największego nasilenia nabrały w roku 1943-4, a więc pod koniec okupacji niemieckiej. Temat trudny i bolesny, który domagałby się niezwykle wyculonego pióra, umiającego zważyć wszystkie racje i nie dać się ponieść emocjom. Temat, leżący właściwie odłogiem, skoro w kraju prawie go nie zauważono, a na emigracji pisano dorywczo i niedostatecznie. Wańkowicz miał dość ambicji, by po niego sięgnąć. Pisał do mnie w tej sprawie po ukazaniu się mego artykułu, „Przećiw upiorom przeszłości“ („Kultura“, nr.2/52 — 3/53 — 1952), prosząc o szczegóły. Związcza zainteresowała go tragedia Janowej Doliny.

Po latach natrafiłem w literackich czasopiśmie krajowych na dwa obszernie urywki tegiej prozy o tematyce właśnie wołyńskiej. Pewnie, w kraju łatwiej było o dotarcie do naocznych świadków i uczestników tragedii, osoby — jak wolno się domyślać — przesiedlone z

Wołynia na Ziemię Odzyskane. Pisarsko był to Wańkowicz w najlepszej formie. Ale... bez trudu stwierdziłem, że tłucze się jak ryba o lód, że niedomawia, zakłada sobie knebel, redukuje zdobytą materiał do określonych granic.

Czytałem z najwyższym zainteresowaniem, dziwiąc się, że mimo wszystko, wszedł na tak grząski grunt, tak bardzo najeżony niebezpieczeństwami dla pisarza lawirującego między Scyllą prawdy i Charybdą reżymowej cenzury. Dalszych ciągów szeroko zakrojonej pracy nie było. Widocznie, ktoś „doradził“ przerzucenie się na tematykę, mniej ewokującą pewne niemiłe dla komunistów sprawy i zagadnienia.

Wańkowicz zdobył sobie opinię oportunisty. Już przed wojną mówiono o nim jako o pisarzu interesownym. Nie chcę w to wchodzić. Wolę stwierdzić, że nawet najbardziej interesowny i oportunistycznie nastawiony człowiek nie jest w stanie całkowicie pozbyć się tendencji i predylekcji, wynikających z jego pochodzenia, środowiska, całościowych stosunków, zwłaszcza gdy chodzi o kogoś, kto jest bliższy barki Charona, niż kołyski. Bądź co bądź, Wańkowicz to kresowiec nie tylko z urodzenia, ale także z temperamentu i tradycji. Toteż losy ziem kresowych, najpierw pod okupacją sowiecką, następnie hitlerowską, musiały go pociągać z największą siłą. Wybrał Wołyn, bo właśnie tam apokalipsa wojenna rozpoczęła się najgwałtowniej. Niemcy, oddziały Ukraińskiej Armii Powstańczej, samodzielne oddziały atamańskie w rodzaju „bulbowców“, samoobrona polska, Akowcy, partyzanci sowieccy, przetrucani przez Polesie — wszyscy przeciw wszystkim w niesamowitym kłębówisku bezpardonowej walki, która, zdawało się, cofnęła czas ku epoce „wielkiej ruiny“. Wańkowicz wyczuł instynktem rasowego pisarza, że te straszliwe dzieje pasują do jego warsztatu, jak ulał. Napisać powieść-reportaż na przedłużeniu sienkiewiczowskiego „Ogniem i mieczem“ to była pokusa nielada.

Czy autor doprowadził swoją pracę do końca, nie mam pojęcia. Ogłoszone w czasopiśmie fragmenty nie doczekały się dalszego ciągu. Bo też ucziwie napisana książka na taki temat mogłaby ukazać się tylko na emigracji. Podobnie „Rodziny Korzeniowskich“ nie było po co zawozić do Warszawy. Wańkowicz wydał wiele książek, zdobył masowego czytelnika, podejmował wysokie honoraria, co mu zresztą skwapliwie wytknięto podczas przewodu sądowego. To były plusy powrotu. Ale omówiony przed

chwila przykład inatejatywy pisarskiej, która spaliła na panewce, udowadnia, iż cena była zbyt wysoka. Chyba opłaciłoby się nie mieć tych kilkuset tysięcy egzemplarzy nakładu, ale za to cieszyć się całkowitą swobodą wyboru tematów i ich ujęcia.

* * *

Swego czasu wiele huku narobiła wańkowiczowska propozycja założenia „Klubu Trzeciego Miejsca”. Nie chwyciła. Czy Wańkowicz myślał o niej, gdy wybierał się do kraju? Jeżeli tak miał teraz okazję przekonać się, że lokalem przeznaczonym przez komunistów na kluby tego rodzaju, jest cela więzienna. Ale gdzież tam „trzecie miejsce”, gdzie niedysyjsze śniegi, już nie tylko emigracyjne lecz choćby tylko po-październikowe! Sądzę, że Wańkowicza zawiódł wech, gdy podpisywał list „34-ech”, bo nie ulega wątpliwości, że gdyby podpisu nie dał, nie byłoby żadnego procesu, ani skazującego wyroku.

Podobno usiłował wpłynąć na złagodzenie dość kategorycznej formy tekstu, w końcu jednak podpisywał. Zdawał sobie sprawę, że jego nieobecność wśród protestujących nie przysporzy mu miru w społeczeństwie. Opowiadano, że gdy w niewiele dni po ujawnieniu treści listu i nazwisk sygnatariuszy, Wańkowicz zjawił się w Oborach, któryś z młodych pisarzy zdziwił się na widok jego rozśmianej twarzy: — A ten czego się tak cieszy?! — Bo po raz pierwszy — zauważył kostycznie Słonimski — znaleźli się wśród przyzwoitych ludzi ...

Ba, nie tylko znalazł się wśród przyzwoitych, ale dostąpił zaszczytu wyróżnienia. Gdy reżym postanowił wytypować kozła ofiarnego, wybór padł na Wańkowicza. Dlaczego właśnie na niego? Na podstawie samego przewodu sądowego zorientować się niepodobna. Może zaważyły animozje osobiste? W końcu marca, gdy już miałem w rękach tekst listu, wyraziłem przypuszczenie, że Wańkowicza będą czepiać się bardziej niż innych, bo amerykański obywatel. Oczywiście, nie miałem na myśli żadnego procesu, sądziłem, że każą mu wyjechać z kraju. Kto wie, może istotnie ta „amerykańskość” zdecydowała.

Jedno jest pewne. Niezależnie od tego, co Wańkowicz pisał w przechwyconej przez „bezpieczeństwo” korespondencji, pierwsze informacje przedostały się na Zachód innymi drogami. Uważne zestawienie dat nie pozostawia żadnych wątpliwości. Gdy Zenon Kliszko, w swoim wystąpieniu na warszawskim zebraniu literatów, 5 października, twierdził, że inspiratorem „Free Europe” był właśnie autor „Monte Cassino”, po prostu minął się z prawdą. A zresztą, czy ludzie, prowadzący propagandę antykomunistyczną, potrzebują czyjejkol-

wiek inspiracji? Wystarczy, że zapoznają się ze stroną faktyczną.

Rozprawa i wyrok były farsą. Czy zarzut szkalowania Polski Ludowej może być brany poważnie? To, co Wańkowicz pisał w swojej korespondencji, powtarzają wszyscy od lat. A poza tym, dlaczego zwlekano z procesem przez całą szesć miesięcy? Materiały do oskarżenia były gotowe już na wiosnę. Widocznie, nie chciano doprowadzać do skandalu przed uroczystym „rocznicowym” Zjazdem w Lublinie, na którym miało dojść do jakiejś ugody. A że doszło tylko do zabawnego zaklajstrowania najważniejszych spraw — partia uderzyła pięścią w stół.

Ale trzęsienia ziemi to uderzenie nie spowodowało. Tyle że mocniej posypały się trociny z przeżartej przez mole kukły „socjalistycznego zaangażowania”.

* * *

Bo sprawę Wańkowicza należy rozpatrywać na tle ogólnej „polityki kulturalnej”, uporeczywie narzucanej przez reżym. Ogólna formułka jest prosta, nieskomplikowana i prymitywna: kto nie chce tej polityki zaakceptować, ten występuje przeciw partii i ustrojowi.

Zaangażowanie socjalistyczne! Stary, gnijący trup w odprasowanym na nowo garniturze! Gomułka mógłby w Lublinie gadać nie dwie ale cztery godziny, a i tak nie zagadałby oczywiście prawdy, że pod frazesami o „swobodzie w wyborze form artystycznych” kryje się zapędzanie do soc-realizmu sprzed „października” i odwilży. I tu a nie gdzieindziej znajduje się istotny odcinek walki.

Po dwudziestu latach komuniści nie potrafili wychować sobie ani jednego wybitnego pisarza, na którego książkę mogliby wskazać jako na wzory socjalistycznego zaangażowania. Marksistowsy pigularze picheą w pocie czoła recepty, których nikt nie wykonuje. Nie ma w narodzie świadomości socjalistycznej, więc nie ma socjalistycznej literatury. Takiego Wańkowicza nie trudno skazać na trzy lata więzienia. Ale gdzie są młodzi Wańkowicze, nowego chowu, którzyby czuli się w marksizmie, jak we własnej, ściśle przylegającej skórze i dali wizję artystyczną rzeczywistości po linii żądań reżymu? Nie ma! Skarżył się bezdzielny Cygan, że mu cudzych dzieci kraść nie pozwalają ...

Kompromitacja za kompromitacją. Nawet zapowiadanych represji nie potrafili przeprowadzić konsekwentnie i z jaką taką zrzęcnością. Wytoczenie procesu podyktowane było zapewne chęcią „odkucia się”, wyładowania na kimś wezbranej złości, oraz dania pisarzom odstraszającego przykładu. Reakcja, jaka nastąpiła w środowisku literackim — choćby w postaci manifestacyjnego wręczenia Wańkowiczowi więzanki

kwiatów — świadczy, jak się wydaje, że ten drugi cel nie został osiągnięty.

Wysiłki reżymu, zmierzające do namówienia pisarzy i artystów na „świadomość socjalistyczną”, sprowadzają się do bezsilnego dreptania na miejscu. Jest dowództwo, jest sztab, składający się z grupy gorliwców, niestety, twórczo raczej bezpłodnych, ale wojsko stoi z bronią u nogi i nie chce strzelać. Inni w ogóle broń porzucili i przypominają raczej zniechęconych maruderów, niż zdyscyplinowanych żołnierzy.

A dalsze perspektywy? Jeszcze jedno plenum ideologiczne, jeszcze kilka tasiemcowych kazań Gomułki, ziewające masówki, czy może rekolekcje z towarzyszem Kliszką w roli marksistowskiego Świętego Ducha, jeszcze wyższa sterta artykułów Żółkiewskiego, Schaffa, Sokorskiego czy Wilhelmiego... Dialektyka w poszukiwaniu talentów, czyli kulawy pies w pogoni za szewcem. Właśnie tak: psu na buty, towarzysze, psu na buty się nie zdało...!

Józef Łobodowski

REMONTY...

„Sygnalizuje” Fala 56 radia warszawskiego. Są to rozpaczliwe głosy śmiertelników, zamieszkujących domy należące do zarządu miasta. Jak wiadomo około 80 procent domów w miastach podlega pod względem napraw, niejmskim wydziałom remontowym.

Biednej obywatelce z Wrocławia postawiono po długich prośbach piec kuchenny. Po zapaleniu pieca dym wracał do kuchni, a spółdzielnia „Kominarz” wydała orzeczenie, że „przewód dymny nie spełnia swojej roli”.

Czterech obywateli z Przemysła skarży się, że po gruntownym remoncie, nie tylko nie wykończono ułożenia parkietów, ale dwu rodzinom doprowadzono wodę tylko do kuchni a nie do WC, dwu innym zaś tylko do WC a nie do kuchni. W czasie remontu zabrakło 50 metrów kw. materiałów do pokrycia dachu. Załoga odeszła pozostawiając dach niepokryty. W czasie deszczu woda leje się do mieszkań, odpada tynk i niedługo zaczną gnć belki.

Dwóch innych mieszkańców domów miejskich żali się, że po remoncie podłogi wykazują „wybrzuszenie”. Ludzie wywracają się po pagórkowatych podłogach. W jednym wypadku wydział remontowy uznał słuszność skargi i przysłał lokatorowi beczkę z plastikiem, który wlały pod podłogę ma spowodować opadnięcie „wybrzuszenia”. Beczkę postawiono lokatorowi pomiędzy meblami w jego ciasnym mieszkaniu. Załoga remontowców nie zgłosiła się więcej a beczka z plastikiem nadal zapelnia jego mieszkanie.

(JA)

KU CZEMU ZMIERZA ŚWIAT

PRZEWIDYWANIE w polityce, jako dotyczące przyszłości zawsze niepewnej, jest ryzykowne, ale niemniej zawsze to ryzyko podejmujemy. Przewidywanie towarzyszyć musi każdej akcji celowej człowieka, indywidualnej czy zbiorowej, ponieważ cel, do którego zmierzamy leży ze swej natury w przeszłości. Aby go osiągnąć musimy więc mieć jakieś widzenie — wizję tej przyszłej rzeczywistości sobie stwarzać. Im wizja ta trafniej oceni przyszłe warunki obiektywne i im więcej skutecznego wysiłku włożymy w ich urobienie po naszej myśli, tym więcej szans, że cele nasze osiągniemy.

Polityka światowa jest wypadkową celowej działalności rządów i warunków, obiektywnych tendencji, wśród których jest ona rozwijana. Determiniści, to teoretycy, których zdaniem wola ludzka odgrywa małą rolę w kształtowaniu rzeczywistości społecznej, a rządzą nią natomiast prawa, których znajomość pozwala przewidywać z pewnością, jakie fakty nastąpią. Skłonni do materialistycznego czy przyrodniczego determinizmu publicyści lubią stwierdzać, że to czy co inne stać się musi i stanie się „nieuchronnie“, że te czy inne zjawiska są „nieodwracalne“, że stały się i odstać nie mogą. Postawa taka zakłada zwykle dużą pewność siebie w przewidywaniach, stwarza pozory autorytetu i może być dla czytelnika atrakcyjniejsza, zwłaszcza jeśli maluje mu równocześnie przekonująco bardzo różowe widoki na przyszłość.

Na łamach „Orla Białego“, deterministyczna postawa ani łatwy optymizm, nie znajdowały na ogół w politycznych rozważaniach wyrazu. Przyjmując, że życie społeczne narodów i między narodami rozwija się pod wpływem z jednej strony krzyżujących się ich świadomych dążeń, a z drugiej — w wyniku rozmaitych warunków, z którymi te dążenia muszą się borykać, nie można, ani zbyt stanowczo przyszłości przewidywać, ani kreślić schematycznych, prostych obrazów rzeczywistości, jako uważanej za złożoną z wielu i zależną od tyluż elementów.

KIEDY BRAK PAŃSTWA — ORGANU POLSKIEJ WOLI...

Wśród tych elementów dzisiejszego świata politycznego brak, niestety, państwa polskiego, które było by wyrazem woli naszego narodu i polska wola, pozbawiona tego głównego swego wyrazu, w bardzo ograniczonej zaledwie mierze i zwykle pośrednio może na bieg wypadków wpływać. Ograniczone i małe te możliwości politycznego wpływu odstręczają często Polaków, przebywających w krajach świata wolnego i mających możność działania, od wszel-

kiej politycznej działalności. Wyraża się w tym jakby fałszywa ambicja dyktująca nam, że skoro szanse sukcesu są małe, wysilać się na tym niewdzięcznym polu nie warto. Taka ambicja jest nie tylko fałszywa, ale małoduszna. Kiedy nie mamy państwa i rządu, jako wyrazów własnej, narodowej woli i strzegących narodowych interesów, tym bardziej obowiązani jesteśmy pełnić te zadania jako emigracja, choćby możliwości nasze były najbardziej ograniczone i perspektywy zasadniczych osiągnięć najdalsze.

A pamiętać też musimy, że możliwości małe, to nie znaczy żadne, jak stara się nam wmówić komunistyczna propaganda, albo co podsuwa własna słabość lub zmęczenie długimi latami emigracji. Polityczne decyzje i możliwości zależą często, jak stwierdzono wyżej, od wielu czynników i nawet względnie słaba akcja, byle konsekwentnie rozwijana, może wreszcie natrafić na sprzyjające warunki i przynieść wtedy poważne owoce. Dzieje naszego długiego wieku niewoli i dawnych emigracji, albo nawet naszego, powojennego uchodźstwa świadczą, że jakiś zakres wpływów posiadać możemy, jakieś cele polityczne osiągać jesteśmy zdolni i że zależy to od naszej własnej pracy, organizacji i inicjatywy.

POLITYKA STANÓW ZJEDN.

Stopień tej naszej emigracyjnej wartości i sprawności politycznej waha się z biegiem czasu i przechodząc do omówienia polityki największego mocarstwa świata wolnego, Stanów Zjednoczonych, musimy w związku z tym stwierdzić na początku roku 1965, że ostatnio źle raczej wypadł polski egzamin. Doświadczenia mówią, że w tym kraju najlicniejszej Polonii interesy naszego narodu mogą być rozumiane i w okresie wyborów częściowo przynajmniej brane pod uwagę. Otóż, z okazji wyboru prez. Johnsona uzyskano pod tym względem tak mało i tego rodzaju oświadczenia, że stanowią one raczej pozycję ujemną. Notowaliśmy je na łamach „Orla“ w ubiegłym roku, a noworoczne orędzie prez. Johnsona, które pogłębia jeszcze przykre wrażenie w stosunku do sprawy Polski i innych narodów środkowo-wschodniej Europy, pozostawionych pod sowieckim zwierzchnictwem, jest nowym niepowodzeniem.

Wypowiedź prezydenta Stanów Zjednoczonych z 4 stycznia, które formułuje na rok 1965 politykę tego mocarstwa w sposób najbardziej oficjalny,

bo jako „orędzie o stanie unii“ skierowane jest do obu izb kongresowych, a od czasu telewizji zarazem do całego narodu amerykańskiego, dzieli problemy światowe wyraźnie na europejskie i azjatyckie. Sprawy Europy przedstawiają się prez. Johnsonowi pomyślnie i od tej strony nie spodziewa się większych kłopotów ani tym bardziej niebezpieczeństw.

WOBEC ROSJI, NIEMIEC — I NAS

Do Rosji, Johnson nie tylko kieruje zapewnienia pokojowej współpracy, ale zaproszenie do jej przywódców, aby odwiedzili Amerykę, wyrażając nadzieję, że poznanie się wzajemne bezpośrednio czy także przez wymianę wystąpień telewizyjnych zacieśni wzajemne stosunki. W ramach tegoż działu spraw wspomina o „narodach niespokojnych“ (restless), które powoli zaczynają utwierdzać swoją tożsamość („slowly beginning to assert their identity“), co ma dotyczyć — nie barbarzyńskich ludożerców i „niedorozwiniętych“ analfabetów, ale — Polski i innych starożytnych cywilizacyjnie oraz historycznie narodów środkowo-wschodniej Europy. Z narodami tymi i z Rosją Sowiecką prezydent Stanów Zjedn. chciałby „szukać dróg rozwinięcia pokojowej wymiany handlowej“. Trzeba stwierdzić, że są to formuły jeszcze mniej albo raczej gorzej mówiące, niż wypowiedzi Johnsona z wiosny ubiegłego roku o „pomostach“ do zachodniej Europy, czy wrześnie, ogólnikowe i nieobowiązujące życzenia, skierowane do nowojorskiej Organizacji Narodów Ujarmionych, aby uzyskały niepodległość.

Przykre to wrażenie pogarsza jeszcze fakt, że w tym samym orędziu Johnson mówi, iż „wielkim, nieukończonym zadaniem jest ponowne zjednoczenie Niemiec przez samostanowienie“. Miejmy nadzieję, że Polonia Amerykańska zareaguje odpowiednio na to fatalne zlekceważenie naszych narodowych postulatów, będących zarazem postulatami sprawy wolności w całym świecie.

EUROPA ZACHODNIA I DALEKI WSCHÓD

Sprawy Europy zachodniej są ujęte inaczej i oddzielnie. Prez. Johnson podkreślił, że we Wspólnocie Atlantyckiej Stany Zjedn. dążą w dalszym ciągu do powiększenia siły i jedności Europy oraz do jej współpracy z Ameryką. „Wolni Europejczycy — mówił prezydent — muszą sami kształtować przy-

NA POCZĄTKU 1965 ROKU?

szość Europy i z tych samych przyczyn kierunek taki był oraz będzie w interesie naszym i wolności". Takie ujęcie stosunku do zachodniej Europy, przypominające sformułowania de Gaulle'a, domagającego się — szczególnie wyraźnie w jego ostatnim, noworocznym przemówieniu — równości w przymierzu z Stanami Zjedn., wydaje się zapowiadać zbliżenie amerykańsko-francuskie. Na zbliżenie to zdawały się wskazywać już inne fakty, jak konkretne zapowiedzi zarzucenia lub co najmniej odroczenia spornej sprawy „wielostronnej broni nuklearnej“, które zanotowano w Waszyngtonie, w szczególności likwidacja odpowiedniego biura Pentagonu.

W odróżnieniu do europejskiej — gdzie naprzeciw światu wolnemu stoją, jakoby pokojowe, Sowiety — prez. Johnson czarnej namalował sytuację azjatycką. Tam „komunizm — zdaniem prezydenta — ma oblicze bardziej agresywne“. Wspominając konkretnie o wojnie w Wietnamie oświadcza: „bezpieczeństwo Stanów Zjedn. związane jest z pokojem w Azji... Dwukrotnie w ciągu jednego pokolenia musieliśmy walczyć przeciw agresji na Dalekim Wschodzie... Naszym celem jest pokój w południowo-wschodniej Azji. To przyjdzie, kiedy napastnicy pozostawią swoich sąsiadów w spokoju“.

WIETNAM — GROZBA WIĘKSZA, NIŻ JOHNSON SĄDZI

Ogólne i pozbawione poczucia grożącego bezpośrednio i wielkiego niebezpieczeństwa na skutek sytuacji w Wietnamie, zarówno te wypowiedzi Johnsona, jak jego polityka na tym terenie, od dłuższego czasu spotykają się z ostrą krytyką części prasy. Minęły czasy wyborcze, kiedy zjednoczona przeciw „zbyt“ antykomunistycznemu Goldwaterowi, prasa także republikanów popierała i zachwalała Johnsona.

J. Alsop na łamach „New York Herald Tribune“ z 4-go bm. pisze: „zapewne Biały Dom przekazuje słówka, że możemy bezpiecznie iść w Wietnamie dotychczasową drogą. Zapewne, inni sugerują, że możemy bezpiecznie zapomnieć o wietnamskiej wojnie i rokować o szersze dyplomatyczne układy, które by gwarantowały znośny pokój w Azji. Ale jest śmieszne mówić o rokowaniach, kiedy jest się nad brzegiem totalnej i ostatecznej klęski — chyba, że chciało być się rokowań, które by tylko zarejestrowały klęskę“.

W dalszym ciągu publicysta ame-

rykański przytacza opinię rzeczoznawców spraw azjatyckich, wskazującą na znaczenie i następstwa ewentualnej klęski i wycofania się Ameryki z Wietnamu. Rzeczoznawcy ci stwierdzają, według Alsopa, że wpadnięcie Formozy w ręce komunistyczne było by w takim wypadku kwestią najwyższej szóstki miesięcy. Dalej przyszła by kolej na inne kraje południowo-wschodniej Azji, po czym Filipiny wkroczyły by na rzekomo neutralistyczną a pewnie rewolucyjną drogę Indonezji. Ta znów zresztą ze swojej strony daje się z wznowioną siłą we znaki światu wolnemu, kierując swój impet głównie przeciw Malezji oraz, związanej z nią W. Brytanii.

Przytaczając tę krytyczną wobec Johnsona opinię jednego z czołowych publicystów amerykańskich, należy wskazać na inne niedostrzegane jakby przez Biały Dom i jego radców elementy dzisiejszej sytuacji w obozie komunistycznym. Wyciągając rękę zgody do Kremla i odróżniając rzekome bezpieczeństwo sytuacji europejskiej, gdzie komunizm reprezentuje Rosja, od groźniejszej w Azji, prez. Johnson bez wątpliwości przyjmuje, że czerwoną ofensywę azjatycką prowadzą jedynie komuniści z poparciem pekińskiego. Wbrew tej optymistycznej opinii, kilkakrotne wystąpienia ostatnie Moskwy świadczą, że to rozróżnienie jest co najmniej przestarzałe. Główni przywódcy sowieccy ostrzegli Waszyngton przed „imperialistyczną agresją“, czyli naprawdę obroną wolności Wietnamu i zapewnili komunistów tamtejszych o swoim pełnym poparciu. Nie trzeba dodawać, że rzekomo neutralistyczny, albo tylko pro-chiński Sukarno otrzymał i otrzymuje ekonomiczną i wojskową pomoc także od Rosji.

HORYZONT, RACZEJ KRWAWY NIŻ RÓZOWY

Cały zresztą horyzont światowy zapowiada się na rok 1965 raczej czerwono i krwawo, niż jasno i różowo. Nie tylko południowo-wschodnia Azja bowiem, ale kilka krajów innych, „nie-dorozwiniętych“ już stało się terenem rozruchów rewolucyjnych, jak Kongo czy Aden. Inne znów — jak afrykańska Nigeria, czy niejeden kraj Ameryki Łacińskiej, mają aż nadto materiału zapalnego, nadającego się do rozniecenia w pożar przez komunistycznych agentów.

Optymizm rządu amerykańskiego opiera się w zakresie wojskowym i gospodarczym na poczuciu własnej przewagi, uzasadnionym zapewne w dzie-

dzinie pierwszej i niewątpliwym w drugiej. Polityczna postawa optymizmu Johnsona jest natomiast chwiejna i słaba. Podstawę tę stanowi założenie istotnego konfliktu między Moskwą a Pekinem, mającego jakoby osłabiać ekspansję komunistyczną i uniemożliwiać skuteczne współdziałanie sowiecko-chińskie przeciw światu wolnemu. Gwarancja status quo w Europie, dawana Sowietom, miała by zapewnić nawzajem Stanom Zjednoczonym wolne od interwencji sowieckiej ręce przeciw czerwonym Chinom na Dalekim Wschodzie.

Te założenia po upadku Chruszczowa zostały początkowo uznane na Zachodzie za podważone. Ostatnio jednak — bez dostatecznej podstawy faktycznej — poglądy rządów zachodnich, w tym wypadku zgodne Waszyngtonu i Londynu z Paryżem, wracają do teorii głębszego rozbicia między Moskwą a Pekinem. Ignoruje się lub z tendencyjnym optymizmem interpretuje objawy poprawy stosunków nowych przywódców Kremla z Pekinem, co może jedynie ułatwiać Rosji przetrwanie okresu wojskowej i ekonomicznej słabości, jaki teraz przeżywa.

Nad myśleniem o sprawach bloku komunistycznego góruje jednak omówiony na wstępie determinizm, głęboko zakorzeniony w zachodniej umysłowości pewnego typu i dobrze służący krótkowzrocznym raczej, wyborczym przeważnie rachubom zachodnich rządów. Determinizm ten wpoił przekonanie, że demokratyzacja i samorzutny rozkład imperium komunistycznego, który ma zaoszczędzić światu wolnemu wysiłku i ofiar, jest procesem „koniecznym i nieodwracalnym“, zezwalającym na pławienie się we własnej pomyślności i dobrobycie a lekceważenie ostrzeżeń ze strony ludzi nie wyznających tego deterministycznego optymizmu.

Miejmy nadzieję, że doświadczenia nowego roku 1965 nie będą zbyt gorzkie a nauczą zachodnich przywódców dalej patrzących w przyszłość, realizmu politycznego. Z. S.

FRANCJA

WPLACILI NA LEKARSTWA DO KRAJU:

4088 L.S.Co. (kpt. Rogoziński Kazimierz) Fr. 50.00; 4013 L.S.Co. (kpt. Jaworski Jan) Fr. 52.31; 4507 L.S.Co. (mjr. Krojakopec Teodor) Fr. 100.00.



SYBKO I TANIO!

Biuletyny, ulotki reklamowe, druki jedno- i wielobarwne w y k o n u j ą

ZAKŁADY GRAFICZNE

GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.

171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. BAT 0879

Literatura związana z sześćsetną rocznicą Uniwersytetu Krakowskiego (w rozszerzonej wykładni: z 600-leciem nauki polskiej) — jest ilościowo bardzo obfita. Na systematyczną — choćby tylko bibliograficzną — jej charakterystykę jeszcze za wcześnie, bowiem szereg zapowiadanych publikacji dotychczas się nie ukazał.

„Informator“, wydany przez Komitet jubileuszowy (Kraków, 1963, str. 70) — niestety, technicznie zdefektowany — wylicza ponad 50 pozycji wydań, przygotowanych przez Uniwersytet Jagielloński, Akademię Medyczną, Wyższą Szkołę Rolniczą i PAN. W planie wydawniczym znajdują się m. in. tak podstawowe pozycje, jak czterotomowe „Dzieje Uniwersytetu Jagiellońskiego“ (praca zbiorowa pod redakcją Kazimierza Lepszego, napisana przez M. Chamcównę, J. Hulewicza, K. Mrozowską, K. Piwarskiego i K. Grzybowskię); „Historia Biblioteki Jagiellońskiej“, napisana pod redakcją J. Baumgarta, Z. Ciechanowską, I. Zarębską; „Historia Archiwum U.J.“, praca zbiorowa pod red. H. Barycza; „Przewodnik po Muzeum Nauki U.J., wraz z jego historią“, napisany przez K. Estreichera; „Historia Katedr Wydziału Filologicznego U.J.“ pod red. W. Taszyckiego i A. Zaręby. Z tymi pracami historycznymi wiąże się ściśle szereg prac o charakterze bibliograficznym.

W dziale monograficznym plan wydawniczy zawiera m. in. monografie: Z. Kaczmarczyka „Polska czasów Kazimierza Wielkiego“; E. Rybki „Cztery wieki rozwoju myśli Kopernikowskiej“; B. Leśnodorskiego „H. Kołłątaj“; C. Bobińskiej — K. Lepszego „Studia z dziejów młodzieży akademickiej od Odrodzenia do końca XIX w.“; J. Buszki „Społeczno-polityczne oblicze U. J. w dobie autonomii galicyjskiej (1869-1914)“. Ta ostatnia praca wyszła w 1963 roku.

W serii „Wielkich uczonych“ ukazały się w 1963 r. charakterystyki: Jana Śniadeckiego (autor: M. Chamcówna); Józefa Grzybowskię (autor: F. Bieda); Pawła Włodkowica (autor L. Ehrlich).

Akademia Medyczna w Krakowie wydała m. in. w 1963 r. „Zarys historii krakowskiej szkoły medycznej“ (autor: L. Tochowicz); dwa tomy pracy zbiorowej pod red. B. Skarżyńskiego „600-lecie Medycyny Krakowskiej“; „Skład osobowy Wydziału Lekarskiego i Farmaceutycznego U. J. w latach 1364 do 1949“.

Wyższa Szkoła Rolnicza zapowiedziała wydanie „Dziejów studiów rolniczych w Krakowie 1890-1962“. Jest to praca zbiorowa pod red. H. Jurkowskiej, T. Komornickiego i T. Lityńskiego.

STEFAN MĘKARSKI

LITERATURA ROCZNICOWA

Wreszcie plan wydawniczy PAN obejmuje m. in. prace już wydane albo zapowiedziane: „Uniwersytet Jagielloński w dobie Komisji Edukacji Narodowej“ (dwa tomy autorstwa M. Chamcówny, ukazały się w latach 1957 i 1959); pracę zbiorową o „Uczonym doby Odrodzenia — Sebastianie Petrycy“ (1957); pracę o „Macieju z Miechowa“ (1960); „Fizykę na U. J. od czasów najdawniejszych do r. 1945“ (autor: T. Piech, 1964); pracę zbiorową pt. „Dzieje nauki polskiej“ (red. B. Suchodolski, 1964).

Z literaturą wymienioną związane są liczne publikacje naukowe, których tematyka nie dotyczy rocznicy U. J. Autorzy dedykowali je jubilatowi za pośrednictwem ujednostajnionej inskrypcji na karcie tytułowej: „Universitati Litterarum Jagiellonicae Cracoviensi sex saecula abhinc faustis auspiciis conditae sacrum“. Inskrypcja ta zaopatrzona datami: 1364- 1964, ozdobiona jest skrzyżowanymi berłami i koroną królewską.

Rocznicową literaturę wzbogacają nadto trudne do ujęcia dziś liczbowo przyczynki, artykuły naukowe i wspomnienia, zamieszczone w pismach periodycznych zarówno w kraju, jak na emigracji. Znajdą się wśród nich na pewno rzeczy o nieprzemijającej wartości merytorycznej, godne zebrania w osobną publikację.

Piszący te słowa, opierając swoją wiedzę o dawnej historii Uniwersytetu Jagiellońskiego przede wszystkim na dwutomowym dziele Kazimierza Morawskiego (1900), radby zdać sprawę zwłaszcza z nowych, wymienionych wyżej syntez historycznych, zawierających dzieje Szkoły Krakowskiej i jej Biblioteki. Niestety, prac tych nie posiadam jeszcze pod ręką. Pragnę przeto najwięcej zanotować najważniejsze dane o publikacjach, którymi w tej chwili dysponuję.

Na czoło wysuwają się dwie pozycje Henryka Barycza, profesora historii i oświaty w U. J., kontynuatora badań K. Morawskiego, ks. J. Fijałka i S. Krzyżanowskiego. Pierwsza z tych prac „Alma Mater Jagellonica“ (Kraków, 1958, Wydawnictwo Literackie, str. 412) zawiera studia i szkice z przeszłości U. J. i ogłoszona została 6 lat temu już z myślą o zbliżającym się jubileuszu. Problemy i sprawy, przedstawione w książce dotyczą przede wszystkim celów i zadań Kazimierzowskiej koncepcji uniwersytetu; dążeń pierwszych profes-

orów do zajęcia nadrzędnego stanowiska w ówczesnym życiu Polski; roli uniwersytetu w utrzymaniu związku duchowego z utraconymi przejściowo dzielnicami: Śląskiem i Pomorzem; walki z zakonem jezuitów; katastrof w epokach przełomowych.

W książce uwzględnił autor obszernie sprawę barbarzyńskiej „Sonderaktion Krakau“ z dn. 6 listopada 1939, przeprowadzonej przez hitlerowców. Warto też zapoznać się z poglądem krakowskiego badacza na rozczłonkowanie U. J. przez rządy komunistyczne. Oto fragment z jego przemówienia w listopadzie 1956 na wspólnym posiedzeniu senatów akademickich U. J. i Akademii Medycznej: „Jak inne podobne pociągnięcia, zmierzające do rozczłonkowania naszego szkolnictwa akademickiego, eksperyment ten (tj. odłączenie wydziału lekarskiego od U. J.) nie wytrzymuje próby życia — uboży bowiem treść i sens pracy uniwersyteckiej, zacieśniał odłączone uczelnie do szczupłych granic fachowych, a w naszym wypadku odbierał Akademii jej wielowiekową żywotną tradycję. Jednocześnie pozbawił nasz Uniwersytet tak istotnego składnika naukowego, wiążącego rozlicznymi węzłami naukę z życiem (...) I właśnie wbrew głoszonej zasadzie o nierozzerwalności związku nauki z życiem doszło do wyłączenia z Uniwersytetu jego składowej części, która z teorią łączy bodaj najdoskonalej praktykę życia“.

Druga, bardzo instruktywna praca Barycza „Uniwersytet Jagielloński w życiu narodu polskiego“ (Ossolineum, Wrocław i in. 1964, wyd. II, zmienione i rozszerzone, str. 139) nie powtarza już cytowanego wyżej fragmentu krytycznego o rozczłonkowaniu, chociaż stwierdza „odejście 5 wydziałów i kilku studiów ze składu uczelni“ po 1945 r. nie tai, że „z rokiem 1948 wszedł Uniwersytet w kilkuletni (do 1956 r.) okres regresu, uwarunkowany ogólnymi stosunkami wewnętrznymi i nową fazą, zainaugurowaną w polityce kulturalnej“. Kraków stracił swój naukowy prymat na rzecz Warszawy. Dlatego „regres“ miał ustać po 1956 r. — tego Barycz nie wyjaśnia, notuje tylko dość enigmatycznie, że ustawa o szkołach wyższych z 1959 r. pozwoliła na odbudowę „utraconych chwilowo niektórych kierunków, pomnożenie i uzupełnienie się naukowych“. W każdym razie — pisze w zakończeniu prof. Barycz — „Uniwersytet Jagielloński nie odzyskał już dziś swej dominującej pozycji“ w nauce polskiej.

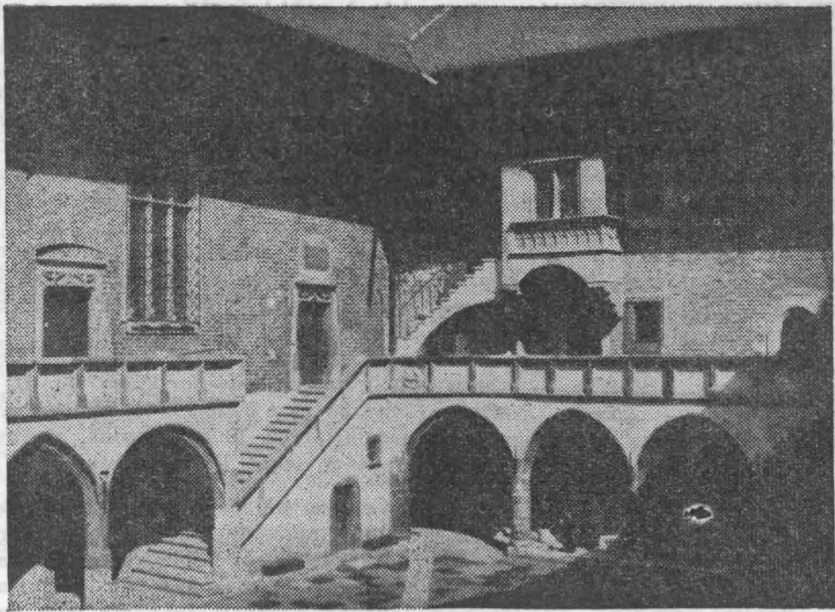
600-LECIA NAUKI POLSKIEJ

Do podstawowych pod względem naukowym jubileuszowych wyników wydawniczych należy niewątpliwie „Inwentarz rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej nr 6001-7000“. Cz.1, 6001-6500, str. XIII, 283; cz. 2, nr. 6501-70z0, str. 428. Opracowali: A. Jałbrzykowska, J. Zathy przy współudziale Z. Jagodowej, J. Tyszkowskiej, Kraków 1962.

J. Zathy podkreśla w przedmowie do tych dwóch tomów, że podstawą badań źródłowych, na których opierają się wyniki monograficznych ustaleń i syntetycznych oświetleń są w zakresie nauk humanistycznych przede wszystkim źródła rękopiśmienne. Stąd postulat udostępnienia katalogów i inwentarzy rękopisów badaczom. Rozumiano znaczenie takiego wydawnictwa już blisko sto lat temu, gdy w 1877 r. z inicjatywy Karola Estreichera ukazał się Katalog rękopisów Biblioteki U. J. (ponad 1000 stron) opracowany przez Władysława Wisłockiego, obejmujący 4.176 pozycji. Pracę Wisłockiego kontynuowano i w 1938 r. ukazał się dalszy (już tylko powielony) Katalog 676 str.) obejmujący dalsze pozycje do nr. 6.000. Zawartą w wydanych obecnie dwóch tomach kontynuację rozpoczęto w 1955 r., przy czym — obok wymienionych wyżej współpracowników — przyczynili się do dalszego udostępnienia skarbów rękopiśmiennych Biblioteki Jagiellońskiej dyr. W. Pocięcha, W. Bandura i L. Hajdukiewicz.

Władysława Szafera „Zarys historii botaniki w Krakowie na tle sześciu wieków Uniwersytetu Jagiellońskiego“ (Kraków 1964, str. 170) zainteresować może nie tylko badaczy botaniki polskiej, szczerzej się posiadaniem już w XV w. jednego z najwybitniejszych przyrodników średniowiecza — Jana Stanki (1430-1493). Pasjonujący jest rozdział książki o barbarzyńskim niszczeniu uniwersyteckiego Ogrodu Botanicznego w Krakowie przez niemieckiego gubernatora Franka i przez odkomenderowanego z Berlina do dewastacji zakładów botanicznych w Polsce dr. Wilhelma Hertera.

Instruktywną i esencjonalną jest broszura zmarłego w czerwcu 1964 r. rektora U. J. Kazimierza Lepszego „Uniwersytet Jagielloński wczoraj, dziś i jutro“ (Kraków 1963, str. 36). Ma ona poza tym charakter propagandowy w dobrym, ale — niestety — i w złym, bo partyjnym sensie, wyolbrzymiając bez-



Dziedziniec Collegium Maius w Krakowie

zasadnie znaczenie „przedstawicieli rewolucyjnej lewicy, jak Julian Leszczyński-Leński, Ignacy Fik, Stanisław Ziaja, Oskar Lange“ jako wychowanek U. J., akcentując walor „nowych podstaw metodologicznych“ (wiadomo — jakich!) i „mecenatu Polski Ludowej“ nad Uniwersytetem. Broszura jest ładnie ilustrowana, roi się natomiast o błędów, puszczona w świat najwidoczniej bez korekty.

Z Wydawnictw Jubileuszowych U. J. warto przeczytać niektóre relacje wychowanków tego uniwersytetu w książce „Patrzac ku młodości“ (redakcja i wstęp K. Wyki, Kraków 1964, str. 183) zwłaszcza wspomnienia Jerzego Sikory (z lat 1932-1936) i Ludwika Regorowicza (z lat 1907-1910). Znajdzie w nich czytelnik sporo materiału obiektywnie referowanego, informującego o nauce, profesorach i młodzieży w tych okresach. Niepodobna natomiast zrozumieć, jak mógł Komitet Jubileuszowy i redaktor prof. K. Wyka wyróżnić nagrodą zawartą w tej książce relację J. Siemka p.t. „Bratniak U. J. Anno Domini 1937“. Autor, znany skądinąd paszkwilant, „rozpracowujący“ partyjnie sprawę Kościół w Polsce, zaraz w trzecim akapicie swego wspomnienia, tak oto charakteryzuje tło polityczne, na którym kształtowała się „świadomość krakowskiej młodzieży akademickiej“: „Wzory włosko-niemieckie odpowiadały planom politycznym polskich rządów sanacyjnych, gotowych skumać się nawet z diabłem, byle tylko ujarzmić społeczeństwo w wiernopoddanej postawie, byle tylko odwrócić jego uwagę od spraw żywotnie obchodzących cały naród“, itd., itp.

Swoistą pozycję jubileuszową stanowi książka wydana przez Państwowe

Wydawnictwo „Iskry“ (dla młodzieży) pt. **Zaułek sześciu wieków** (Warszawa 1963, str. 293). Autorzy: Stefan Bratkowski i Janusz Roszko jako imaginacyjni reportażyści dziejów Szkoły Krakowskiej od jej zarania po czasy najnowsze, poświęcili znaczną część książki charakterystyce antykościelnych awantur, domów publicznych, zbroceń seksualnych, chorób wenerycznych i tym podobnych „przygód“, reżyserowanych i doświadczanych przez młodzież Akademii Krakowskiej w ciągu wieków. Owszem, rzecz może być smakowita w lekturze dla pewnej kategorii czytelników, zwłaszcza, że — jak z podziękowaniem kwitują autorzy — oparta jest na źródłach, udostępnionych „reporterom“ przez takie autorytety w zakresie historii U. J., jak profesorowie: I. Zarębski, J. Zathy, H. Barycz i K. Estreicher ...

Z prawdziwym zainteresowaniem czyta się niewielką książkę prof. Jana Dąbrowskiego „Kazimierz Wielki — twórca Korony Królestwa Polskiego“ (Ossolineum, Wrocław 1964, str. 128) poświęconą, przez Towarzystwo Miłośników Historii i Zabytków Krakowa Uniwersytetowi Jagiellońskiemu na sześćsetletni jubileusz. Wybitny badacz XIV w., charakteryzuje w niej młodość króla, jego „rządy prawa“, akcje budowlaną i mecenat sztuki, dochody królewskie i system monetarny, nade wszystko zaś „ewolucyjną formę zjednoczonego państwa polskiego“, zainicjowaną przez ostatniego Piasta, znaną pod nazwą Corona Regni Poloniae. Lwówian szczególnie interesować powinna w książce Dąbrowskiego interpretacja praw piastowskich do Ziemi Czerwieńskiej. Dąbrowski podkreśla, że „spadek haličko-włodzimierski pragnie Kazimierz

Wielki posiadać tym samym prawem, co Pomorze Gdańskie, tj. tak, jak go przodkowie jego (predecessores) posiadali". Był to — pisze Dąbrowski — „program odbudowy Polski bolesławowskiej“, dawał „w sumie granice Polski odpowiadające mniej więcej epoce Bolesława Chrobrego“, skoro również na zachodzie obejmował Śląsk, Ziemię Lubuską i Pomorze Zachodnie po Odrę. Dąbrowski zaznacza, że „dzisiejsza historiografia“ (tzn. ta, która pozostaje pod inspiracją Moskwy i PZPR) — wbrew śdotychczasowej — „ocenia politykę wschodnią Kazimierza Wielkiego negatywnie: jako bezprawny zabór ziem ruskich...“. Autor książki niedwuznacznie daje do zrozumienia, że nie podziela tego poglądu (str. 35-36).

EMIGRACYJNE I CUDZOZIEMSKIE ECHA JUBILEUSZU

Na zakończenie kilka uwag o emigracyjnych i cudzoziemskich echach krakowskiego jubileuszu.

Na czoło wysuwa się tu obszerny artykuł prof. Oskara Haleckiego pt. 600-lecie Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego (Odbitka z „Tek Historycznych“, t. XIII Londyn 1964), w którym autor w przeciwieństwie do niektórych historyków krajowych podkreśla starania króla w Awinionie (w 1363 r.) o utworzenie wydziału teologicznego w zakładanym uniwersytecie (równocześnie z supliką o założenie biskupstwa katolickiego we Lwowie) i próbuje odpowiedzieć na pytanie, dlaczego rozwój uniwersytetu był tak zagrożony, że po 30 latach potrzebne było formalne wznowienie jego fundacji. Halecki przypomina, że również uniwersytet praski, założony w 1348 r. zaczął regularnie działać dopiero w 1360 r., zaś węgierski uniwersytet w Pięciukościolach (Pecs) założony w 1367 r. zamarł w samych początkach. Zdaniem Haleckiego utrwalenie wszechnicy „na kresach świata zachodniego“ wymagało ciągłości politycznej, ta zaś została przerwana wskutek śmierci króla już po 6 latach od założenia uniwersytetu. W każdym razie stabilizacja polityczna osiągnięta dzięki powołaniu na tron Jadwigi umożliwiła wznowienie fundacji w 1400 r., które na Węgrzech się nie powiodło.

Nowojorski „The Polish Review“ (vol. IX, no 2, 1964) wydał osobny zeszyt (str. 140) poświęcony rocznicy U. J. Składają się nań prace: W. Lednickiego (ogólna retrospekcja historyczna); prof. historii w uniw. Pensylwania Otakara Odlozilika (o uczonych praskich

i krakowskich w XV w.); Peter Brocka, prof. historii w uniw. Columbia na temat walki o wolność nauki na U. J. w 1800 r.; Jerzego Gołosa (wykładającego muzykologię w Brooklyn College) o muzykologii U. J.; znanego Polakom sławisty i doktora U. J. prof. Williama J. Rose wspomnienia osobiste o Krakowie; Wiktora Weintrauba, polonisty w uniw. harwardzkim, który odtworzył sylwetki profesorów I. Chrzanowskiego, K. Nitscha i S. Wędkiewicza; Wandy Stachiewiczowej rys historyczny U. J., i in. To samo pismo zamieściło adres uniwersyteu nowojorskiego do U. J. oraz (w nrze 3-cim, 1964) pismo gratulacyjne prez. L. B. Johnsona, wystosowane do tegoż Uniwersytetu.

Cennym wkładem emigracji do święta nauki krakowskiej jest broszura prof. Leona Koczego „Uniwersytet Krakowski — sześć wieków w służbie Narodu i nauki“ (Szkocja 1964, str. 32). Prof. Koczy kładzie w niej główny akcent na genezę Szkoły Krakowskiej. W genezie tej „dążenia i potrzeby Królestwa i Kościoła schodziły się tak dalece, że obdarzenie Polski uniwersytetem mogło być tylko wspólnym ich dziełem“. Jest to stwierdzenie ważne, bowiem wspólnotę tę usiłują dziś podważyć historycy komunistyczni w Polsce. Do broszury dołączona jest podobizna pięknie wykonanej karty „Homagium wysłanego przez społeczeństwo polskie w Szkocji na ręce rektora Uniwersytetu Krakowskiego“. Na karcie tej czytamy wezwanie pod adresem krakowskiej uczelni, aby „pozostała na wszystkie czasy ostoją kultury zachodniej na Wschodzie Europy“. Na „homagium“ to odpowiedział z podziękowaniem prorektor U. J. prof. K. Wyka stwierdzając, że „uczelnia nasza zawsze pamiętać będzie o tym darze i o uczuciach, które go spowodowały“.

Analogicznym adresem uczciły rocznicę pod auspicjami Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie londyńskie organizacje naukowo-kulturalne. Rektor U. J. prof. M. Klimaszewski odpowiedział na ten adres grzecznościowym listem.

Jan Bielatowicz w gawędzie pt. Gaude Mater Polonia (Biblioteka „Kultury“, t. CI, Paryż 1964, str. 80) zawarł sporo anegdot i wspomnień z okresu studiów swoich w Krakowie zarówno o profesorach jak i młodzieży. Opowiedziane z temperamentem, wspomnienia te nie omijają osób żyjących. Autor dowcipnie ożywia np. wyczynny „Robespierre'a nowej poezji“ Mariana Czuchnowskiego, który choć „siedział bez przerwy w mamrze“ był ulubieńcem wszystkich z lewa, z prawa i ze środka“.

Stefan Mękowski

O EPIGONIZMIE I ROCZNICACH

Epigonizm to zjawisko, które okresowo powtarza się w historii i występuje na wszystkich polach ludzkiego życia. W sztuce, nauce i literaturze albo polityce, wszędzie mamy wielkich i oryginalnych twórców, po których przychodzą następcy, często mierzni i tym mniejszego kalibru im więksi byli poprzednicy. Następcy stają się epigonami, jeśli zaledwie naśladowają swoich mistrzów, jeśli nie rozwijają samodzielnie ich twórczości, jeśli zważają ich horyzonty, a przejęty styl zamieniają w manierę. Stają się oni w rezultacie czynnikiem zastój, który z kolei odstrasza oraz krępuje nowe fale twórczości.

W polityce epigonizm zjawia się chyba najczęściej, kiedy po tryumfach i zwycięstwach przyszły klęski. Pokolenie klęski, jak nasze współczesne, które wyrosło po odbudowaniu państwa w wyniku pierwszej wojny, traktatu wersalskiego i zwycięstwa roku 1920, a ma za sobą klęskę wojny drugiej, jest tego klasycznym chyba przykładem.

Jego przywódcy polityczni chowają się nieraz chętnie w cień wielkich poprzedników, boją się patrzeć na nową rzeczywistość własnymi oczyma i trzymają się uparcie dawnych form, choćby przestarzałych. Kult wielkich postaci okresu minionego staje się dla nich ucieczką od rzeczywistości, spadek po zmarłych mistrzach kapitałem, którego nie umieją rozwijać i który natomiast ma ich zwalniać od obowiązku szukania nowych dróg w nowym położeniu politycznym.

Wydają się też jakby nieświadomi tego, że sami skazują się w ten sposób na rolę epigonów, którymi być nie powinni i może nie muszą. Bo epigonizm to właśnie zapatrzenie się w przeszłość, które przesłania czasy nowe i utrudnia ich zrozumienie, to przykładanie starych miar do nowych zagadnień i strążowanie przy dawnych zasobach bez ich rozwijania i pomnażania. Epigonizm, to przerost poczucia historii i kultu dawnych wielkości kosztem obowiązków wobec dnia dzisiejszego i jutra, to wreszcie czasem egotyczne przenoszenie własnej starości, osobistej czy pokoleniowej, na politykę narodu, który przecież nie kończy swojej drogi z żadną, największą nawet klęską, ani z żadnym, największym pokoleniem.* I starość nie musi się też bynajmniej wiązać z epigońskim stosunkiem do rzeczywistości ani żyć jedynie wspomnieniami-

ni; póki życia, każdy ma prawo pa-
trzeć w przyszłość — nowych, następ-
nych pokoleń narodu.

Epigońskie skłonności przywódców
naszych stronnictw bywały przez nich
z pożytkiem przewycięzane. Akt Zjed-
noczenia, przed dziesięciu laty podpisa-
ny, miał zespolić ich wszystkie siły
na wspólnym, konstytucyjnym gruncie
i dla wspólnych, przyszłych celów. Miał
więc w oparciu o najcenniejsze elemen-
ty zachowane, dać podstawę do nowego
startu, zasilić nową żywotnością —
zwłaszcza młodszych żywiołów — naszą
politykę niepodległościową, w tak trud-
nych warunkach emigracyjnych prowa-
dzoną. Zjednoczenie wszakże pozostało
niekompletne i chyba nie stało się orga-
niczne, nie stworzyło dość żywotnego,
nowego i atrakcyjnego środowiska ideo-
wego, mało pociągnęło sił świeżych. To
z kolei — w braku tych twórczych
osiągnięć — ożywiło znowu pierwiastki
epigońskie i odśrodkowe.

A przecież, im trudniejsze jest po-
łożenie narodu i trudniejsze zadania sta-
ją przed jego polityką, tym sprawniej-
sza powinna być służąca tej polityce
organizacja, tym mniej obciążać ją
winno anachronicznych czy innych ba-
lastów, tym lepszą winna mieć selekcję
przywódców i lepsze intelektualne wa-
runki rozwijania samodzielnej myśli.
Epigonizm staje się wobec tych koniecz-
ności przeszkodą i czynnikiem zastoju.

Środowisko zespołów ideowych a re-
prezentujących wysoki poziom umyśle-
wy, to silniejsze od osób i trwalsze pod-
stawy naszej polityki, która musi być
nastawiona także na dalszą metę. Czas
jest w polityce czynnikiem nieuchwytnym
i nie podzielam poglądu, jakoby
nasz zasadniczy cel odzyskania niepod-
ległości musiał być odkładany „nieu-
chronnie“ do dalszej przyszłości. Z pew-
nością jednak w ewentualnością długo-
trwałości naszego dążenia musimy się
liczyć, na dalszą metę planować i dbać,
by nam czy naszym następcom oddechu
nie brakło.

A przecież wzięto nas „w ciasny krąg
łańcucha i każą oddać co najprędzej
ducha“, bo ze wszystkich stron idą prze-
cim nam obce wpływy wspomagane na-
szymi własnymi słabościami. Komunisty-
czny reżym chciał by wpięć zrobić
z nas emigrację tylko zarobkową i z
kolei zamienić we własne narzędzie mo-
skiewskiego satelity. Zachodnie znów
koła polityczne widziałyby najchętniej
polską emigrację jako zaledwie pochod-
ną własnej polityki wobec Rosji i bloku
komunistycznego, niekoniecznie i nie-
zawsze pokrywającą się z polskimi dą-
żeniami do odbudowania niepodległego
państwa oraz wyzwolenia narodu z ko-
munistycznego imperium.

Aby nie utonąć w tej, zalewającej
nas fali, trzeba wszystkie siły skiero-

wać do zadań aktualnych i zewnętrz-
nych, a nie marnować ich na epigońskie
spory, obciążające nas nietwórczą stro-
ną narodowej przeszłości. Nie znaczy
to, oczywiście, że należy się w ogóle
od przeszłości odwracać, bo epigonizm
to przerost i wypaczenie zdrowego po-
czucia ciągłości życia narodowego, a nie
jego pożyteczny i twórczy wyraz.

Epigońskie albo twórcze pojmowanie
historii ujawnia się konkretnie w spo-
sobie obchodzenia narodowych rocznic,
które też pobudziły mnie do tych roz-
ważań. W rocznice, które są świadec-
twem ciągłości życia narodowego i któ-
re są obchodzone we wszystkich kra-
jach, można wkładać treść rozmaitą.
Jeśli są skierowaniem myśli wyłącznie
ku przeszłości i zwłaszcza, gdy stają się

okazją do wskrzeszania starych sporów,
przynoszą skutki ujemne, odstręczając
od siebie słuchaczy i uczestników. Na-
tomiasz, jeśli przypominają osiągnięcia
pozytywne, jeśli przyczyniają się do
rozszerzania i pogłębiania znajomości
historii, jeśli wreszcie, — co najważ-
niejsze — wiążą przeszłość z pracami
bieżącymi i wskazują drogę postępowa-
nia na przyszłość, wtedy są twórczym
czynnikiem rozwoju i będą pociągały
ku sobie młode, patrzące w przyszłość
żywioly.

Urządzajmy więc obchody rocznic, ale
nie jako stypy pogrzebowe czy wzna-
wianie pieniających procesów. Rocznice,
te powinny być spojrzaniem w przesz-
łość dla budowania przyszłości.

Zdzisław Stahl

KS. BISKUP RUBIN NA ZJEŹDZIE MILENIJNYM

Z coraz większym rozmachem przygo-
tują się wszystkie ośrodki polskie w W.
Brytanii do należytego uczczenia Tysią-
clecia Chrztu i istnienia państwa polskie-
go. Niemal wszędzie już powstały specja-
lne Komitety Millennium, które przygo-
tują programy, wciągając do współpracy
wszystkich co czynniejszych Polaków. Nie
ulega wątpliwości, iż rok 1966 będzie —
jak słusznie ktoś nazwał — „rokiem pol-
skim“ na tej wyspie, gdyż już od wczes-
nej wiosny do późnej jesieni odbywać się
będą wszędzie uroczystości zakrojone nie-
jednokrotnie na wielką skalę.

Może najmniej słychać o przygotowaniach
w samym Londynie, mimo iż tu
właśnie znajdują się główne władze Ko-
mitetu Obchodu Tysiąclecia Polski Chrześ-
cijańskiej. Ale i tu nie zasypia się grus-
zek w popiele. Zarząd tego Komitetu od-
bywa regularnie swoje zebrania, na któ-
rych omawia szczegółowo plany z jakimi
zamierza wystąpić w 1966 roku. Poza bro-
szurą w języku polskim, pióra dr Woj-
ciecha Wasiutyńskiego rozesłaną na cały
świat w ilości 10.000 egzemplarzy, Zarząd
zatwierdził projekt afisza zaprojektowa-
nego przez znanego artystę Tadeusza Orlo-
wicza. Afisz przedstawia wielki krzyż, któ-
rego podstawą jest orzeł. Krzyż otacza-
ją polskie chorągwie. Afisz wydrukowany
będzie w nakładzie 3.000 sztuk i także
rozesłany zostanie za drobną opłatą do
wszystkich środowisk polskich na całym
świecie. Afisz wykonany będzie w czte-
rech kolorach.

Pod koniec stycznia bież. roku odbędzie
się w Londynie wielki zjazd, na który za-
proszeni zostaną przedstawiciele wszyst-
kich komitetów milenijnych w całej W.
Brytanii. Wezmą w nim udział przedsta-
wiciele organizacji centralnych, które
wchodzą w skład Komitetu Tysiąclecia.

W zjeździe tym weźmie także udział
ks. biskup Rubin z Rzymu, któremu Pry-
mas Polski ks. kard. Wyszyński powierzył
zadanie kontynuowania — po śp. ks. arb.
Gawlinie — przygotowań do obchodów
milenijnych na całej emigracji. W ten
więc sposób społeczeństwo polskie w W.
Brytanii będzie miało okazję spotkania się
po raz pierwszy z delegatem Prymasa
Polski jako Opiekunem Uchodźstwa Pol-
skiego. Przy tej okazji ks. biskup odwie-
dzi szereg ośrodków polskich w W. Bry-
tanii.

Główne uroczystości londyńskie odbędą
się 22 maja 1966 na stadionie White City,
oddanym Polakom do dyspozycji za nie-
zwykłą skromną kwotę 50 funtów. Poza u-
roczystą Mszą św. na stadionie odbędzie
się także specjalne widowisko historyczne,
którego opracowaniem i przygotowaniem
zajmie się dr Kielanowski. Ta uroczystość
winna być wielką manifestacją religijną
i narodową.

W jesieni — w październiku lub w lis-
topadzie — odbędzie się w Albert Hallu
wielki koncert, na którym wystąpią wszyst-
kie chóry polskie w Londynie pod batutą
Henryka Hosowicza oraz znany kompozy-
tor Panufnik. Na koncercie wykonana bę-
dzie specjalna symfonia milenijna kom-
pozycji Andrzeja Panufnika.

W projekcie jest także pielgrzymka z
Londynu do Rzymu — w początkach wrze-
śnia (termin nie jest jeszcze ostateczny),
by wziąć udział w uroczystościach orga-
nizowanych przez Centralny Komitet Ty-
siąclecia Chrztu Polski, na którego czele
znajduje się ks. biskup Rubin. Rzym przy-
gotowuje dla pielgrzymów polskich z ca-
łego świata szereg imprez natury religij-
nej. M.in. planowana jest specjalna au-
diencja u Ojca Świętego.

Wielką troską Komitetu londyńskiego są
oczywiście fundusze. Duże są bowiem
wydatki związane czy to z wydaniem bro-
szur propagandowych (w planie jest także
specjalna broszura w języku angielskim)
i afisza o którym była mowa wyżej, jak
również inne wydatki, związane z samym
organizowaniem uroczystości na White Ci-
ty i w Albert Hallu. Komitet ma nadzieję,
że organizacje społeczne, jak i całe spo-
łeczeństwo poprze prace Komitetu przez
złożenie specjalnych ofiar.

Uroczystości będą miały charakter re-
prezentacyjny i stąd wielka odpowiedzial-
ność nie tylko samego Komitetu, ale i ca-
łego społeczeństwa polskiego, by w pra-
cach przygotowawczych wziąć jak najczyn-
niejszy udział. Do pomocy potrzeba bę-
dzie wielu rąk, gdyż sam Zarząd, liczący
zaledwie około 10 osób, nie będzie w sta-
nie swych planów zrealizować. Na posie-
dzeniu grudniowym wyrażono nadzieję, iż
społeczeństwo nie odmówi w chwili, gdy
Komitet zwróci się z apelem o pomoc —
swego pełnego poparcia.

(p. h.)

CZŁOWIEK CZY MASZYNA?

CO pewien czas czyta się w prasie artykuły na temat przyszłości robotnika i pracownika umysłowego. Zgodnie ze swoim usposobieniem, autor — optymista przewiduje, że przyszłe pokolenia będą mogły spędzać swój czas na nauce i zajęciu się sztuką, tudzież godziwą rozrywką, zwolnione od nudnej i jednostajnej pracy przez wiernych mechanicznych niewolników, pracujących 24-ry godziny na dobę bez domagania się podwyżek i urlopów. Autor — pesymista, naturalnie, jest zupełnie odmiennego zdania; ludzkości grozi bezrobocie i nędza, wywołana wszechwładzą maszyny, zdolnej zastąpić nawet artystów i naukowców, nie mówiąc już o lekarzach, inżynierach i adwokatach. Nie tylko dziennikarze zajmują się tym tematem; docierają do nas również groźne pomruki związków zawodowych, zalarmowanych wzrastającą automatyzacją procesów produkcyjnych, a ostatnio coraz częściej słyszy się o redukcjach personelu biurowego, spowodowanych wprowadzaniem komputerów, znanych też pod pochlebną nazwą „mózgów elektronowych“. Pozostawiając na uboczu zagadnienie automatyzacji fabrycznej, rzućmy okiem na rozwój mechanizacji pracy biurowej, wywołany rozwojem techniki elektronowych.

Maszyny, zdolne do wykonywania obliczeń, znane są od bardzo dawna. Ręczne i elektryczne kalkulatory, maszyny do dodawania, a nawet bardziej skomplikowane pomoce biurowe istniały w wielu przedwojennych firmach nawet w zafowanej pod tym względem Polsce. Co jednak na prawdę zrewolucjonizowało dziedzinę opracowywania danych, czy to dla celów praktycznej księgowości, czy też dla przygotowywania najbardziej nawet skomplikowanych zestawień i statystyk dla zarządów firm, to szybkość i samodzielność, z jaką pracują maszyny elektronowe. Te właśnie cechy umożliwiają zastąpienie dziesiątków maszynistek, obsługujących maszyny rachunkowe, i dziesiątków urzędników, ślęczących nad mozolnie sporządzanymi wykazami, przez ułamek dnia roboczego jednego komputera.

Istnieje wiele mniej lub więcej skomplikowanych definicji komputera. Najprostsza, a zarazem najbardziej kompletna, z jaką się zetknąłem, brzmi: maszyna opracowująca dane. Istotnie, to jest wszystko, co komputer w służbie przemysłu, handlu, czy administracji robi. Przyjmuje dane, które muszą mu być przekazane w zrozumiałym dla niego języku znaków umownych (zazwyczaj cyfr), zwanym „językiem maszynowym“, poczem wykonywa na tych danych działania arytmetyczne zgodnie z danymi mu instrukcjami, albo odpowiada „tak“ lub „nie“ na pewne pytania, a wreszcie opracowuje żądane zestawienia. Aby wypełnić swoje funkcje, sam komputer musi być zaopatrzone w maszyny pomocnicze, których zadaniem jest przekazanie mu informacji i wyprodukowanie odpowiedzi (np. przelanie zestawień na papier). Ponieważ komputer, jak to już wspominałem, wykonywa swoje działania z zawrotną szybkością (dodawanie zajmuje np. komputerowi 558 ICT 280 mikrosekund), szybkość praktyczna jego działania zależy całkowicie od szybkości maszyn pomocniczych, opartych na metodach mechanicznych i działających grubo wolniej. Ponieważ jednak i w tej dziedzinie postępy techniczne są bardzo szybkie, praktyczna szybkość komputerów wzrasta z roku na rok.

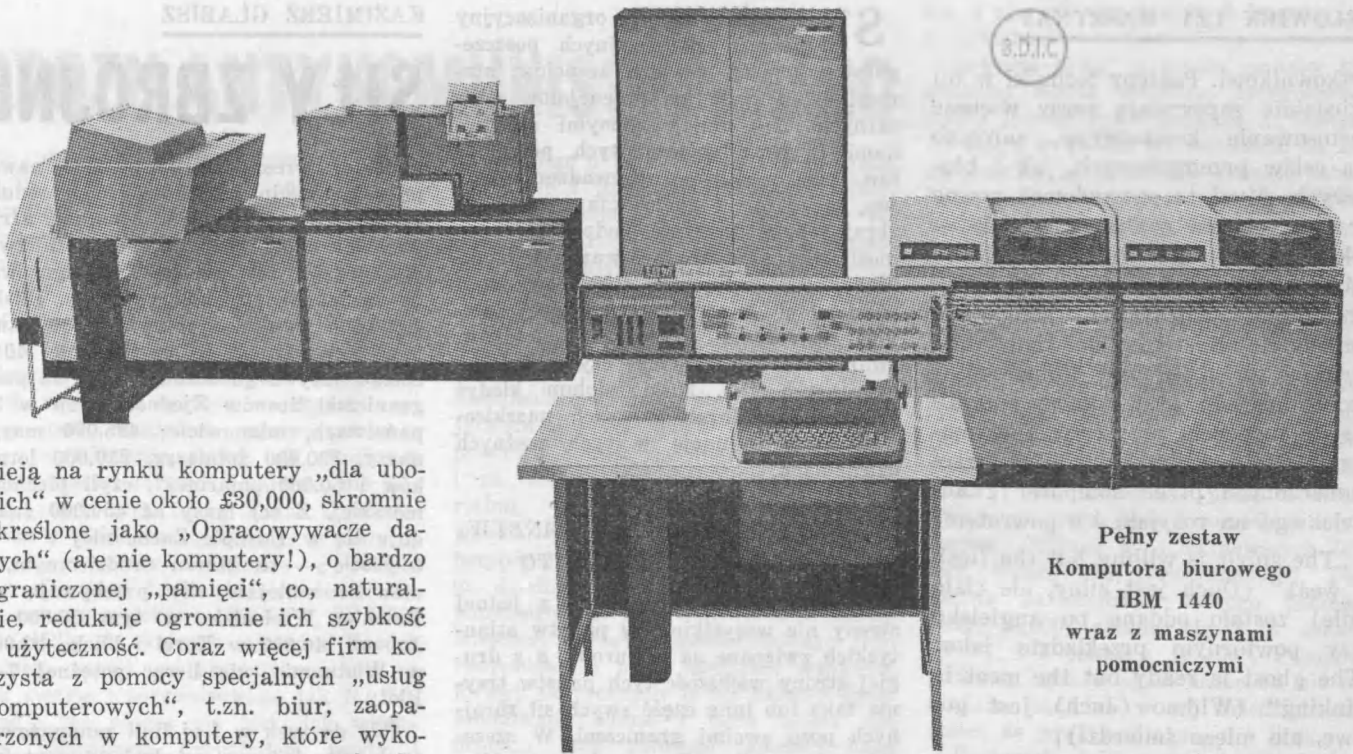
Tempo działania komputera nie opiera się jednak wyłącznie na jego zdolnościach do błyskawicznego wykonywania działań arytmetycznych. Komputer różni się też i tym od dawnych maszyn kalkulatorycznych, że posiada „pamięć“. Oznacza to, że jest zdolny do przechowywania udzielonych mu informacji bez konieczności stałego ich dostarczania z zewnątrz w razie potrzeby. Dostęp do tych informacji, zachowanych w „pamięci“ komputera, może być systematyczny, w którym to wypadku komputer musi przeglądać kolejno informację za informacją, dopóki nie natrafi na właściwą, albo też t.zw. „przypadkowy“, kiedy komputer może wyłowić potrzebne mu dane spośród innych bezpośrednio. Komputery, dysponujące pamięcią „przypadkową“, są znacz-

nie szybsze w działaniu i odpowiednio droższe.

Trzecią cechą, zapewniającą komputerowi kolosalną przewagę w szybkości działania nad innymi maszynami biurowymi, jest jego samodzielność. Po zaopatrzeniu go w program i informacje, komputer pracuje bez potrzeby interwencji ludzkiej. Teoretycznie, człowiek potrzebny jest komputerowi tylko dla przekazania mu informacji i dla uruchomienia każdorazowego cyklu operacyjnego. Praktycznie, jako bardzo skomplikowana maszyna, komputer wymaga odpowiedniej obsługi technicznej, sprawdzającej dokładność jego działań na specjalnych zadaniach próbnych, wykonywanych bardzo regularnie i często, utrzymującej go w stanie sprawności technicznej i wykonywującej konieczne reperacje.

Zaopatrzone w odpowiednie programy, komputer jest w stanie wykonać wszelkie zadania rachunkowe — statystyczne największej nawet firmy, od listy płac poczynając, a kończąc na szczegółowej analizie sprzedaży, rozbitej na setki kategorii i dziesiątki terytoriów. Bez cienia wątpliwości wszystkie te zadania wykona nieporównanie szybciej i dokładniej niż personel ludzki, a przy tym wykona je bezbłędnie. Czym że się więc tłumaczy, że tak niebywale pożyteczne maszyny są tak mało rozpowszechnione? W marcu 1964 r. w całej W. Brytanii było w użyciu zaledwie 896 komputerów, a dalsze 263 zamówione. Cyfry bardzo skromne, biorąc pod uwagę, że dotyczą one również i maszyn, używanych dla celów naukowych i administracyjnych.

Pierwszą i główną przyczyną ograniczonego użycia komputerów jest koszt, zdecydowanie przekraczający możliwości małych i średnich firm (£50-60,000 za najtańsze maszyny, a przekraczając £100,000 za komputery wyższej klasy zależnie od pojemności „pamięci“, szybkości obliczeń i szybkości produkowania gotowych informacji). Zrozumiałe jest, że tego rodzaju ceny wystarczają, aby odstraszyć ogromną większość zainteresowanych. Dla skłonnych do zapłacenia dużej, ale nie aż tak dużej sumy ist-



**Pełny zestaw
Komputera biurowego
IBM 1440
wraz z maszynami
pomocniczymi**

nieją na rynku komputery „dla ubogich“ w cenie około £30,000, skromnie określone jako „Opracowywacze danych“ (ale nie komputery!), o bardzo ograniczonej „pamięci“, co, naturalnie, redukuje ogromnie ich szybkość i użyteczność. Coraz więcej firm korzysta z pomocy specjalnych „usług komputerowych“, t.zn. biur, zaopatrzonych w komputery, które wykonywują obliczenia i zestawienia dla klientów. W ten sposób można sobie zapewnić (za odpowiednią opłatą) usługi komputera bez konieczności obarczania się tak kolosalnym wydatkiem.

Prugą przyczyną wstrzemięźliwości w nabywaniu komputerów jest fakt, oparty na doświadczeniach amerykańskich w tej dziedzinie, że użycie komputera nie prowadzi do ogromnych oszczędności na personelu. Niewątpliwie, mechanizacja pracy biurowej już w przeszłości pozwalała na zastępowanie personelu, wykonyującego powtarzające się prace, nie wymagające żadnych decyzji (trafnie określane jako „mechaniczne“) przez maszyny. Komputer, jako maszyna bardziej od poprzednich zaawansowana, posiadająca nawet pewną zdolność do decydowania (o ile jest ona przewidziana w programie), jest w stanie zastąpić pracę licznego personelu na nieco wyższym stopniu (operatorki, używające maszyn do liczenia, urzędnicy, sporządzający listy płacy i wykazy statystyczne itp.), ale sam wymaga dodatkowego personelu, związanego z dostarczeniem informacji w odpowiedniej formie, obsługą i utrzymaniem maszyny, przygotowaniem programów itd. Zdaniem ekspertów amerykańskich wprowadzenie komputerów nie spowodowało w biurach wielkich oszczędności na personelu, przyniosło natomiast ol-

brzymi postęp w szybkości, dokładności i ilości przygotowywanych informacji. Jedną rzeczą jest pewna: decyzja nabycia i użycia komputera wymaga długich studiów i starannego planowania, trwającego nieraz do dwóch lat. Zaleca się także wykonywanie przez pewien czas tych samych zadań dawnymi metodami równocześnie z zastosowaniem do nich komputera, aby nabrać stuprocentowej pewności, że program przewiduje wszystkie możliwości, zanim będzie można z całym zaufaniem pozostawić pracę samemu komputerowi. W przeciwnym razie zdarzają się wypadki, o których nierzadko czyta się w gazetach, że wprowadzenie komputera spowodowało chaos (chwilowy, miejmy nadzieję!) i przyniosło poważne opóźnienia w pracy.

Trzecim powodem małego rozpowszechnienia komputerów w W. Brytanii jest konserwatyzm brytyjskiego przedsiębiorcy i kierownika. Jak to słusznie podkreśla „Economist“ zarządy firm i fabryk często są niesłychanie dumne z tego, że jakaś maszyna sprzed 50-ciu lat dotychczas pracuje, nie biorąc pod uwagę jej małej wydajności i kosztów, związanych z jej utrzymaniem. Natomiast wszelkie niepowodzenia nowych metod wywołują zazwyczaj złośliwe uśmiechy wyższości: „Wiedziałem, że tak będzie!“ Oczywiście, tego rodzaju

podejście opóźnia modernizację przemysłu brytyjskiego, a w pracy biurowej jest bodaj że znacznie gorzej. Nic dziwnego, że komputery przyjmują się w Anglii powoli.

U wielu ludzi „komputer“ (czyli „mózg elektronowy“) kojarzy się z pojęciem jakiejś super-maszyny, zdolnej działać samodzielnie i myśleć samodzielnie. Naturalnie, ten romantyczny pogląd nie wiele ma wspólnego z rzeczywistością. „Mózg elektronowy“ mózgiem nie jest i zależy w swej pracy w stu procentach od narzuconego mu programu i udzielonych mu informacji. Wszelkie jego kalkulacje nie będą nic warte, o ile program nie będzie dobry, a dane prawdziwe. Komputer nie jest w stanie sprawdzić wartości otrzymanych informacji, o ile tylko będą mu podane w przewidzianej programem formie. Ta zdolność krytyczna, którą posiada umysł ludzki i która pozwala najniższemu stopniem urzędnikowi wyłapywać błędy i unikać przygotowania zestawień, opartych na fałszywych danych, jest zupełnie komputerowi obca. Wynika z tego konieczność bardzo starannego przygotowania materiałów, które mają być dostarczone tej maszynie.

Komputer jest narzędziem pracy o olbrzymich możliwościach, zapewniającym ogromne korzyści swojemu u-

(Dokończenie na str. 22)

żytkownikowi. Postępy techniki w tej dziedzinie zapewniają coraz większe zastosowanie komputerów, zarówno dla celów przemysłowych, jak i biurowych. Musi to spowodować pewne przesunięcia na rynku pracy, ale — jak dotąd — nie wróży bezrobocia wśród pracowników umysłowych. Ograniczone możliwości komputera znakomicie ilustrują doświadczenia, czynione w dziedzinie tłumaczenia z obcych języków przy pomocy specjalnie do tego celu przystosowanej maszyny. Oto dwa przykłady zdań, przetłumaczonych przez komputer z angielskiego na rosyjski i z powrotem:

„The spirit is willing but the flesh is weak“ (Duch jest silny, ale ciało mdłe) zostało oddane po angielsku przy powtórnym przekładzie jako: „The ghost is ready but the meat is stinking“ (Widmo (duch) jest gotowe, ale mięso śmierdzi);

„Out of sight out of mind“ (Co z oczu, to i z serca (umysłu) powróciło z podróży w rosyjski, jako: „Invisible idiot“ (Niewidzialny krety).

Kto jak kto, ale tłumacze literatury pięknej mogą spać spokojnie.

S. Wóycicki

STAN techniczny i organizacyjny aktywnych sił zbrojnych poszczególnych państw czy ich zespołów, stanowi tylko część ich potencjałów militarnych. Nie mniej ważnymi składnikami i sprawdzianami tych potencjałów, t.zn. możliwości prowadzenia wojen, są morale i dyslokacja samych sił zbrojnych, nastawienie i odporność mas, możliwości produkcyjne, warunki komunikacyjne, dostępność surowców, stan wiadomości o stronie przeciwnej, stopień zagrożenia głównych ośrodków, zwartość i determinacja czynników decydujących itd. Może zdołam kiedyś choćby w ogólnych zarysach naszkicować także sytuację w tych ważnych dziedzinach.

**ROZMIESZCZENIE SIŁ PAŃSTW
NALEŻĄCYCH DO NATO**

Chciałbym przypomnieć, że z jednej strony nie wszystkie siły państw atlantyckich związane są z Europą, a z drugiej strony większość tych państw trzyma taką lub inną część swych sił zbrojnych poza swoimi granicami. W szczególności przebywają na obszarze Niemiec Zachodnich nie tylko amerykańskie i brytyjskie, ale także francuskie, holenderskie, belgijskie i kanadyjskie oddziały, Portugalia trzyma gros swych sił w Angoli i Mozambique, Wielka Brytania utrzymuje znaczne oddziały na Cyprze, w Adenie, Malazji, Hongkongu, Południowej Rodezji i w zatoce meksy-

SIŁY ZBROJNE

kańskiej, wreszcie Francja chce, nawet po zakończeniu przeprowadzonej redukcji, zostawić w swych b. koloniach afrykańskich około 6.000 wojska i lotnictwa. Najbardziej rozproszone i zaangażowane są jednak siły amerykańskie. Blisko 1.100.000 żołnierzy, marynarzy i lotników amerykańskich, czyli około 40% całego aktywnego stanu, przebywa poza granicami Stanów Zjednoczonych w 30 państwach, mianowicie: 425.000 marynarzy, 390.000 żołnierzy, 210.000 lotników i 50.000 „marines“, czyli piechoty morskiej. Z tej masy aż 450.000 znajduje się w Europie Zachodniej i — w 6 Flocie — na Morzu Śródziemnym, a niewiele mniejsze siły przebywają na Dalekim Wschodzie, w tym 50.000 w Japonii, 40.000 w Korei i blisko 22.000 w Wietnamie, nie licząc potężnej 7-ej Floty.

Gdy do tych w 1-ej linii zaangażowanych sił dodamy międzykontynentalne bombowce i rakiety, utrzymywane w wysokim pogotowiu na obszarze Stanów Zjednoczonych, zrozumiemy dopiero w pełni, dlaczego skłócony obecnie obóz komunistyczny unika frontalnego starcia i próbuje tę potężną tarczę podważyć dywersją i zasilaniem „wyzwoleńczych“ powstań w państwach niezaangażowanych.

**SIŁY ZBROJNE PAŃSTW
ZWIĄZANYCH Z ZACHODEM**

Przechodzę do zobrazowania aktualnego stanu sił zbrojnych państw związanych z Zachodem sojuszami, choć nie należących do Paktu Atlantyckiego.

Ludność świata wolnego, nie należącego do NATO, przekracza wprawdzie 1.600.000.000, jest więc o 600 milionów liczniejsza niż ludność państw komunistycznych i przewyższa trzykrotnie potencjał ludnościowy NATO, ale niestety tylko 1/4 część tej masy związana jest z Zachodem sojuszami wojskowymi. Mało tego: kilka owych „niezaangażowanych“ państw, jak np. Indonezja, Egipt, Kambodża, Somalia, Cypr itp., faworyzuje coraz bardziej współpracę z państwami komunistycznymi.

Jeśli pominąć częściowo słabe lub podminowane państwa Ameryki Łacińskiej, których związanie z Ameryką Północną jest bardzo luźne, do państw związanych z Zachodem sojuszami wojskowymi należą tylko: Hiszpania (31 milionów ludności), Iran (21), Pakistan (97), Syjam (28), Malazja (10), Filipiny (30), Wietnam Południowy (15), Australia (11), Nowa Zelandia (2,5), Formoza [Tajwan] (11), Japo-

„WSTYDLIWY TEMAT“ — (Dokończenie ze str. 3)

kretniej wartości artystycznej, jakie balet ten wniósł do naszej kultury. Lecz fakt, że coś zrobić trudno nie zwalnia z obowiązku takiego oddzielenia. Takich trudności jest mnóstwo, i to znacznie ważniejszych niż występy „Mazowsza“. Przyjdzie się z nimi nieraz jeszcze borykać. Ale wydaje mi się, że zamykanie się w hermetycznym kloszu nie jest najskuteczniejszą metodą walki. W ostatecznym obrachunku zadanie polskiej emigracji politycznej polega na walce z komunizmem w interesie Polski a nie w interesie własnej dostojnej izolacji. Polega także na utwierdzeniu i rozwijaniu kultury polskiej, przede wszystkim podtrzymywaniu jej naturalnych związków z kulturą zachodnią i chrześcijańską, związków tak zaciekle podkopywanych przez komunistów. Rozmawiać można nawet z diabłem, niekiedy nawet trzeba; rzecz w tym, by się nie dać przez niego wywieść w pole. W tym względzie mam sporo zaufania do rozsądku, czy mądrości, Polaków. Tych zwykłych, przeciętnych, tych mieszczących na emigracji i tych którzy się z diabłem stykają na codzień w Pol-

sce. Więcej na pewno mam zaufania do nich niż do luminarzy z gatunku opisanych przez Jasińskiego w „Kulturze“ i przez Paczyńskiego w „Orle“.

Na tym kończę swój głos o „Wstydliwym Temacie“. Bo gdybym, rozpędziwszy się, pisał dalej, wyglądałoby to na zastanawianie się czy „Orzeł“ pod moją redakcją jest czy nie jest pismem walczącym z komunizmem. Byłoby to raczej zabawne, lecz sądzę, że poniżej godności. Oczywiście godności „Orła“ nie mojej.

Paweł Zaremba

**KALENDARZYK
KOMBATANTA
NA ROK 1965**

CENY: oprawa reksinowa 5/-
oprawa w skórce 9/-

Gryf Publications Ltd.,
171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.

OBOZU ANTYKOMUNISTYCZNEGO

nia (95) i Południowa Korea (26). Daje to w sumie, po doliczeniu ludności pozostałych jeszcze kolonii brytyjskich, portugalskich, francuskich i hiszpańskich, zaledwie potencjał ludnościowy ca 400 milionów.

Co bodaj jeszcze ważniejsze, państwa te, z wyjątkiem Japonii, Australii i Hiszpanii, nie posiadają nawet skromnych wytwórni sprzętu wojskowego, są więc pod względem unowocześnienia czy powiększenia swych sił zbrojnych całkowicie od zagranicy zależne, nie mówiąc już o tym, że są biedne i, że niektóre z nich, muszą walczyć z silną opozycją przeciw związaniu z Zachodem. Do tego dochodzi fakt, że zbiorowe sojusze wojskowe (CENTO, SEATO, ANZUS), do których niektóre z nich należą, nawet w przybliżeniu nie są tak zwarte i zorganizowane jak NATO, choć i ten sojusz nie jest, jak wiadomo, budującym przykładem zgody i zwartości.

Związany z tym brak integrowanych dowództw i, co za tym idzie, brak gotowych planów działania oczywiście obniża wartość tego konglomeratu antykomunistycznych sił, stanowiącego poniekąd bądź osłonę bądź odwód Zachodu. Pod względem liczebnym siły te są w sumie wcale okazałe. Zwłaszcza ich wojska lądowe. Gorzej przedstawia się, szczególnie w siłach morskich i lotniczych, stan uzbrojenia i wyposażenia.

Oto szczegóły:

Hiszpania trzyma w szeregach około 410.000, nie licząc Legii Cudzoziemskiej i Gwardii Cywilnej, *Iran* blisko 200.000, *Pakistan* 150.000 do 200.000, *Syjam* ca 120.000. *Malajza* dochodzi do 27.000, *Filipiny* około 80.000, nie licząc korpusu milicji, *Australia* zwiększa swoje siły zbrojne do ca 55.000, z czego w wojsku 37.000, *Nowa Zelandia* ma zaledwie kilka tysięcy, ale za to *Wietnam Południowy* ma ca 220.000, *Tajwan (Formoza)* ca 600.000, *Południowa Korea* blisko 500.000 a *Japonia* ma do roku 1966 zwiększyć swoje siły obronne do 253.000.

W sumie państwa te trzymają przeto w szeregach ponad 2,5 miliona oficerów i szeregowych, w tym ponad 2 miliony w wojsku lądowym, które prezentuje się lub niebawem prezentować się będzie najoказalej w Hiszpanii (17 dywizji, w tym 1 pancerna, 4 górskie, 3 zmotoryzowane i 1 brygada spadochronowa), w Iranie (10 dywizji), Pakistanie (8 dywizji), Tajwanie (23 + 1 piechoty morskiej), Korei Południowej (bodaj nadal 20) i Japonii (13),

nie mówiąc o Wietnamie, którego nieźle uzbrojone i przez amerykańskie lotnictwo wspierane dywizje nie mogą się uporać z gorzej uzbrojonymi i liczebnie daleko słabszymi partyzantami komunistycznymi. Choć dzięki sprzętowej pomocy amerykańskiej stan uzbrojenia i wyposażenia wojska niemal wszędzie się poprawia, do pełnego jego unowocześnienia jeszcze daleko — może z wyjątkiem Japonii, gdzie kładzie się odpowiedni nacisk na środki przewozowe i na obronę przeciwlotniczą i terytorialną, oraz Tajwanu, uzbrojonego wszechstronnie w niedawnym okresie bezpośredniego zagrożenia. Słabą stroną dzielnego niewątpliwie wojska hiszpańskiego jest jego wciąż jeszcze bardzo mieszaną sprzęt, a pakistańskiego jego rozdzielanie i brak lotnictwa wsparcia. Rakiet taktycznych a co dopiero broni atomowych żadne z tych wojsk nie posiada, jeśli pominąć japoński baon rakiet „Lacrosse“. Możliwości tworzenia jednostek rezerwowych w razie mobilizacji są w większości wypadków najprawdopodobniej skromne, bo ograniczone bądź brakiem kadry, bądź brakiem sprzętu i ekwipunku. W Japonii, której konstytucja uniemożliwia wprowadzenie obowiązkowej służby wojskowej, oraz w Australii i Malajzi, w których to krajach dopiero ją się wprowadza, możliwości te ograniczają do reszty brak wyszkolonych rezerw.

Niemniej w ewentualnym konflikcie zbrojnym, siły lądowe tej z Zachodem związanej grupy państw odegrać by mogły wcale poważną rolę, o ile by zostały w odpowiedni sposób użyte.

Sukurs powietrznych i morskich sił tych państw byłby skromniejszy.

Jeśli idzie o siły morskie, to jedynie floty Hiszpanii, Japonii, Tajwanu, Australii i ostatecznie także Pakistanu mogłyby jakąś pomocniczą, zresztą rosnącą, rolę odegrać. Hiszpania ma m.i. 5 starych krążowników, 18 przeważnie starych, choć częściowo zmodernizowanych niszczycieli i fregat oraz 10 okrętów podwodnych. Japonia ma już 35 niszczycieli, fregat i eskorterów, 12 ścigaczy i 5 okrętów podwodnych oraz buduje 6 niszczycieli i fregat z rakietami tudzież 2 okręty podwodne. Tajwan ma po 5 niszczycieli i fregat, około 50 trałowców i ścigaczy oraz 58 dużych i średnich okrętów desantowych, przy czym dysponuje aż 65.000 marynarzy. Wreszcie Australia, która ma już 2 małe lotniskowce, 6 niszczycieli, 11 fregat itd., zamówiła już 3 niszczyciele z rakietami oraz 4 okręty podwodne. Wreszcie Pakistan posiada 1 krążownik szkol-

ny, 8 starych niszczycieli, 3 fregaty i 6 trałowców.

Również tylko ta piątka państw zasilic by mogła lotnictwo sprzymierzonych, jednak tylko Japonia i Australia mogą w swoich wytwórniach, na razie jedynie na podstawie licencji, samoloty produkować. Lotnictwo japońskie, mające już ponad 1.000 samolotów i otrzymujące 200 nowoczesnych „F-104“, jest największe i najnowocześniejsze. Hiszpańskie ma wprawdzie niewiele mniejszy personel (35.000) i około 700 samolotów, ale b. mało nowoczesnych typów. Lotnictwo tajwańskie jest niemniej liczne a posiada ca 400 samolotów odrzutowych, w tym także „F-140“. Australijskie ma być pośpiesznie powiększone i unowocześnione przez wprowadzenie na uzbrojenie francuskich myśliwców „Mirage 3“ i najnowszych lekkich bombowców amerykańskich. Lotnictwo pakistańskie, którego personel liczy 15.000, składa się z 8 eskadr „F-84“ i 1 eskadry „F-104“. Pozostałe państwa bądź w ogóle lotnictwa nie posiadają, bądź są w tej dziedzinie tak słabe, że praktycznie się nie liczą.

Ponieważ, jeśli pominąć japońskie i australijskie rakiety ppanc. lub plot., tudzież małe okręty oraz niektóre hiszpańskie typy broni ręcznej, siły zbrojne omawianych państw mają wyłącznie anglosaską lub francuską broń, ich sprzętu uzbrojeniowego opisywać nie warto.

Warto natomiast podkreślić gwałtowny rozwój japońskiej floty handlowej i rekordową wydajność japońskich stoczni, które dzierżą już od trzech lat prym przed brytyjskimi i niemieckimi.

PROSIMY ODNOWIĆ

ABONAMENT
„ORLA BIAŁEGO“

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID
FRANCJA
66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

Sowieckie manewry jesienne w roku 1964

W ROKU ubiegłym manewry jesienne w ZSSR odbyły się we wszystkich okręgach wojskowych, przy zastosowaniu najnowszych broni i sprzętu w jakie siły zbrojne sowieckie pierwszej gotowości bojowej zostały już przebrojone.

We wszystkich tych manewrach były z reguły stosowane bronie atomowe, zarówno w natarciu jak i w obronie, lecz jednostki „konwencjonalne“ odgrywały główną rolę we wszystkich działaniach, zaś bronie atomowe odgrywały tylko rolę pomocniczą, dla wytworzenia „wyrwy“ w pozycjach n-pla, lub dla stworzenia mu przeszkody. Wykonywane te czynności były przez „taktyczne rakiety atomowe“. O użyciu „operacyjnych rakiet atomowych“ — nie ma danych, tak samo o strategicznych rakietach.

Być może, że w założeniach do manewrów były pomieszczone te dane, lecz dla samych manewrów — ograniczono się wyraźnie do taktycznych broni atomowych.

Najciekawsze były manewry łączne sowiecko-bułgarsko-rumuńskie pod Burgas,* manewry „Południowej Grupy Wojsk“ sowieckich na Węgrzech, manewry w rejonie Batumu, oraz manewr w Azji Centralnej.

Wszędzie główną uwagą była skierowana ku skutecznemu i szybkiemu przebywaniu przeszkód w ruchu, czy to spowodowanych wybuchami atomowymi, zawałami skalnymi na drogach górskich, czy przegradami rzecznyymi.

Ze szczególną pieczołowitością ćwiczone przebywanie zon radiacji po wybuchach atomowych. Oddziały „dozymetrystów“ miały szybko ustalać zony radiacji możliwe do przebycia przez czołgi i piechotę zmotoryzowaną w ubraniach ochronnych i maskach, a oddziały „dezaktywacji“ — szybko oczyszczać sprzęt, broń i ludzi od pyłu radioaktywnego.

W zasadzie wybuchy atomowe były tylko pozorne, lecz było kilka ilustracji rzekomych wybuchów atomowych rzeczywistych — jeden w Azji Centralnej, jeden zaś na Morzu Czarnym, koło Batumu.

Zawały skalne w górach likwidowano za pomocą specjalnych „czołgów-buldozerów“, również w warunkach „atomowych“. Te ćwiczenia miały miejsce na manewrach batuskich i w górach Azji Centralnej.

Powszechnie były prowadzone ćwiczenia przebywania przegród wodnych, w czym używano obficie pływających czołgów i opancerzonych transporterów piechoty typu „amfibia“, poza tym, czołgi nieamfibie (T-57), po uprzednim „zahermetyzowaniu“ i zaopatrzeniu w wysokie rury wydechowe i wdechowe oraz anteny (coś jak „schnorkle“ łodzi podwodnych) — przeprowadzano pod wodą, kierując je z brzegu przez radiotelefon. Poświęcono również bardzo wiele uwagi przeprowadom na łodziach pontonowych, oraz budowie najrozmaitszych mostów. W ogóle sprawie przepraw przez rzeki — sowieckie siły zbrojne poświęcają bardzo wiele uwagi, co wskazuje na wybitnie ofensywny charakter ich wyszkolenia.

Interesującą była również nowa taktyka w walce z czołgami n-pla. Dla odparcia ataku czołgów, prowadzono na tyłach posuwających się naprzód jednostek zmotoryzowanych, specjalną „rezerwę przeciwczołgową“, złożoną z kilku baterii zmotoryzowanych dział przeciwpancernych oraz zmotoryzowanych wyrzutni kierowanych pocisków rakietowych przeciwczołgowych. Te „rezerwy“ wysuwano na czoło w razie ataku czołgów n-pla, przy czym podkreślano skuteczność nowoprowadzonych na uzbrojenie kierowanych rakiet przeciwczołgowych (tzw. PTURS'ów,*) podobnych do francuskich rakiet tego typu.

Manewry pod Batumem, na pograniczu z Turcją, nosiły wyraźnie charakter demonstracyjny, przy czym, sądząc z opisów, użyto rakiet obrony brzegowej z głowicami atomowymi dla odparcia desantu n-pla. Zawały w górach, spowodowane pociskami atomowymi n-pla, likwidowano przy pomocy „czołgów-buldozerów“ szybko i skutecznie.

Zastosowanie lotnictwa było bardzo wszechstronne wszędzie, jak również desanty powietrzne, przy czym nawet ciężki sprzęt był przewożony na helikopterach i samolotach transportowych, oraz zrzucały na wiałkach spadochronów, na specjalnych platformach.

Już poza ramami wewnętrznych manewrów, przeprowadzono doświadczenia z transportem oddziałów wojskowych i sprzętu samolotami dalekiego zasięgu, dla działań poza granicami ZSSR. Po między innymi — wypróbowano odmianę jednego z najostatniejszych wielkich samolotów komunikacyjnych sowieckich,

przerobioną odpowiednio do przewozu wielkich rakiet „strategiczných“ na tereny poza ZSSR, z których mogłyby one być zapuszczane w tajemnicy.

Na morzu — uwagę skoncentrowano w tym roku głównie na działaniach przeciwko łodziom podwodnym n-pla, oraz na działaniu własnych łodzi podwodnych „raketowych“ w odległych wodach. Poza tym na wystrzeliwaniu rakiet z okrętów, pozycji brzegowych i z samolotów dalekiego zasięgu. Wiele uwagi we flocie Północnej, poświęcono działaniom łodzi podwodnych pod lodem, szczególnie atomowych.

W porównaniu z okresem przedwojennym, tegoroczne manewry wykazały, że główny nacisk położono na działania ofensywne i ich szybkość, natomiast stosunkowo mało widać było wysiłków do opracowania obrony. W latach trzydziestych — manewry sowieckie dzieliły się bardzo wyraźnie na manewry typu ofensywnego — prowadzone prawie wyłącznie w przygranicznych okręgach wojennych, i na manewry obronne — w okręgach wewnętrznych (Moskwa, Powołże, Kaukaz Północny), z czego można było wysnuć szereg ciekawych wniosków o koncepcjach strategicznych sowieckich, szczególnie odnośnie do strategii obronnej ZSSR. (Hitler jej nigdy nie rozumiał, a może jej w ogóle nie znał — i wojnę przegrał).

Dziś można śmiało powiedzieć, że siły zbrojne ZSSR są zorganizowane, wyposażone i wyszkolone w wojnie ofensywnej, w której element zaskoczenia i szybkości stanowi trzon główny działań, prowadzonych wojskami typu konwencjonalnego przy pełnym wykorzystaniu artylerii rakietowej i broni atomowo-nuklearnych.

Uskarżania się na „zagrożenie“, jak i całą propagandę o zarzuceniu broni konwencjonalnych na rzecz rakiet i głowic atomowych — należy przyjmować jako formy dezinformacji, zdążające do uspienia czujności Zachodu i wzmocnienia argumentów pacyfistów zachodnich w ich działalności dywersyjno-subwersyjnej.

Niestety — zbyt wielu naiwnych na Zachodzie przyjmuje te tezy za dobrą monetę i dochodzi do fałszywych wniosków w ocenie sytuacji wojskowej i politycznej ZSSR.

P. S. Analiza manewrów sowieckich jakie miały miejsce w trzydziestych latach ujawniła, że wszystkie poważne manewry obronne były przeprowadzane pod Moskwą, nad Wołgą oraz na Pół-

*) (Protivo Tankowyje Uprawljajenyje Rakietnyje Snariady) = P.T.U.R.S.

*) Patrz na końcu art.

nocnym Kaukazie (koło Rostowa). Założeniem była zawsze obrona przeciw ofensywie z zachodu, przy czym obrona była reprezentowana w pełni, a ofensywa pozorowana. Wszystkie manewry ofensywne — miały miejsce w okręgach pogranicznych, na które zapraszano tylko attaché wojskowych niemieckich.

Dalej idące obserwacje wykazały: między granicą zachodnią a Dnieprem — istniały tylko bardzo lekkie umocnienia obronne; że cały przemysł wojenny rozbudowano za Wołgą, na Uralu i na Syberii; że wszystkie nowo powstałe jednostki wojskowe były formowane na Powołżju, Uralu lub na Syberii i w Azji Centralnej („fabryka rezerw“); że centralne składy uzbrojenia, amunicji etc., zarówno dla wojsk lądowych jak i dla marynarki wojennej sowieckiej, znajdują się na Uralu (okolice Swierdłowska itp.).

Wszystko to wskazywało, że główną linią obrony sowieckiej jest Wołga, na którą to linię będą się oni cofać w razie przewagi nieprzyjaciela z Zachodu, mając zawnazas przygotowane zaplecze rezerw, uzbrojenia i przemysłu wojennego na Zawołżju i dalej na wschód.

Dlatego, gdy w 1941 roku nadeszły pierwsze informacje o planie Hitlera dotarcia do tak zwanej linii „A-A“

(Astrachań—Archangielsk), jako linii, na której „zakończy zwycięską wojnę“ przeciwko Sowietom — powstały wątpliwości co do realności tego „zwycięstwa“ — ograniczonego tylko datarciem armii niemieckich do głównej linii oporu sowieckiego. Jak dotąd, nikt jeszcze nie wygrał wojny, zatrzymując się na głównej linii obrony nieprzyjaciela!...

Attaché wojskowi niemieccy, jacy w tych latach urzędowali w Moskwie (plk., później gen. Koestring i po nim plk. Tschunke) powinni byli orientować się w powyższej sytuacji, i szczególnie gen. Koestring, znający Rosję doskonale, na pewno wiedział o tej geografii strategicznej ZSSR. Koncept „A-A Linie“ musiał więc powstać w głowie samego Hitlera, wbrew opiniom bardziej wykwalifikowanych strategów niemieckich i wbrew oczywistej rzeczywistości...

Jak wiemy, decydujący przełom w sytuacji wojennej w tej kampanii nastąpił właśnie pod Stalingradem, nad Wołgą i ani do Astrachania ani do Archangielska armie niemieckie nigdy nie doszły, gdyż załamały się właśnie na tej „głównej linii oporu“ sowieckiej na Woldze, przygotowywanej konsekwentnie od początku systemu planowania gospodarczego — od 1928 roku.

MANEWRY WOJSK PAKTU WARSZAWSKIEGO w BULGARII

W okresie 15—20 września 1964, w rejonie Burgas (Bułgaria) miały miejsce wspólne manewry wojsk sowieckich, bułgarskich i rumuńskich w ramach Paktu Warszawskiego.

Obecni byli: ZSSR — marsz. A. A. Greczko i dca mar. wojen. adm. S. G. Gorskow; Bułgaria: min. obrony gen. armii D. Dżurow; Rumunia: min. obrony gen. L. Salajan; Polska: wiceministrowie obrony — gen. armii W. Pieńkowski i gen. E. Bordziłowski; Czechosłowacja: gen. armii B. Łomski; Węgry: gen.-porucznik E. Koeteles; Niemcy Wschodnie: gen.-porucznik Z. Riedel.

Manewry składały się z trzech części: a) desantu na odcinku wybrzeża, bronionym przez okopane wojska bułgarskie; b) rozszerzeniu przyczółka brzegowego; c) kontrataku z głębi lądu. Manewry zakończyła delifada w Sofii.

A) Desant. — Piechota bułgarska okopała się na zagrożonych plażach. O świcie 15. IX, okręty flot sowieckiej, bułgarskiej i rumuńskiej rozpoczęły ostrzeliwanie z ciężkiej artylerii całego odcinka wybrzeża na jakim planowano skutecznie desant. Pod przykryciem tego ognia artylerii okrętowej, grupa ra-



PRZYKŁAD WYKORZYSTANIA PRZEZ BRONIE KONWENCJONALNE UDERZENIA NUKLEARNEGO

Desant piechoty w odzieży ochronnej i w maskach na czołgach, atakujący przez wyrwę w pozycjach nieprzyjaciela wybitą przez wybuch pocisku atomowego, pomimo zarażenia terenu przez promieniowanie

Zdjęcie z „Krasnej Zwiezdy“ 20.12.64

kietowych łodzi motorowych wdarła się do zatoki na dużej szybkości, wykonała salwę raketową i wycofała się. Następnie, z morza wystrzelono pociski atomowe na wybrzeże, po czym nastąpiła operacja desantowa w następującej kolejności działań:

1. Czołgi „amfibie“ (pływające) wpłynęły do zatoki i otworzyły ogień z dział i karabinów maszynowych wprost z wody.

2. Tuż za nimi wpłynęły do zatoki opancerzone „transportery-amfibie“ (pływające wozy opancerzone) z oddziałami piechoty morskiej (komandosi), która w ochronnej odzieży i w maskach przeciwko radiacji, pod przykryciem ognia czołgów, zajęła przyczółek na wybrzeżu.

3. Szybkobieżne statki desantowe dowiozły dalsze oddziały piechoty morskiej wraz artylerią.

4. Wspierana przez czołgi piechota morska opanowała pozycje w głąb lądu, osłaniając plaże wylądowcze.

5. Desant zostaje wzmocniony przez jednostki spadochroniarzy bułgarskich, dostarczonych na helikopterach, po czym okręty desantowe (landing craft) dowożą więcej piechoty, artylerii i czołgów.

B) *Rozszerzenie przyczółka.* — Po skoncentrowaniu w ten sposób większych sił na przyczółku i po odparciu szeregu prób kontratakowania ich przez broniące wybrzeża oddziały bułgarskie, przyczółek zostaje rozszerzony w głąb lądu, po czym następuje desant powietrzny na przyczółku, wykonany przez jednostkę spadochronową sowiecką.

Zrzucano ze spadochronami piechotę, z artylerią na platformach zrzutowych, ciągnikami, działami samochodowymi i innym ciężkim uzbrojeniem.

C) *Kontratak.* — Obrońcy jednak, składający się z jednostek (dywizje) piechoty bułgarskiej i rumuńskiej, aby uniemożliwić atakującym skonsolidowanie ich przyczółka desantowego, zdołali wykonać na czas daleki przemarsz nocny, i zaatakowali w ostatnim dniu manewrów desant nieprzyjacielski przy pomocy czołgów i piechoty wspartych ogniem artylerii.

Dzięki szybkości tego przemarszu nocnego, nieprzyjaciel na przyczółku został zaskoczony i kontratak został uznany za skuteczny.

Po manewrach, w Sofii, odbyła się uroczysta defilada wojskowa, na której byli obecni wszyscy oficjalni goście.

Wojska desantowe były wspierane przez samoloty szturmowe oraz sam desant osłaniany z powietrza przez lotnictwo myśliwskie.

Pokazano i wypróbowano wiele najnowszego sprzętu i uzbrojenia, w jakie

już zostały przebrojone liczne jednostki sowieckie.

Tak samo, po raz pierwszy użyto na manewrach niedawno zorganizowane jednostki piechoty morskiej sowieckiej, specjalnie uzbrojonej dla operacji typu „komandosów“.

Zwracały uwagę nowe okręty desantowe sowieckie do przewozu piechoty, czołgów, artylerii itd., oraz nowe opancerzone transportery-amfibie dla piechoty.

(Operacje desantowe na Morzu Czarnym mają długą tradycję rosyjską. Jeszcze kilkaset lat temu kozacy siczowi organizowali „desanty“ na Konstantynopol. W czasie pierwszej wojny światowej, Rosja posiadała na Morzu Czarnym całą flotylę okrętów desantowych, zwanych „Elpidifory“, których charakterystyczną cechą było małe zanurzenie i specjalne ścięcie kilu na dziobie, odpowiadające kątom gruntu na plażach czarnomorskich, jaki jest bardzo regularny. W ten sposób okręty te mogły docierać do plaż na głębokościach pozwalających wysadzanie ludzi wprost do morza, szczególnie wzdłuż wybrzeża tureckiego Małej Azji. Obecnie wybudowano całą flotylę takich okrętów desantowych, dostosowanych do warunków czarnomorskich, jakie zademonstrowano na tych manewrach).

Jan Kowalewski

ŻYCZENIA NOWOROCZNE DLA RADY TRZECH

W sali Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego w Londynie odbyło się w niedzielę, dnia 3 stycznia 1965 r. składanie życzeń noworocznych na ręce Rady Trzech. O godz. 12-ej zebrał się w sali Instytutu liczni przedstawiciele życia politycznego i społecznego. Gdy członkowie Rady Trzech: gen. W. Anders, gen. T. Bór-Komorowski i amb. E. Raczyński zajęli miejsca zabrał pierwszy głos przewodniczący Egzekutywy A. Ciołkosz. Wyraziwszy życzenie by nowy rok spełnił nasze nadzieje odzyskania Polski „wolnej, niepodległej, całej, demokratycznej i społecznie sprawiedliwej“ podkreślił, iż podział świata dokonany w Jałcie trwa nadal, mimo iż przyniósł niewolę narodom we wschodniej Europie. Każdy naród ma prawo urządzić swe życie tak jak mu to odpowiada i dlatego nigdy nie zgodzimy się z żadnym systemem, który oparty jest na niewoli. Polska należy do Europy i nie przystoi nam miejsce podopiecznego Rosji. Nie ulepszenie dyktatury komunistycznej a walka z systemem komunistycznym i jego doktryną jest naszym zadaniem. Trzeba nam być niezłomnymi! Łączność między Kra-

jem a emigracją nigdy nie była zerwana i nigdy nie będzie.

Nawiązując do sytuacji w Europie prezes Ciołkosz powiedział, iż nie wolno Niemcom przyznać prawa do broni atomowej. Niemcy ożywiają duch rewizjonistyczny, gdyż żądają granic z 1937 roku. Niemcy nie chcą także wypłacić słusznych odszkodowań ofiarom terroru hitlerowskiego. Mamy głęboki żal do tych mocarstw zachodnich za nieuznanie do tej pory, granicy na Odrze i Nysie. Tym bardziej jesteśmy wdzięczni gen. de Gaulle'owi, iż uznał te granice. Postulaty polityki polskiej są następujące: 1) całkowite wycofanie wojsk sowieckich z Polski, 2) przywrócenie niepodległości, 3) swobodne wybory parlamentarne. Od tych postulatów nie odstępimy. Akt Zjednoczenia i uchwały Zjazdu Polaków sprzed dwu laty w Londynie będą nadal podstawą działalności Egzekutywy — włącznie z obowiązującą zasadą współpracy z innymi narodami naszego rejonu.

Przewodniczący Rady Jedności Narodowej dr Tadeusz Bielecki wspominał o swoim niedawnym trzymiesięcznym pobycie w Stanach Zjednoczonych. O ile zostanie w Polsce reżym komunistyczny — mówił prezes Bielecki — nie będzie uniezależnienia sił Polski od Rosji Sowieckiej. Nie można w tej chwili liczyć na bezpośrednie działanie polityki amerykańskiej na rzecz sprawy polskiej. Jeśli chodzi o Rosję Sowiecką to przechodzi ona przeobrażenia wewnętrzne, które ją osłabiają, do tego dochodzą kryzysy gospodarcze, które stwarzają coraz większe trudności rządowi sowieckiemu na Kremlu. Rosję zaczyna także podmywać wola narodów do samostannego życia oraz coraz groźniejszy konflikt sowiecko-chiński. Kryzys ten może da się odroczyć, lecz nie da się go już zlikwidować.

Poruszywszy sprawę granicy na Odrze i Nysie mówca podkreślił, że granica ta musi być uznana, chodzi jednak o to, byśmy sami jej nie podważali przez wysuwanie niedojrzałych i nieszczęsnych pomysłów współpracy z Niemcami za wszelką cenę. W czasach, które idą, wielka jest waga i znaczenie sił politycznych i społecznych. Prezes Bielecki wspominał także z uznaniem o doniosłych uchwałach politycznych, jakie przyjęte zostały na ostatniej konwencji Kongresu Polonii Amerykańskiej.

Gen. Kopański mówił w imieniu b. żołnierzy z okresu niepodległości i drugiej wojny światowej od wszystkich organizacji kombatanckich. Pogląd jakoby w Polsce było obecnie więcej niż przed kilku laty wolności jest całkowicie sprzeczny z rzeczywistością. Wzrastają tendencje do silnej ręki, przedstawia się karykaturalnie lata 1918 do 1939, fałszuje się historię. Fałszywy

jest pogląd o zliberalizowaniu stosunków w Polsce. Gen. Kopański podkreślił wielką rolę wydawnictw wojskowych wychodzących na emigracji a zwłaszcza kolejnych tomów Polskich Sił Zbrojnych czytanych z największym zainteresowaniem w Kraju i kontynuowanie wydawnictwa „Bellona“.

W imieniu Rady Trzech przemawiał gen. T. Bór-Komorowski. Podkreśliwszy, iż światowa sytuacja polityczna nie uległa większym zmianom, gen. Bór stwierdził także, iż pogorszyła się sytuacja w Kraju, gdzie trwa walka z Kościołem a grupa tzw. „partyzantów“ czyli zwolenników silnej ręki dochodzi coraz bardziej do władzy. Gen. Bór nawiązał do słynnej odezwy Rady Jedności Narodowej z lipca 1945 r., która stwierdza m.in., iż mimo wojny i klęski „naród nie przestał być sobą“ i że walkę o suwerenność prowadzić będzie naród polski innymi metodami. Trwałe w walce o Polskę — oto główne wskazanie Polski Podziemnej!

POLAND AND GERMANY

Najnowszy numer tego kwartalnika w języku angielskim, zawiera obszerny artykuł prof. T. Komarnickiego na temat odprężenia w stosunkach polsko-niemieckich w okresie po objęciu władzy przez Hitlera, którego wyrazem był polsko-niemiecki pakt o nieagresji, z 26 stycznia 1934 roku. Prof. T. Komarnicki omawia pakt w świetle najnowszych publikacji, w szczególności „Diariusza i Tek“ Jana Szembeka, które ukazały się w tym roku pod redakcją autora artykułu.

Polsko-niemieckie odprężenie było tymczasowym ułożeniem wzajemnych stosunków, dającym bezpośrednie korzyści dla stron a nie próbą rozwiązania podstawowych problemów dzielących oba kraje.

Do tegoż tematu powraca w dziale recenzji pani Anna C. Cienciała z uniwersytetu w Toronto przy omawianiu książki J. Korbela p.t. „Poland between East and West. Soviet and German Diplomacy Toward Poland, 1919-1939.“

Zagadnieniem aktualnym z zakresu stosunków polsko-niemieckich poświęcony jest artykuł K. Grabowskiego, który stwierdza, że zasadniczym warunkiem trwałej normalizacji w duchu dobro-sąsiedzkim między Polską i Niemcami musi być poniesienie przez Niemców roszczeń do obszarów poza Odrą i Nysą.

W stałych działach kwartalnika znajdziemy przegląd prasy i wspomniany już dział recenzji. Dział p.t. Fakty i Cyfry poświęcony jest tym razem Prusom Wschodnim w 19 wieku.

J. S.

ŻYCIE

KULTURALNE

POLSKIEGO

LONDYNU

ZAMKNIĘCIE ROKU. Doroczne zebranie publiczne Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie rozpoczęło się od uczczenia zmarłych członków, wśród których znajdował się dr T. Felsztyn, o. J. Jarzębowski i dr H. Szpidbaum. W przemówieniu swym prezes prof. B. Hełczyński przedstawił pokłosie obchodu 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego i omówił znaczenie protestu 35-ciu pisarzy polskich. Ze sprawozdania sekr. gen. dr J. Kanarka wynikało, że Towarzystwo ma 27 członków honorowych, 142 czynnych, 38 korespondentów i 69 współpracowników w 6 komisjach naukowych. Na 5 posiedzeniach wygłoszono 5 referatów, których streszczenia znajdują się w XIV tomie Rocznika Towarzystwa. Odczyt inauguracyjny prof. L. Koczego o „Kryzysie Uniwersytetu“ przedstawił na tle historycznym znaczenie idei wolności nauki, która przetrwała dotychczasowe kryzysy, aż do zarysowującego się obecnie kryzysu na skutek coraz silniejszej ingerencji państwa i przewagi rozwoju technologii nad humanistyką.

Podobnie zagajając Walne Zebranie Tow. Historycznego w W. Brytanii gen. M. Kukiel, rozpoczął od uczczenia pamięci zmarłych członków, po czym wygłosił referat pt. „Drogi Podziemne Mickiewicza“ w różnych organizacjach konspiracyjnych, także wolnomularskich i weglarskich, od Tow. Filomatów do Tow. Patriotycznego. W części administracyjnej zebrania złożone zostało sprawozdanie zarządu, stwierdzające m.in., że Towarzystwo liczy 70 członków i odbyło 8 posiedzeń naukowych oraz uczestniczyło w wielu okolicznościowych ze-

braniach publicznych. Następny, XIII tom „Tek Historycznych“ za r. 1964/65 jest w przygotowaniu. W wyniku wyborów z władz ustąpił pp. J. Hoffman (zmarły w kilka tygodni później), prof. W. Wielhorski i dr A. Wojtowicz, a weszli do zarządu pp. mgr. A. Dąbrowski, J. Tomiak i mgr. Z. Jagodziński, a do komisji rewizyjnej p. mgr. M. Golański.

Wspomniane dwa Towarzystwa wraz ze Związkiem Pisarzy i Zw. Dziennikarzy R.P. urządziły w grudniu drugie, po kwietniowym, zebranie protestacyjne przeciw represjom wobec M. Wańkowiec, J. N. Millera i płk. J. Grzędzińskiego w Kraju. Przewodniczył prof. B. Hełczyński, który omówił przedmiot protestu, po czym zabierali głos pp. J. Bielatowicz, gen. Z. Bohusz-Szyszko, „aby w proteście nie brakowało głosu żołnierza polskiego“, i R. Zakrzewską ze Zw. Dziennikarzy R.P. Na wniosek red. W. Wohnouta zebranie uchwaliło jednomyślnie rezolucję protestującą przeciw nowym próbom sterylizowania twórczości.

Z odległych ech oddziaływania pisarzy polskich zanotować należy rozpoczęcie przez dr T. Terleckiego wykładów zarysu literatury polskiej oraz polskiego dramatu XIX i XX w. na Uniwersytecie w Chicago dla dyplomatów. Zapowiedziane są też jego odczyty powszechne na uniwersytecie i poza nim dla kolonii polskiej. W Nowym Jorku ukazała się biografia powieściowa pt. „Modigliani — Prince of Montparnasse“ pióra Tadeusza Wittlina. Według dotychczasowego zestawienia dr M. Danilewiczowej w r. 1964 ukazało się ponad 100 polskich wydawnictw, z czego 55 książkowych na emigracji. Szczegółne miejsce zajmuje w tegorocznym pokłosiu przekład „Pana Tadeusza“ A. Mickiewicza na język angielski, dokonany przez Kenneth MacKenziego.

TEATR I FILM. W końcowym okresie roku teatr przeżywał szczególnie trudny dla siebie okres. Dotychczasowe projekty repertuarowe zawiodły. Święta minęły bez tradycyjnego samorządowego „Festiwalu teatralnego“. Było tylko jedno po świętach przedstawienie rewii Ref-Rena: „Pszeboje PszePaństwa“ nieortograficzna w tytule, ale nie mniej zabawna z N. Oleńską, S. Horwat, L. Lawińskim i S. Zięciakiewiczem, który powrócił z Nowego Jorku, gdzie na 10-lecie „Studium Dramatycznego“ Wandy Frydrych-Zbierowskiej grał rolę Chłopskiego w „Warszawiance“ S. Wyspiańskiego. W rewii akompaniowała M. Drue a akcenty dekoracyjne były J. Smosarskiego. Jeszcze inną wersję rewii dano z przebogatego dorobku Ref-Rena, w przemianowanym ostatnio „Klubie Piosenki RWE“ (dawniej Przebojów) pod kierownictwem W.

Józef Garliński

„Z I E M I A“

Już jest w sprzedaży nowa książka popularnego autora, który dał się poznać społeczności emigracyjnej dwoma tomami wspomnień z okresu ostatniej wojny, Armii Krajowej i niemieckich więzień i obozów („Dramat i Opatrzność“ i „Matki i żony“).

Cena 12/6

GRYF PUBLICATIONS LTD.

171, Battersea Church Road,

London, S.W. 11

i we wszystkich kioskach i księgarniach polskich

Budzińskiego i z kwartetem jazzowym S. Norberta. Była to Rewia Sylwestrowa RWE bez Zięciakiewicza, ale z udziałem M. Malicza, E. Chudzińskiego i J. Kropiwnickiego.

Zawiał do Londynu kierownik wrocławskiego kabaretu „Dymek z papierosa“ Wojciech Dzieduszycki (wnuk ekscentrycznego filozofa tegoż imienia) poza sceną profesor politechniki, krytyk muzyczny i teatralny, śpiewak operetkowy i aktor dramatyczny (u Horzycy), konferensjer i humorysta. Tak też został zaprezentowany przez Irenę Delmar, która nie tylko wystąpiła w efektownych taaletach, ale popisała się wykonaniem kilku bardzo dobrze opracowanych głosowo i gestycznie piosenek.

Z występów polskich aktorów wśród obcych zanotować należy fakt, że W. Sheybal grał rolę tytułową w sztuce Leonida Andrejewa „Ten, którego biją po twarzą“ w „Hampstead Theatre Club“. Skarbnik honorowy Funduszu Dobroczynnego Artystów Rewiowych Sergiusz Ganjou (Ganzulewicz) brał udział w wprowadzeniu Królowej Elżbiety II na otwarcie galowego przedstawienia rewiewu w „Palladium“.

W wyniku konkursu im. Z. Nowakowskiego na sztukę teatralną dla dzieci i młodzieży, nagrodzone zostały utwory następujących autorek: I-a M. Reszczyńskiej-Stypińskiej, II — J. Otwinowskiej, III — A. Kaczmarskiej i IV — B. Pakulskiej.

SZTUKI PLASTYCZNE. Niewątpliwie zarówno teraz jak i przedtem najlepiej się dzieje w zakresie polskiej sztuki plastycznej. W niewielkiej galerii New Vision Centre odbyła się chyba największa pod względem liczby uczestników wystawa zbiorowa „Zrzeszenia Polskich Artystów Plastyków“ w W. Brytanii. Była to 5-ta z rzędu. 1-a była w YMCA, 2, 3 i 4-a u Grabowskiego, a obecna jest pierwszą wspartą subwencją „Art Council of Great Britain“. Ogółem wzięło w niej udział 26 artystów z 41 pracami. Na wernisażu był taki tłok, że o oglądaniu obrazów nie mogło być mowy.

Dużo przestronniej było w Galerii Grabowskiego na wystawie „Współczesnej grafiki znanych i nieznanymi artystów“, gdzie wśród 26 eksponatów 13 grafików było po dwie prace M. Łączyńskiego i T. Beutlicha, niewątpliwie wyróżniające się subtelnością wśród innych prac, zresztą na ogół na dobrym poziomie. W Cassell Gallery jest wystawa mieszana artystów z Polski i z Londynu, których reprezentuje Z. Turkiewicz i F. Topolski. W Drian Gallery była wystawa prac M. Żuławskiego, znamionująca jego mocno zarysowany styl. Dość niezwykłą gością znalazły

prace B. Gorgolewskiego i J. Piwowara, a mianowicie w „Doctor's Restaurant“ na West Endzie. Obejrzenie ich 31 prac wymaga znów ofiarnej pielgrzymki, bo o zaparkowaniu w dzień w pobliżu nie ma mowy.

Swego rodzaju zamknięciem roku plastycznego była wystawa prac 23 studentów Studium Malarstwa Sztalowego Społeczności Akademickiej USB w salach Polskiej YMCA. Był to nie tylko interesujący pokaz nowych talentów, ale przy tym również miara ekspansji malarstwa polskiego, gdyż wśród wystawiających była mniejszość Polaków, a reszta należała do siedmiu różnych narodowości od Chin i Indii do Anglii i Walii.

Z malarzy chodzących zupełnie luzem wspomnieć można o wystawach S. Barana, specjalizującego się w kukielkach satyrycznych, A. Khuna, który miał nie tylko obrazy ale i rzeźby na wystawie, J. Surmy — sztuki stosowanej w Cardiff, M. Maurer z Brodów w Londynie i A. Wasilewskiego, obchodzącego 40-lecie pracy artystycznej w Polsce. Zasięg oddziaływania sztuki emigracyjnej z Londynu jest naprawdę światowy, bo jeśli idzie tylko o uczestników wystawy Zrzeszenia wystawiali w Francji, Niemczech, Polsce, Hiszpanii, Włoszech, Argentynie, Iraku, Libanie, Izraelu, Egipcie, Syrii, Jugosławii, Kanadzie, St. Zjedn. i Japonii. Na trzecim „Biennale“ malarskim młodych (poniżej 40 lat) w Tokio po Olimpiadzie były prace M. Łączyńskiego i dwóch innych malarzy polskich z Paryża. Komitet Biennale powierzył wybór artystów w Europie K. Jeleńskiemu, który z kolei wybór w Anglii powierzył mgr. M. A. Grabowskiemu.

NAUKA I TECHNIKA: W British Academy prof. Kazimierz Lewy z Uniwersytetu w Cambridge wygłosił wykład na temat sformułowania „błędu naturalistycznego“ w etycznych rozważaniach przez G. E. Moore'a, jednego z twórców nowoczesnej filozofii analitycznej. Odczyt miał bardzo dobre przyjęcie u słuchaczy i był wymownym przykładem znaczenia subtelnych i ścisłych analiz dla sformułowań i rozwiązań zagadnień filozoficznych.

Innym przykładem powodzenia polskich filozofów jest wydrukowanie przez czasopismo „Hinduism“ pierwszej części pracy prof. W. Strzałkowskiego z P.U.N.O. na temat przyczynowości, wchodzącej w skład większego dzieła pt. „Rola doświadczenia motorycznego w myśleniu i postrzeganiu“.

O dobrej passie dla filozofii w ogóle świadczy fakt, że inaugurując „Uniwersytet Radiowy“ dla studentów rosyjskich Sekcja wschodnia B.B.C. rozpoczęła się od kursu filozofii zachodniej,

składającego się z 6 wykładów profesorów: A.J. Ayer'a — o postrzeganiu, P.F. Strawson'a — o ciele i duszy, K. R. Popper'a — o obecnym stanie i metodach nauki, A. Montefiore i A. P. Griffiths'a o różnych zagadnieniach z etyki. Wykłady nadawane będą w przekładach na rosyjski. Dopiero następna seria wykładów dotyczyć będzie socjologii. Wreszcie jeszcze jeden sukces filozofa polskiego, tym razem z Kraju, prof. Stefana Skwarczyńskiego, znanego tomisty, który został mianowany przez Papieża świeckim audytorem Soboru. Tytuł ten posiadał dotychczas tylko jeden Polak — M. Habicht, przebywający stale w Rzymie.

W ostatniej chwili nadeszła z St. Paul w USA wiadomość o śmierci dra Mariana L. Heitzmana, profesora filozofii w tamtejszym Kolegium św. Tomasza, na PUNO w Londynie i b. docenta na U.J.

Zgodnie z zapowiedziami odbyła się inauguracja roku akademickiego na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie W imieniu rektora prof. J. Jędrzejewiczowej, która nie była w stanie wziąć udziału, uroczystości zagałi dziekan wydziału humanistycznego prof. T. Sulimski, po czym sekretarz prof. J. Gawenda złożył sprawozdanie z działalności za ubiegły rok, której ukoronowaniem była wzruszająca uroczystość promocji doktorskich. Prof. Z. Hołub Pacewiczowa promowała mgra W. Rybotyckiego (praca z antropogeografii), prof. gen. M. Kukiel — mgra H. Graniewskiego (z historii), a dziekan T. Sulimski w imieniu promotora prof. B. Ząborskiego z Kanady dra M. Seborę, Czecha (z antropogeografii) in absentia, wreszcie dziekan wydz. ekonomicznego prof. Z. Stahl w imieniu promotora prof. St. Świaniewicza z Kanady — mgra Z. A. Kończackiego (z ekonomii) — też in absentia. Nadto tymże trybem otrzymali dyplomy inżyniera ładowo-wodnego w grupie konstrukcji — p. K. Cas-Stankiewicz z Kanady promowany przez prof. R. L. Wajdę i prof. Wł. Wrażęją z Kanady oraz p. S. Sadowski z Południowej Afryki promowany przez prof. R. L. Wajdę. Na zakończenie prof. J. Bujnowski miał odczyt inauguracyjny pt. „Zagadnienie kryteriów wartości utworów literackich“.

Godnym zanotowania jest nadto fakt, że tzw. PUCAL (Polish University College Association Ltd.), któremu przewodniczy prof. R. L. Wajda, przyszedł z pomocą wyrażającą się ogólną sumą £.550 dla młodzieży akademickiej studiującej nie tylko w Londynie, ale również i w Madrycie, gdzie prof. A. Deryng w imieniu PUCAL'u rozdzieli stypendia na sumę £.100 dla 11 polskich studentów.

J.Ostrowski

MIGAWKI ABSTRAKCYJNE

Nie rozumiem nowoczesnej poezji, tak jak nie rozumiem nowoczesnego malarstwa. Poezja w moim pojęciu, to Leśmian, Pawlikowska, Tuwim, Lechoń, Łobodowski, Obertyńska, Balk. Lecz dzisiejszej plejady gwiazd poetyckich, zapewne pierwszej wielkości, jak i krążących wokół nich pomniejszych, koledniczych — nie rozumiem. Mam wrażenie, że można źle pisać i być poetą, bo nawet, w słabych utworach wyczuje się ich szlachetne pochodzenie, jak również można pisać wiersze doskonale pod względem formy — pozbawione poezji.

Wszystkiego trzeba się uczyć. Nauka, ćwiczenie, poznanie rzeczy są konieczne w każdym rzemiośle, jak i w każdej gałęzi sztuki. Wymaga to jednak lat pracy, zatem cierpliwości. Dzisiejsza epoka tymczasem goni potrójnym tempem, tak że brak jej czasu na naukę, cierpliwość zaś, uciążliwego towarzysza, wyrzuca z rozpędzonego pojazdu. Zwłaszcza poeci i malarze chcą z miejsca ruszać na podboje. W pojęciu wielu nauka — rzecz zbędna. Wystarczy sama wizja, przybrana w bikini. Wierzę. Bo równie dobrze wyrazi to, czego artysta in spe nie ma do powiedzenia. Jego wiedza o zawodzie opiera się tylko na nim samym, tak jak on opiera się tylko na tym, czego nie ujarzmił. A pisarz, bez opanowania techniki wyrażania myśli i bez umiejętności stworzenia myśli, jest jak dusza czyścowa — błąka się w ciemności. Samotna bowiem, sieroca chęć tworzenia jeszcze nie wystarczy. Lecz on pisze, byle prędzej, byle jak, byle wskoczyć na Parnas. Wybiera zatem linię najmniejszego oporu i używa najskuteczniejszego chwytu — stwarza obraz, albo poemat, którego nikt nie rozumie. W pewnym rytmie (broń Boże rymie!) zestawia parę drapieżnych ud z kościstymi ustami, banie nóg z bezpiecznymi wklęsłościami, czy duchową wypukłością i — natychmiast pada ocena: w tym coś jest! Trochę jak w bajce Andersena o królu i szacie. Nikt szaty nie widział, ale każdy się zachwycał, żeby nie być posądzonym o ignorancję.

Żaden człowiek właściwie nie wie, co się w nim kryje, prócz jednego — własnej niewiedzy. Ale nie przyzna się do tego za żadne skarby, bo w jego pojęciu i pojęciu ogółu, z tą chwilą stałby się niczym. Nie rozumie, że pozorna przegrana — gdyby zdecydował się na nią — stałaby się jego wielkością.

Snobizm i zakiamanie, to cechy każdego środowiska. Wiedział o tym Picas-

so. O jego epoce różowej, epoce błękitnej, zdania były podzielone: wspaniałe — albo — nic nie warte. Dlaczego? Ponieważ wydający opinię rozumieli to, co widzą na płótnie, lecz każdy na swój sposób, co zależy już tylko od indywidualnej zdolności odczuwania. Dopiero kiedy ujrano prace których nikt nie rozumiał, które przeczyły zdrowemu rozsądkowi, raziły ludzi o wyrobionym smaku estetycznym, strach ogarnął masę. Czym prędzej więc, ażeby się asekurować, zawołała: genialny!

Picasso mógł sobie pozwolić na zdobycie sławy podstępem. Zrobił to nie dla rozgłosu, lecz dla uznania tego, czego wielkość czuł w sobie, a co do tychczas spotykało się jedynie z przeciętnością krytyki. Dlatego też później wykiął ją w swoim słynnym oświadczeniu.

Po tej dykresji o malarstwie powracam do poezji. I powtarzam — dzisiejszej nie rozumiem, nic mi nie mówi. Mogłabym, jak Wyspiański w „Weselu“ powiedzieć: słowa, słowa, słowa. A gdzie myśl? Chwilami, czytając współczesne wiersze, można zatęsknić za staroświeckim rebusem. Męczący, budził jednak zaciekawienie, bo wiadomo, że sens krył się w każdej literze, byle tylko wpaść na właściwą. Prócz tego, rebus ułożył ktoś o umyśle konstruktywnym. Wiele nowoczesnych utworów poetyckich wyzwoliło się z konstrukcji. Destrukcyjne zatem? Skąd! Destrukcyjność ma w sobie pewną wielkość, gdy tu przede wszystkim widzi się potwornie leniwy umysł, który woli składać rebusy bez myśli, aniżeli przysiąść fałdów, ażeby poznać tajemnicę udanej materializacji wizji poetyckiej i formy, może być, że „niemodnej“, za to jasnej, czytelnej.

Z powodu takich rozważań trudno mi zabierać głos, kiedy mowa o nowej poezji, lecz zabieram jednak po przeczytaniu „Na oceanie“ Stefana Legeżyńskiego, tomiku wydanego w Londynie przez Oficynę Poetów i Malarzy.

Sekunda w poezji znaczy więcej od godziny. Dawniej, utwory tego typu jak Legeżyńskiego, nazywano: miniaturami. Ponieważ wiersze Legeżyńskiego odbiegają od techniki klasycznych miniatur, nazwę je: mikroskopijne abstrakcje. Akcent jest w nich położony nie na zdecydowanej linii, lecz na grze światłem i cieniem, nastroju wywołanym zestawieniem barw, zależnym od psychi-

cznego klimatu autora. Spomiedzy wielu nowoczesnych, te są pierwsze, w których wyczułam ciepło słońca, a nie nowowej żarówki. Przy tym, w utrwaleniu każdego z migawkowych wrażeń, przebiega stale tęsknota za czymś, co mija, chociaż jeszcze się nie spełniło.

P A R K

Coraz mniejszy, obcinany,
wycinany, ogradzany,
drapaczami nakrywany, hukiem
rozdarty, wypełniony samochodami,
jest parodią wytchnienia.

Nasze życie jest parodią,
spotkania cieniem kontaktu.
Zakrzyczani, zatłumieni jak Park,
który ohydnieje z dnia na dzień.

Czuje się w tym wołanie czegoś, co upomina się o należne sobie prawo bytu i równocześnie pojmuje niemoc swego buntu. Cóż więc zostaje? Rezygnacja. I ta, odnoszę wrażenie — z czego autor może nie zdaje sobie sprawy — jest przewodnią każdego jego utworu.

Zarzucam Legeżyńskiemu dwa grzechy: nadużywanie przymiotnika „dziwne“ i czasem zwrot, który zaskakuje i burzy estetykę powstającej wizji. Np. w abstrakcji „Podróż naokoło nudy“ to jakby w uszpioną wodę, w żalosne nawoływanie mew, wdarł się nagle grzyt rzuconego łańcucha okrętowego.

I chłapie śruba a wał gruby,
porusza się w okrętu brzuchu.
Ryb latających jasne grotty
fruwają wokół równej nudy.

Przekonywująca wizja ryb jak „jasne grotty“ i „równa nuda“ rozwiewa się przez „chłapanie śruby“ i „brzuch okrętu“. „Chłapanie“ nasuwa pojęcie czegoś słabego, nieporadnego, stoi więc w sprzeczności z mocarną śrubą okrętową; zawsze potężna wali, burzy, pieni, lecz nigdy nie chłapie, nawet na małych obrotach. Znów „brzuch okrętu“ przywodzi prędzej na myśl obraz galeury, korabia, łodzi wikingowskiej, aniżeli smukłej linii nowoczesnego statku. Stąd niezgodność symbolu z wizją. Lecz i te grzechy podkreślają nastawienie autora do życia: tęsknota do rzeczy amaterialnej, przy równoczesnej kapitulacji wobec materii. Odrzucić jej nie można, trzeba więc poniżyć, obedrzyć z urody. Stąd dysonans pomiędzy poetą a światem zewnętrznym.

Wydanie tomiku jest bardzo staranne. To nie tylko piękna szatka dla autora, to również świadectwo smaku tych, którzy ją szyli.

— Co będziemy pili?

— Grapę naturalnie. A panie — muscato.

Pan Jańcio poprawił się na krzeselku i wyprostował, jakby zrzucał z siebie ciężki worek z ceglami lat.

Mały ogródek poza kawiarnią zapelniał się. Signor Melletti podskakiwał od grupki do grupki gości, usadzał, zapraszał, uśmiechał się z miną zawodowego „entertainera“. W świetle dziennym koślawe stoliki, składane krzeselka i wytarte łokcie gabarydnowej marynarki Mellettiego zraziłyby wielu bywalców Tre Piccioni, jednak światło kolorowych żarówek umieszczonych w gałęziach pinii i figowców stwarzało nastrój najwytworniejszego klubu nocnego.

— Due grappe e una bottiglia di muscato — powiedział Jańcio do małego chłopca włoskiego początkującego w roli kelnera.

— Bianco o roso?

— Roso, prego — wtrącił się pan Żulko chcąc też popisać się znajomością włoskiego.

— Podoba się pani? — spytał pan Jańcio panią Żulkową.

— Owszem, bardzo tu romantycznie — przyznała pani uśmiechając się uroczo.

— No widzi pani — ucieszył się pan Jańcio — tutaj wszędzie tak.

— Żeby nie ci Niemcy — wtrąciła żona pana Jańcia.

Państwo Żulkowie spotkali pana Jańcia z żoną przypadkowo. Zatrzymali się przy wystawie i dyskutowali cenę zielonego wazonu z weneckiego szkła.

— Czy można? — zapytał po polsku mężczyzna w średnim wieku. — To tak przyjemnie spotkać rodaków tutaj we Włoszech.

Nowy znajomy był takimż urlopowiczem z Londynu jak Żulkowie. Poszli razem na kawę i dowiedzieli się, że pan Jan Uzdowski po dwudziestu latach wybrał się nareszcie do Włoch odwiedzić stare kąty.

— No i spłaciłszy już pierwszy dom i gotówki trochę było wolnej, więc powiedziałem sobie: Jańciu, trzeba pojechać do Italii. Pierwszy prawdziwy urlop od dwudziestu lat. No i jesteśmy. A pieniądze to płyną jak woda, musiałem od agenta dopłacić trzydzieści funtów.

— Pan tu z rodziną? — zapytała pani Żulkowa, jak zawsze uśmiechając się uprzejmie.

CZESŁAW DOBEK

OSTATNIA BITWA

— Z jaką tam rodziną. Żona i córka tylko. Rodzina w Polsce została. Żonie chciałem pokazać Włochy, Loreto, Anconę i tam dalej. Tylko, że te liry płyną jak woda. Za taksówkę do Loreto piętnaście tysięcy chcą.

— A pociągiem nie lepiej? — spytał pan Żulko.

I tak dalej. Rozmowa z panem Jańciem była łatwa i przyjemna, ostatecznie to przecież w morzu turystów, Francuzów, Niemców, Belgów, Szwajcarów spotkali się dwaj rodacy. Dwaj żołnierze 2 Korpusu sprzed dwudziestu lat.

Pan Jańcio zaprosił ich do Trzech Gołąbków.

— Nasze zdrowie — podnosił wysoką szklaneczkę z grapą.

— Mocne — otrząsnął się pan Żulko — ale nie takie złe.

— Żebyś pan wiedział — powiedział pan Jańcio — co grapa to grapa. Jak myśmy na froncie z wina grapę pędzili, to lepszej pan nie znajdziesz. To była woda, a śmierdziała jak nafta.

— Patrz, Kaziu — szepnęła pani Żulkowa pochylając się ku mężowi — Niemcy.

Towarzystwo przy sąsiednim stoliku usadowiło się i pani w szarej dekolowanej sukni napotkawszy wzrok pani Żulkowej, uśmiechnęła się.

Ogródek pod trzema gołąbkami już prawie zapelniał się. Chłopcy-kelnerzy biegali z wysmukłymi butelkami okapturzonymi złoto, biało lub czerwono. Lało się do kieliszków musujące tanie wino.

Na podwyższeniu pod parasolem figowca, na którego rozczapierzonych gałęziach kołysały się lampiony, ustawił się harmonista i bębniarz próbował pączek na bębnie. Signor Melletti przystanął koło stolika swych dwóch primadonn i dyskutował zapewne program.

— To ta blondyna — pokazywał z daleka pan Jańcio — co za śpiewaczka! Allez! Allez! — krzyknął głośno, a goście przy sąsiednich stolikach rozzemieli się.

— Trochę gruba — mruknął pan Żulko obserwując blondynkę.

Obok strzelił korek z butelki musującego muscato. Jakby to było syg-

nałem dla rozpoczęcia programu, blondynka zerwała się od swego stolika i stanęła na podium.

Harmonista pociągnął akord na harmonii. Perkusjonista uderzył na alarm. Goście odstawili kieliszki i zwrócili się ku estradzie.

— Allez! Allez! — krzyknęła gruba blondyna i potrząsnęła piramidальnym kokiem.

— Allez! Allez! — odpowiedziały jak echem młode głosy ode drzwi. Stali tam dwaj wysocy, jaśni, śmiejący się chłopcy w lekkich wiatrówkach i w koszulach rozpiętych na pierśsiach.

Harmonista zaczął melodię, blondyna nabrała tchu w płuca. Młodzi przybysze przepychali się między stolikami. Usiedli wreszcie niedaleko pana Jańcia i jego kompanii.

— Asti spumante, bitte! — krzyknął jeden z nich.

— Cholera — szepnął pan Jańcio — Niemcy, i Asti piją. Trzy razy droższe niż nasze muscato. Mają pieniądze.

— Napijmy się jeszcze grapy — proponował pan Żulko.

— Napij się wina — prosiła żona z uśmiechem.

— Jańciu — szepnęła pani Uzdowska — jak oni się rozpychają.

Młodzi Niemcy siedzieli rozparci i kiwali rękami w prawo i lewo pozdrawiając znajomych.

— Allez! Allez! — znowu wrzasnęła blondyna, zaczęła śpiewać.

Amore scusa mi... amore baccia mi...

— Dwadzieścia lat temu — prawil pan Jańcio nie przykładając ucha do włoskiej piosenki — nie rozpieraliby się tak.

— Wygląda — powiedział smutno pan Żulko — że to oni wygrali wojnę.

Rzeczywiście, młodzi Niemcy byli bardzo pewni siebie i szczęśliwi. Musieli być znani tutaj, bo od wielu stolików pozdrawiano ich i krzyczano do nich po niemiecku. Niemców zresztą nie było tu brak, wszędzie dokoła słychać było język niemiecki.

— Ja, panie — zwierzał się Jańcio Żulkowi — byłem kierowcą kariersa. Mogłem iść do podchorążówki, bo edu-

NAD ADRIATYKIEM

kację miałem, ale po co to mi? Szczęśliwy byłem z jedną belką. No nie?

— Pan to pewno był oficerem? — wtrąciła pani Jańciowa w stronę Żulki.

— No tak — trochę się zmieszał — ale przecież to było dawno.

— Napijemy się pod te czasy. Prego. Pronto. Due grappe.

— Jańciu — zatroskała się żona — może za wiele!

— Nie wydziwiał — krzyknął pan Jańcio — nie takie rzeczy się piło. To były czasy. Teraz człowiek patrzy i patrzy, i nie może zobaczyć tego, co było kiedyś. Pojechałem do Ancony, co pan myśli? Nie ta. A Loreto? Cmentarzyk, panie, owszem ładnie się nim siostry opiekują i widać, że pieniądze, które zbierali, nie poszły na marne. Ale trudno znaleźć to co było.

— Pan pewnie signorin szukał? — zaśmiał się Żulko. — No, coś zestarały się. Włoszki wcześniej starzeją się, nie tak jak nasze Polski.

— Tylko bez takich komplementów — zaprotestowała pani Żulkowa.

— Allez! Allez! — krzyknęła blondyna i cała sala odpowiedziała jej krzykiem.

Teraz śpiewaczka przeszła na skoczny ton. Goście uderzali dłońmi w stoliki do taktu, potrząsali kieliszkami, pokrzykiwali. Temperatura ogródka szła do góry szybkimi skokami.

Harmonista podskakiwał wystukując rytm piosenki, bębniasta szalał nad trzema bębnami, a blondyna z mikrofonem w rękę miotała się po estradzie wysyłając piosenkę na wszystkie strony ogródka.

Potem na jej miejsce wstąpiła brunetka, tęga i ciężka. Miała za to miękkie operowy alt i wyciągała arie z sentymentalnym modulowaniem.

Pod te arie publiczność trochę uspokojona zamawiała nowe butelki wina, pstrykaniem palców i psykaniem przywołując kelnerów.

— Oni piją szampana! — zawołał ni to z podziwem, ni to z oburzeniem pan Jańcio.

Przy stoliku młodych Niemców kelner manipulował przy butli z czerwona pieczętką. Korek strzelił z wielkim hukiem. Wino pieniało się w kieliszkach. Teraz siedziało tam już oko-

ło dziesięciu osób, kilka dziewczyn i młodzi mężczyźni. Żartowali wesoło ze sobą.

W pewnej chwili jeden zawołał głośno:

— Herr Melletti! Signor Melletti! Przepychając się między gośćmi signor Melletti podskoczył do stolika. Wśród uśmiechów i żartów odbyła się konferencja i patron Trzech Gołąbków udał się na estradę.

— Zachowują się jakby tu byli panami — żołądkował się pan Jańcio. — Piccolo pronto szampana!

— Jańciu, nie trzeba — zawołała żona.

— Panie Uzdowski, napijmy się grapy lepiej.

Harmonista zaczął przybierać po klawiszach. Wytrysnęła znana rozkołysana melodia.

— Pij, pij, pij bracie pij — zawtórował harmoniście pan Jańcio.

— *Trink, trink, Brüderlein trink Lasset die Sorge zu Haus...*

Śpiew młodych Niemców brzmiał głośniej. Za nimi cała sala zdawała się podejmować niemieckie słowa piosenki. Twarze czerwieniały z radości, kieliszki podnosiły się do toastów i kołysały do taktu melodii.

— *Wczoraj grałeś w sześćdziesiąt sześć...*

Pan Jańcio i Żulko z podniesioną do góry grapą próbowali przekrzyczeć Niemców, ale nie potrafili, więc zrezygnowani przechylili kieliszki wlewając wódkę w gardła jednym haustem.

— Ech, panie — machnął ręką Żulko — co nas dwóch znaczy, ot gdybym tak przyprowadził swoją baterię od razu rozgonilibyśmy tych Niemców.

— Lepiej z karabinem maszynowym. Panie, jak pod San Baggio sypnęliśmy z Waciem z naszego kariersa, jak Wacio pociągnął seryjkę... Ej, panie, to chyba ich ze stu leżało. To były czasy.

— Jańciu — wtrąciła się pani Jańciowa — nie denerwuj się. On proszę państwa — tłumaczyła męża — ma bardzo słabe nerwy, byle czym zdenerwuje się i potem nie śpi.

— Co tam spanie — krzyknął Jańcio. — Szampana. Nie! Due grappe, pronto!

Skończyła się pijacka piosenka i blondyna znowu zaśpiewała po włosku, ale nie długo, bo oto zmieniła ton, słowa i języka i zaczęła sentymentalną Lorelei;

— *Ich weiss nicht was soll es bedeuten...*

— Psiakrew — zawołał pan Jańcio — musimy coś zrobić. Tak nie może być.

— Jańciu — odezwała się prosząco pani Jańciowa — zostaw ich. Denerwujesz się, a ludzie przyglądają się nam ze wszystkich stron.

— Nie ma nic do ukrywania — postawił się Jańcio. — To oni, ci makaroniarze powinni się wstydzić. Oswobodziliśmy ich, pobiliśmy Niemców na głowę, a teraz oni tym samym Tedeskom kłaniają się w pas.

— Zaraz, zaraz — powstrzymywał gniew Jańcia pan Żulko i mrugał przy tym na panią Jańciową, żeby była spokojna, że on już to załatwi. — Popatrz pan na nich, przecież oni nie mieli pięciu lat, gdy ta wojna się odbywała. Oni nie są winni, że Hitler...

— Co się pan cofasz! — oburzył się Jańcio. — Strach pana opada? Boisz się pan? Ja panu pokażę, co może polski żołnierz. Tedeschi via!

Zasłuchani w rzewny śpiew Lorelei, wykonywany z ciężkim wdziękiem przez zadyszana brunetkę, goście ogródka nie dosłyszeli słów Jańcia, ale zwrócili głowy na hałas i zaczęli psykać.

— Psykajcie! Psykajcie! — wołał Jańcio. — Już my wam popsykamy.

— Jańciu — pani Jańciowa zerwała się od stolika z gniewem w oczach. — Natychmiast wychodzimy!

— Kto chce niech wychodzi.

— Panie Jańciu — uśmiechała się prosząco pani Żulkowa — niech pan nas posłucha.

— Drogi panie — perswadował Żulko — tak przecież nie można. Ja całkowicie stoję za panem, ja też byłem żołnierzem, ale...

— Jańciu! — syknęła złowrogo pani Jańciowa.

— Możesz sobie iść sama.

— Tak?

— Tak.

— No to idę — i pani Jańciowa zaczęła się przepychać do wyjścia.

Pani Żulkowa za nią. Pan Żulko też powstał, ale go Jańcio złapał za rękaw.

— Boisz się pan?

Żulko niepewnie pokiwał głową.

Publiczność była brawo spoconej brunetce. Niemiecka piosenka skończyła się długim westchnieniem harmonii.

— Signore — zawołał Jańcio kiwając w stronę stojącego w przejściu Melletiego. — Pronto. Pronto.

Melletti usłyszał i skinął na kelnera kierując go do stolika Jańcia. Ale Jańcio nie dał za wygraną. Wstał i sam podszedł do kierownika lokalu.

— Io — przemówił starając się wymawiać słowa dokładnie — volere canzone pollacco. Si?

Włoch wytrzeszczył oczy nie rozumiejąc. Więc Jańcio westchnąwszy sięgnął do portfela i wyjął pięć tysięcy lirów.

— Canzona pollacca — powiedział i zaczął nucić „Czerwone maki pod Monte Cassino“.

Włoch rozłożył ręce. Otaczający ich goście przy stolikach z ciekawością wyciągali szyje. Młodzi Niemcy opowiadali coś sobie pochyleni nad stolikiem, a w pewnej chwili wybuchnęli głośnym śmiechem.

Jańcio poczerwieniał i odepchnął gadającego coś szybko i niezrozumiale Melletiego.

— Hey, you — krzyknął Jańcio w stronę harmonisty i powiewając banknotem przed sobą postąpił ku estradzie.

— Was wollen sie? — zapytał harmonista patrząc łakomie na pieniądze, i już spod jego palców zaczęła wypływać melodia: Trink, trink...

— Listen you bloody fool — krzyknął Jańcio. — Io sono Pollacco. Io no voglio parlare Tedesco. No voglio.

— Si signor — kiwnął głową harmonista. — Si signor.

— Canzona pollacca — tłumaczył Jańcio i wykrzykiwał do ucha harmonisty takt Czerwonych Maków. Harmonista wytrzeszczał oczy beznaściejnie.

— Panie Jańciu — Żulko podskoczył był na pomoc i osłaniał Jańcia od tyłu. — A może lepiej: My Bonnie is over the Ocean?

— Si! Si! — zawołał harmonista usłyszawszy pierwsze takty i już grał angielską piosenkę.

Jańcio zrezygnowany włożył banknot pięciotysięczny do kieszonki muzykowi.

Publiczność podjęła melodię i kłaskała w dłonie do taktu.

— Bring back, bring back, o bring back my Bonnie to me.

Jańcio z Żulką nie wracali do stolika, przepchnęli się do pobliskiego bufetu i zamówili dwie grapy.

— Gdybyśmy mogli ściągnąć tu naszych chłopaków... — wzdychał Jańcio.

— Tak — przyznał pan Żulko — sami nie poradzimy.

— Gondola! Gondola! — zaczęli wołać goście od stolików jak tylko zakończyła się rozwlekła „Bonnie za oceanem“.

I z przeraźliwym okrzykiem „Allez, allez!“ blondynka wskoczyła na estradę. Zaczęła się piosenka rozkołysana w takt walca.

— Gondola, gondola, gondola — zabrzmiał refren i wszyscy w ogródku wzięli się za ręce i zaczęli kołysać do taktu.

Pan Jańcio poczuł, że ktoś ujmuje go pod ramię. Obejrzał się. Uśmiechnięta jasna dziewczynka szarpała go z jednej strony, jakiś krzepki chłopak z drugiej. To samo było z panem Żulką, chcący nie chcący włączyli się do ogólnej zabawy i pośpiewywali, zwłaszcza pan Jańcio, któremu dziewczyna z lewej bardzo się podobała.

Cały ogródek kołysał się i śpiewał.

— What nationality are you? — spytał Jańcio dziewczynki, gdy piosenka się skończyła.

— Deutsch — uśmiechnęła się do niego i zagadnęła coś jeszcze, ale pan Jańcio nie słuchał, rzucił się na bufet i złapał za pełen kieliszek grapy.

— Rób pan coś, poradź pan coś! — błagał krzykiem rozpaczliwym pana Żulkę. — Ja już nie mogę.

— Co ja mogę — bronił się pan Żulko, a język mu się płał.

— Ich bin ein polnischer Soldat — zawołał pan Jańcio w stronę dziewczyny, ale ona nie słuchała, siedziała już przy swym stoliku i szeptała do ucha młodego chłopca...

— Co my zrobim? — martwił się pan Jańcio i zamówił nową porcję grapy. — Harmonista durna pała, ze strony kierownika budy żadnej co-operation...

— Ja już dziękuję — bronił się pan Żulko przed grapą — ja mam chyba dość.

Chwiał się przy tym i przytrzymał bufetu.

— Ja im pokażę jeszcze — odgrażał się pan Jańcio po jeszcze jednym kieliszku.

— Czekaj pan — targał go za

rękę pan Żulko — grają naszą piosenkę.

— Naszą?! — oburzył się Jańcio.

Rzeczywiście, to sam signor Melletti tym razem wszedł na estradę i śpiewał na cały głos, a słowa były niemieckie:

„Vor der Kaserne, vor dem grossen Tor

Da steht eine Laterne und steht sie noch davor...“

— Tak nie może być! — ryknął Jańcio i podskoczył naprzód. — Chodź pan! — zawołał do pana Żulko, ale Żulko już zupełnie miękki kiwał się i wyśpiewywał razem ze wszystkimi: „To ty Lili Marlen, to ty Lili Marlen.“

— Zdrajca — cisnął za sobą w tył pan Jańcio i już był przy estradzie. Odepchnął Melletiego od mikrofonu.

Włoch protestował, bronił się, więc pan Jańcio wyciągnął ostatnie dziesięć tysięcy i wepchnął je Włochowi za koltierz, a sam złapał za mikrofon. Harmonista urwał melodię, perkusjonista wstrzymał pałeczki i pan Jańcio zaczął śpiewać, a raczej wrzeszczeć ochryple:

„Czy widzisz te gruzy na szczycie...“

Wszyscy przy stolikach śmiali się i przytupywali uważając występ pana Jańcia za najlepszą zabawę. A on ukończywszy pierwszą zwrotkę w przyspieszonym tempie przeszedł na „Hej strzelcy wraz“.

— Tak, tak — krzyczał od bufetu pan Żulko. — Tak z nimi trzeba. „Hej trąb! Hej trąb! Strzelecka trąbko w dal.“

— Signore — szarpał Jańcia Melletti — prego, prego...

— O ojców grób bagnatów poostrzał — wrzeszczał Jańcio.

Harmonista uśmiechając się sardonicznie jak zadowolony z grzechu szatan próbował wtórować Jańciowi, lecz nie mógł nadażyć, a czasem zgoła zdumiewały go tony wydobywające się z gardła śpiewaka.

Publiczność, z początku zadowolona z zabawy, zaczęła sykać i gwizdać.

Pan Jańcio pociągnął „Hej! kto Polak na bagnety“, ale już nie mógł dokończyć; zdeterminowany Melletti złapał Jańcia z tyłu i pchał z estrady, dwóch bliżej siedzących Włochów podskoczyło na pomoc.

— Psiakrew, ratunku! — darł się Jańcio. — Tedeschi!

Na nic się nie przydało; przy okrzy-

kach wesółych, śmiechu i tupaniu wyniesiono pana Jańcia i wypchnięto przed winiarnię. Postawiono przy ścianie i signor Melletti przemówił do niego bardzo groźnie.

— No rittornate. Mai — pogroził mu palcem. Potem wyjął z kieszeni banknot dziesięciotysięczny i wyciągnął ku panu Jańciowi, ale że ten nie patrzył nawet w tę stronę, więc Włoch schował pieniądze z powrotem.

Pan Jańcio westchnął jakoś smutno i powłókł się ulicą. Grapa zaczęła działać na dobre i bardzo się zataczał ku uciezce przechodniów.

Na drugi dzień po południu pani Żułkowa zdołała namówić swego męża do wyjścia na plażę. Pan Żułko zdjął kompres z głowy, włożył swoje pstre spodenki plażowe i koszulkę jantzenowską i poczłapał ku morzu.

Pod kolorowymi parasolami, na pasiastych leżakach, na piasku, na krzesłach leżeli leniwie ludzie opalający się przy późnym słońcu.

Nad samym morzem wpatrzony marzycielsko w horyzont spoczywał pan Jańcio, a obok niego nieruchoma, z zamkniętymi oczami oddająca się wydobywaniu na jaw ukrytych pigmentów, jego małżonka. Córka hasała w płytkich falach.

— Dzień dobry — jęknął pan Żułko.

— Dzień dobry — mruknął niechętnie pan Jańcio. — Faktycznie pan szanowny późno się wybrał na plażę.

— Opóźniona reakcja pod wpływem grapy — zaśmiał się krzywo pan Żułko — fatalny trunek. Chciałem spieszyć panu na pomoc, ale grapa zwała mnie z nóg. Niebezpieczny trunek. A pan nazwał mnie zdrającą.

— Nie szkodzi, było i przeszło — zlekceważył pan Jańcio z wyższością zwycięzcy. — I ja też faktycznie się wygłupiłem. Nie czas nam już na wojowanie. Było i zmyło. Dwadzieścia lat temu, to nie dzisiaj, i siły nie te same i zapał. Tylko głowa boli.

— Oj że boli to boli — potwierdził pan Żułko przysiadając na piasku.

— Moja połowa zaraz tu przyjdzie — powiedział w stronę pani Jańciowej, ale ona nie drgnęła nawet.

— Nie czas, nie czas — żałośnie skarżył się pan Jańcio. — Sam doszedłem do tego rezultatu a i żona wytłumaczyła. Psiakrew, forszę wydałem i teraz będziemy jak przylepieni siedzieli na tej plaży.

— Jeśli co — niepewnie zaczął pan

Żułko — to mogę służyć pożyczką. Niewielką naturalnie...

— Panie — pan Jańcio podniósł się z leżaka i popatrzył na pana Żułkę z lekceważeniem — tu chodzi o grube tysiące. Czy pan wie ile ja wczoraj stracił? Na pantofle dla żony, na suknię dla córki, na wycieczkę pod Monte Cassino... Panie — opadł z westchnieniem — ładną bitwę my przegrali. Pod tą grapą, psiakrew. Gdyby nie te dziesięć tysięcy...

— No, ja tam swój udział... — szepnął pan Żułko.

— Dobrzy ludzie odnieśli mi ostatnie dziesięć tysięcy, które wypadły mi z portfela. Odnieśli do hotelu.

— Drogi panie — mocniej odezwał się Żułko — ja naturalnie swój udział uiszczę. Z chęcią uiszczę.

— Nie trzeba — wspaniałomyślnie powiedział Jańcio — agent Cooka znów mi dopożyczył. Na pantofle będzie i na sukienkę też, a ten leżak opłacony do końca. Tylko, panie szanowny, na Monte Cassino nie ma. Koniec wszelkiemu wojowaniu. Ot co. Przegrali my bitwę. Było i zmyło.

Obaj panowie zamyśliłi się poważnie, a pani Jańciowa uchyliwszy powiek spojrziała na nich z ukosa.

W tej poważnej chwili z tłumu plażowiczów zalegających brzeg morski oderwało się dwóch panów, przeciągnęli się niedbale, zarzucili ręczniki na gołe plecy i wsunęli bosc nogi w pantofle. Zamienili kilka spokojnych słów i widać postanowiwszy odejść z plaży skierowali się ku miastu.

Przechodzili tuż obok państwa Jańciów i obaj jak na komendę zwrócili głowy w tę stronę, uśmiechnęli się szeroko i powiedzieli jednocześnie:

— Hallo!

— Aufwiedersehen — odpowiedział pan Jańcio podnosząc dłoń w geście pojednania i pozdrowienia.

— Drogi panie — zawołał pan Żułko — czy to nie ci Niemcy z ogródka?

Pan Jańcio przelknął ślinę.

— Faktycznie tak. Widzi pan szanowny, to oni mi odnieśli do hotelu zgubione pieniądze. Cóż robić.

— No tak, no tak zgodził się pan Żułko. Wszakże mówiłem panu wczoraj, że są Niemcy i Niemcy.

Pan Jańcio pokiwał głową, a potem spojrzawszy w morze powiedział smutno: a no pewno, ale są ludzie i ludzie...

Czesław Dobek

Osobliwości londyńskiego „Undergroundu“

Któż z londyńczyków nie korzysta stale z „Undergroundu“ — kolejki podziemnej? Pomimo złorzeczeń z powodu ciągle rosnących cen — mało który z pasażerów zdaje sobie sprawę, że sieć londyńska jest najsprawniejsza i zarazem najstarsza na świecie.

Powstawanie tej sieci rozpoczęło się przed przeszło stu laty. Jej rozrost odbywał się pozornie tak samo bezpłanowo jak rozrost miasta-giganta, które obsługuje.

Najstarszy, sześciokilometrowy odcinek Paddington-Farringdon, uruchomiono 10 stycznia 1863 roku, a więc dokładnie na dwa tygodnie przed wybuchem powstania styczniowego... Można, parafrazując pieśń powstańca, powiedzieć: „Gdy naród do boju wystąpił z orężem, Anglicy, kolejki wiercili“. Właściwie kopali a nie wiercili. Wiercenie nastąpiło później. Lecz wykopali i wywiercili ich sporo, bo obecnie długość londyńskiej sieci przekracza 436 kilometrów, dorównuje więc długości podziemnych kolejek nowojorskich, a trzykrotnie przewyższa długość paryskiego metra.

Nie podobna omówić tu wszystkich perypetii organizacyjnych i technicznych tej sieci, napotykanymi trudnościami prawnymi i finansowymi, nazw i dzieł wielu towarzystw akcyjnych, które ją budowały. Zainteresowanych tymi szczegółami odsyłam do serii artykułów Bella, umieszczonej w szwajcarskiej „Neue Zürcher Zeitung“. Pasjonującą lekturą jest potężny tom I — „Historii Transportu Londyńskiego“ w opracowaniu dwóch historyków T. C. Barkera i M. Roblinsa. Mnóstwo ilustracji pomaga wczuć się w dzieje transportu publicznego w wielkim mieście. Ograniczę się do przytoczenia rzeczy ciekawszych na temat powstawania i modernizowania sieci i jej stacji.

Sieć londyńska podzielona jest obecnie na 7 „linii“ (Metropolitain, District, Inner Circle, Northern, Central, Piccadilly i Bakerloo-Line), ale zarządza nimi centralnie London Transport Board.

Rozrost sieci. „Starszeństwo“, czyli wiek poszczególnych odcinków czy „linii“ zdradza do pewnego stopnia wygląd ich stacji i sposób zakładania torów. Tylko do pewnego stopnia dlatego, że niektóre stacje zostały później przebudowane i że różne systemy zakładania torów (tunelowy, odkrywkowy i nawierzchniowy) się zająbiały.

OSOBLIWOŚCI LONDYŃSKIEGO

Toteż warto przytoczyć daty uruchomienia przynajmniej najstarszych (po wspomnianym na wstępie) odcinków: W roku 1864 uruchomiono odcinek Paddington-Hammersmith, zresztą przeważnie na nasypach lub wiaduktach. W latach 1868/71 doszły odcinki Farringdon-Moorgate, Paddington-Earlscourt-South Kensington-Mansion House oraz Baker Street-Swiss Cottage, zbudowane przeważnie w wykopach lub płytko pod powierzchnią ulic. W latach 1877 i 1879 wydłużono „District Line“ do Richmondu i do Ealing Broadway. W latach osiemdziesiątych wzbogaciła się sieć o odcinki Acton Town-Hounslow, West Brompton-Wimbledon, Mansion House-Whitechapel oraz Swiss Cottage-Pinner-Chesham, natomiast w latach dziewięćdziesiątych doszły tylko odcinki City-Waterloo oraz Bank-London Bridge-Stockwell.

W rezultacie do końca XIX. wieku długość sieci wzrosła z 6 do 107 kilometrów. Ta bądź co bądź już bogata sieć była jednak, poza dwoma tunelami pod Tamizą, założona wyłącznie albo tuż pod powierzchnią ulic, albo na powierzchni ziemi.

Do zakładania głęboko pod ziemią prowadzonych linii przystąpiono na większą skalę dopiero na początku XX. wieku, gdy po długich próbach upowszechniono w latach 1904/5 trakcję elektryczną. Wówczas uruchomiono jako załączki „Central Line“ odcinek Shepherd's Bush-Bank, „Northern Line“ Finsbury-Clapham Common, „Piccadilly Line“ Hammersmith-Finsbury a „Bakerloo Line“ Baker Street-Kennigton. Niezależnie od tego wydłużono District Line na wschodzie do Upminster, a na północnym zachodzie do South Harrow. W ostatnich latach przed I wojną światową przedłużono „Northern Line“ przez Euston do Highgate i wybudowano drugie jej ramię z Charing Cross do Golders Green.

Podczas I. wojny światowej wydłużono „Bakerloo Line“ do Wembley i Watford.

Również w kresie międzywojennym uruchomiono sporo dodatkowych odcinków. Między innymi wydłużono „Central Line“ z Shepherd's Bush do Ealing Broadway, „Northern Line“ do Hendon i Morden, „Bakerloo Line“ do Wembley Central i Stanmore, a „Piccadilly Line“ do Hounslow, Uxbridge i Cockfosters. Już podczas II. wojny światowej wykończono trzy przedłużenia „Northern Line“ w kierunku północnym.

Po zakończeniu II. wojny światowej tempo rozbudowy wyraźnie osłabło. W latach 1946/8 doszły bowiem jedynie wydłużenia, co prawda bardzo znaczne, „Central Line“ — na północnym wscho-

„UNDERGROUND“ — Dokończenie

dzie do Ongar i Hainault, a na północnym zachodzie do West Ruislip — i dopiero przed dwoma laty przystąpiono do budowy nowej linii „Victoria“ narażenie na odcinku Victoria-Oxford Circus-Finsbury Park-Walthamstow. Linia ta ma później być wydłużona ku południowi i wzbogacić podziemną sieć prawobrzeżnego Londynu, dotychczas traktowanego pod tym względem po macoszemu.

GARŚĆ CIEKAWOSTEK

Spośród istniejących 7 „linii“ najdłuższą sieć posiada „Central Line“. Stacje tej „linii“ mają również najdłuższe perony, po 130 metrów, dzięki czemu pociągi tej „linii“ mogą być najdłuższe.

Podczas II. wojny światowej 79 stacji głęboko położonych stanowiło doskonałe schrony. Około 100.000 osób mogło na ich peronach sypiać na improwizowanych łózkach.

Odcinki sieci, wywiercone głęboko pod ziemią są w sumie ponad 258 kilometrów długie, stanowią więc 60% całości sieci. Najdłuższy z nich (Morden-Golders Green) ma 28 kilometrów długości.

Przeciętna szybkość pociągów w tu-

nelach wynosi 33 kilometrów na godzinę, a maksymalna 64 kilometry.

Prąd napędowy dostarczają 3 siłownie: Neasden na północy. Lots Road na lewym brzegu Tamizy i Greenwich na prawym brzegu Tamizy.

Przeciętna temperatura w tunelach wynosi blisko 24 stopnie Celzjusza, pomimo bogatych urządzeń wentylacyjnych.

Ilość pociągów na ruchu podczas godzin największego jego nasilenia przekracza 500 jednocześnie.

Wagonów motorowych było przed rokiem blisko 2.700.

Stacji należących wyłącznie do „London Transport“ jest 224. Do nich dochodzi blisko 50 stacji wspólnych ze stacjami kolei dalekobieżnych i podmiejskich.

Na stacjach pierwszej kategorii jest w sumie 188 ruchomych schodów i 96 dźwigów.

Pierwsze zautomatyzowane dźwigi uruchomiono w 1928 roku, a ulepszono w latach 1935 i 1937.

Pierwsze ruchome schody wybudowano na stacji Earls Court, już w 1911 r.

Największą różnicę poziomu pokonywują dźwigi na stacji Hampstead. Jej perony położone są 58 metrów pod powierzchnią ulicy.

Kage

DATY WAŻNIEJSZYCH WYNALEZKÓW

X. wiek	Napęd rakiety — Chiny	1946	Mózg elektryczny — Ameryka
1041	Czcionki — Chiny	1952	Bomba wodorowa — Ameryka
1232	Proch dymny — Chiny	1955	Określ podwodny o napędzie atomowym — Ameryka
1302	Kompas — Włochy	1957	Satelita w orbicie ziemi — Sowiety
1450	Prasa drukarska — Niemcy	1960	Rakieta wystrzelona spod powierzchni wody — Ameryka
1505	Zegar sprężynowy — Niemcy		
1590	Mikroskop — Holandia		
1609	Teleskop — Włochy		
1641	Zegar wahadłowy — Włochy		
1714	Termometr rtęciowy — Gdańsk		
1764	Maszyna parowa — Anglia		
1769	Przędzarka mechaniczna — Anglia		
1783	Balon bezsterowy — Francja		
1807	Statek parowy — Ameryka		
1825	Lokomotywa parowa — Anglia		
1832/37	Telegraf — Ameryka		
1838	Aparat fotograficzny — Francja		
1853	Lampa naftowa — Polska		
1866	Prądnica elektryczna — Francja		
1867	Dynamit — Szwecja		
1872	Żarówka elektryczna — Ameryka		
1876	Telefon — Ameryka		
1885	Samochód z silnikiem spalinowym — Niemcy		
1888	Traktor gąsienicowy — Ameryka		
1892	Rad — Polska-Francja		
1895	Kinematograf — Francja		
1895	Promienie Roentgena — Niemcy		
1896	Radio — Włochy		
1903	Samolot — Ameryka		
1926	Telewizja — Anglia		
1930	Cyklotron — Ameryka		
1933	Mikroskop elektryczny — Niemcy		
1934/42	Radar — Cztery kraje		
1942/45	Stos atomowy — Ameryka		
1934/44	Rakieta dalekosiężna (V-2) — Niemcy		
1944	Samolot o napędzie odrzutowym — Niemcy		
1945	Bomba atomowa — Ameryka		

NOWE WYDANIE
głośniejszej książki

STEFANA KORBOŃSKIEGO

„W IMIENIU
RZECZYPOSPOLITEJ“

w oprawie płóciennej

Cena: £3.3.0, \$9.00, 40.00 F.

„GRYP“ — 171, Battersea Church Road,
London, S. W. 11.

Cienie Paola i Franczeski w Gradarze

Gradara, miejsce, gdzie tragiczną śmierć znaleźli Franciszek Polenta i Paolo Malatesta, leży w dzisiejszej prowincji Pesaro, w Emilii, niemal na granicy Marche, w pobliżu miejscowości Gabicce zwanej, dla swojego uroczego położenia „Capri Adriatica“. O między od Gabicce leży Cattolica, a dalej na północ — Riccione, Rimini, Cesenatico, Ravenna, na południe zaś — Fano, Senigallia, Ancona, tak dobrze znane żołnierzom 2 Korpusu.

Tyle razy więc opiewana tragedia rozegrała się w jednym z najbardziej ruchliwych centrów dzisiejszej turystyki we Włoszech. Nad morze ciągną przeważnie młodzi, żądni ruchu i wrażeń, Gradara więc jest dla nich idealnym miejscem zaspakajania ciekawości po oderwaniu się od ruchliwego Adriatyku. Dlatego to zamek-forteca w Gradarze jest dosłownie oblegany, specjalnie w godzinach popołudniowych, przez turystów różnego wieku i reprezentowanych przez różne narodowości. Przeważają Niemcy podobnie jak w hotelach, pensjonatach i lokalach wyżej wymienionych miejscowości. Spośród Włochów często można zauważyć młodzież szkolną, specjalnie dziewczęta, prowadzone przez siostry zakonne.

Zamek w Gradarze, wykończony jeszcze w XV wieku, utrzymał się do dziś w całości niemal nietknięty. Jego historia jednak sięga w głąb wieków średnich. Na przełomie XI i XII stulecia Gradara dostała się, przy pomocy papieża, w posiadanie Giovanni Malatesta da Verrucchio uważanego również za założyciela tej rodziny. On rozpoczął także budowę zamku, a kontynuowali ją jego następcy, budowanie ciągnęło się latami a nawet wiekami i ostatecznie zamek został wykończony w XIII, a upiększony w XV wieku. Sławna tragedia rozegrała się więc w trakcie jego budowy, a przynajmniej niektórych części. W późniejszych wiekach właścicielem Gradary stał się Aleksander Sforza, potem Della Rovere, wreszcie papież, a od 1773 roku sam zamek przeszedł na własność prywatną. Dziś spędza w nim miesiące letnie obecny właściciel, zamek jednak uważany jest za zabytek sztuki i wszelkie zmiany w nim mogą być dokonywane tylko za zezwoleniem władz powołanych do ochrony zabytków.

Dzisiejsze umeblowanie w pokojach i salach, przeznaczonych na mieszkanie, pochodzi z XIV i XV wieku, je-

dnak dolna część fortecy, przeznaczona dla kaźni, dla straży zamkowej, zbrojowni, pochodzi z wcześniejszego okresu. W miejscu kaźni zachowane zostały oryginalne narzędzia do torturowania ofiar, a w otworze sifitu-trabocchetto znajduje się balkonik, z którego obserwowano torturowanych.

Forteca przyciągała i przyciąga turystów, nie jednak jako zabytek budownictwa, ale jako miejsce mordu dwójga kochanków, którzy śmiercią zapłacili niedozwoloną miłość.

Franczeska była córką Polenty, dokładnie Guido Minore Polenta, pana Rawenny. Jego przodkowie już na długo przedtem rządząli Ravenną i ślub Franczeski Polenta z Gianciotto Malatesta, właścicielem Gradary, odbyty prawdopodobnie w 1275 r., był zwyczajnym związkiem małżeńskim między dziećmi zamożnych rodziców. Ale małżeństwo nie należało do udanych. Mąż zwany sciancato — chromy, kulawy, może i garbaty nie mógł zdobyć uczucia pięknej Franczeski, to uczucie pozyskał natomiast szwagier Paolo Malatesta. Podejrzliwy mąż, najwidoczniej świadomy tajnych spotkań żony z Paolo, zamordował ich oboje, w czasie jednego ze spotkań i prawdopodobnie z całą premedytacją. Data morderstwa dotąd nie jest ustalona, dokonane zostało prawdopodobnie w latach 1283-86. Zresztą cała historia ślubu, zabronionej miłości i morderstwa kryje wiele zagadek i owita jest mgłą legendy. Ta legenda stara się raczej usprawiedliwić zakochanych, według niej Gianciotto oprócz wad fizycznych odznaczał się gwałtownością i w ogóle przymiotami nie łatwymi do współzycia. Ponadto Franczeska, ciągle według legendy, stała się żoną Gianciotta nie znając go przedtem, bo małżeństwo przygotowali i do skutku doprowadzili rodzice panny młodej nie pytając się jej wcale o zdanie, co było raczej normalne w owych czasach. Ale były i głosy przeciwne mianowicie, że mąż, mimo wspomnianych wad, był dobrym administratorem, zdolnym politykiem i zamiłowanym wojownikiem, natomiast Paolo „oddawał się raczej zbytkom niż czynowi“.

Wśród wielu niepewności niepewne stało się również miejsce śmierci, bo nie mówi o nim Dante, współczesnik owych czasów i pierwszy, powiedzmy, relator tego wydarzenia Dante oprócz wpływu na poetów, malarzy i muzyków przyszłych pokoleń, podniecał wy-

obrażnię również archeologów. W XVII wieku, w zamku Gradary został odnaleziony szkielet średniowiecznego rycerza w pełnej zbroi. W 1790 r. rozpekł się, w tymże samym zamku, pewien grobowiec i współcześni, po otwarciu go, znaleźli w nim szkielet kobiety owinięty w drogocenne szaty z bogatymi ozdobami i biżuterią. Tak w rycerzu jak i w kobiecie uznano autentyczne groby Paola i Franczeski. Ale nieco później znalezione zostały w kościele Sant' Agostino, w Rimini, ciała dwójga osób owiniętych jednym drogocennym całunem i pochowanych w tym samym grobie. I w nich ludzie widzieli autentyczne groby nieszczęśliwych kochanków. Każde nowe odkrycie stawało się wydarzeniem, atrakcją, pobudzało umysł do nowych, fantastycznych uniesień. Specjalne nasilenie zainteresowania miało miejsce w epoce romantyzmu. Historia Franczeski i Paola stała się niemal wymarzonym tematem dla poetów, malarzy i kompozytorów. Wszystko tam odpowiadało duchowi epoki: temat średniowieczny, nieszczęśliwa miłość, rozczytywanie się kochanków w lekturze, tragiczna śmierć, wreszcie sam Dante, pierwszy piewca tej zabronionej miłości.

Romantyzm a i w ogóle cały wiek dziewiętnasty stał się odrodzeniem kultury poezji Dantego nie tylko we Włoszech, ale i w innych krajach o kulturze europejskiej. Boska komedia w szczególności zapładniała umysły twórców. Otóż w V pieśni Piekła Boskiej Komedii poświęcił Dante aż 72 wiersze zamordowanemu kochankom i umieścił ich obok Semiramidy, Dydony, Kleopatry, Achillesa, Parysa, zatem obok postaci historycznych, lecz nie chrześcijańskich jakby szukając pomniejszenia ich winy. Dusze ich gnane ustawicznie wichrem i burzą, nie mogą znaleźć spokoju jak nie znały go za życia. Dante-chrześcijanin potępiał ich grzeszną miłość i dlatego umieścił ich w Piekło, lecz równocześnie współczuł zakochanym. Wyznania Franczeski łączy mu wyciskają i, chociaż potępiona, nie żałuje swojego postępowania, bo „Miłość nas wiodła do wspólnego końca... ten, co nas zgładził, jęczy w zdrajców kole“. Broni zatem swojej miłości, bo tylko wówczas, gdy była zakochaną, czuła się szczęśliwą, a obecnie większy ból niż wichry i burze piekielne dają jej wspomnienia chwil minionych. Sama zaś miłość, jak wyznaje Dantemu Franczeska, zrodziła się w trakcie czy-

tania dziejów Lancelota, jednego z rycerzy Okrągłego Stołu:

„Raześmy powieść o miłosnej doli czytali cnego Lancelota. Sami byliśmy, ani się obawą żadną dusza nie zmaci, a jeno chwilami zamiast na księgę, oczy nasze padną wzajem na siebie... i zbledną jagody. Jedna się chwila stała dla nas zdradną. gdyśmy czytali, jako rycerz młody usta na licu złożył uśmiechnionym, ten, co z nim teraz gorzkie święce gody, mych się ust dotknął w pragnieniu szalonym. Ta książka duszę nam zgubiła biedną.

(Piekło, V, w. 126-137, tłumaczenie A. Świdorskiej).

Dante tak przejął się opowiadaniem Franceski, że omdlał i upadł na ziemię „jako martwe ciało“. I na tym kończy się V Pieśń wyśpiewana na cześć miłości.

Nikt inny nie mógł dać lepszego świadectwa tego wypadku. Przecież sam poeta schronił się w owych latach w Rawennie a schronienia udzielił mu właśnie Guido Novello Polenta, nie ojciec, ale krewny Franceski. Wiadomości więc jego pochodzą od osób bezpośrednio zainteresowanych. Wszelkie więc późniejsze spory o miejsce zbrodni, o czas i okoliczności jej towarzyszące biorą początek z wypowiedzi Dantego. Możemy nawet śmiało powiedzieć, że gdyby geniusz Dantego nie uwiecznił tej tragedii, zamarłaby ona razem z jej bohaterami. To on sprawił, że na tle miłości Franceski zostało osnuty sześć tragedii, dwa naście oper teatralnych i kompozycji symfonicznych, że refleks znalazła również w sztuce plastycznej.

Niektórzy z twórców jak Silvio Pellico trzymali się wiernie V Pieśni Piekła, inni jak Gabriele D'Annunzio (Francesca da Rimini) w interpretacji posłużyli się raczej opowiadaniem Boccaccia, według którego Franceska sądziła, że mężem jej jest Paolo, dopiero w dzień po ślubie przekonała się, iż została oszukana. Utwór D'Annunzia znalazł tym większy rozgłos, że kompozytor R. Zandonai osnuł, na jego tle, swoją operę. Oprócz wyżej wspomnianych motywem dantejskim posłużyli się: Byron, Czajkowski, Stephen, P. Maurice, Ingres, Mercadante, Mancinelli, by wymienić niektórych.

Wśród tych autorów nie figuruje nazwisko polskie, znalazł się jednak pi-

sarz polski, J. I. Kraszewski, który chociaż nie uczynił Franceski i Paula bohaterami dzieła, jednak hymn Dantego, wyśpiewany na cześć miłości, posłużył mu do powieści **Pod włoskim niebem**. Cały wstęp tej powieści jest interpretacją wypowiedzi poety włoskiego, a dopiero później bohater utworu, Jan, przepojony opowiadaniem Dantego, rusza w świat i zakochuje się we Włoszce, by w końcu znaleźć śmierć na ziemi obcej.

Dziś Gradara ściąga turystów bardziej niż kiedykolwiek w przeszłości. Posmak niecodzienności nadają jej i zacisze tak bardzo odczuwane po oderwaniu się od hałaśliwych brzegów morza i mury średniowieczne zamku, samo położenie na wzniesieniu, skąd czuć powiewy bliskiego Adriatyku, a nade wszystko żywa pamięć Franceski i Paola. I do nich to a nie dla Gianciotta kierują się wyrazy współczucia wszystkich prawie turystów.

Stanisław Piekut

OSTATNI ETAP W WALCE O ODSZKODOWANIA NIEMIECKIE

W dniu 18 listopada obradowała w Düsseldorfie pod przewodnictwem prezesa K. Odrotnego konferencja narodowych organizacji uchodźczych, reprezentująca — prócz polskich — związki kacetowskie: węgierski, jugosłowiański, czeski, litewski, ukraiński, rosyjski i gruziński.

Po dyskusji nad referatem przewodniczącego komisji prawniczej mec. M. Chmielewskiego uchwalono rezolucję, przedstawiającą wszystkie postulaty narodowo-prześladowanych w związku z nowelizacją ustawy odszkodowawczej. Ustawa ta wejdzie wkrótce pod obrady parlamentarnej komisji odszkodowawczej, a następnie plenum Bundestagu.

Rezolucja przesłana została czynnikom rządowym i parlamentarnym zarówno niemieckim jak i państw sojusznicznych oraz wszystkim zainteresowanym organizacjom społecznym. Ponadto przesłano ją Wysokiemu Komisarzowi Z. N. w Genewie, którego przedstawiciele uczestniczyli w konferencji. Wziął też w niej udział przedstawiciel polskiego i ukraińskiego Komitetu Imigracyjnego z Monachium.

Rezolucja wskazuje na dyskryminacyjny nadal charakter projektu noweli, wniesionej przez rząd, który uszczupla również prawa narodowo-prześladowanych, wynikające z układu Wysokiego Komisarza z rządem niemieckim z 5. 10. 1960 r. Rezolucja wskazuje na jaskrawe i urągające zasadom sprawiedliwości postępowanie urzędu odszkodowawczego B.V.A. w Kolonii oraz Sądu Administracyjnego, który orzekł, że układ nie obowiązuje go, gdyż nie został ratyfikowany przez parlament. B.V.A. odrzuca dwie trzecie wniosków, z zasady odmawiając odszkodowań tym, którzy nie chcieli podpisać tzw. Volksliste oraz tym wszystkim, którzy zostali aresztowani dlatego, że ujawniali

swój nieżyczliwy stosunek do hitlerowskiego reżymu.

Rezolucja wskazuje na niewłaściwe i szkodliwe dla interesów narodowo-prześladowanych dyrektywy ministerstwa finansów, udzielane poufnie B.V.A. i wiążące ten urząd.

Konferencja zwraca się do Wysokiego Komisarza o poparcie słusznych dżederatów narodowo-prześladowanych w sprawie usunięcia dotychczasowej dyskryminacji, włączenia liberalnej definicji pojęcia narodowo-prześladowanych do nowej ustawy, jak i prawa dziedziczenia dla tej grupy, analogicznie do innych grup, uprzywilejowanych w ustawie.

Ostatnie dwa ustępy rezolucji mają charakter polityczny. Konferencja domaga się odszkodowania dla tych prześladowanych, którzy przebywają obecnie w kraju — za żelazną kurtyną. Największą liczbę b. kacetowców ma Polska.

Wreszcie rezolucja podkreśla, że decyzja rządu niemieckiego nieścigania w dalszym ciągu (po 8. 5. 1965 r.) zbrodniarzy hitlerowskich wywołała wielkie zaniepokojenie we wszystkich ośrodkach. Konferencja apeluje o zmianę tej decyzji.

Rezolucja była szczegółowo omówiona w czasie konferencji w dniu 24. 11. 64 r. u Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych, w obecności przedstawicieli departamentu prawnego — z mec. Chmielewskim. Wysoki Komisarz przyrzekł poprzeć główne postulaty narodowo-prześladowanych osobiście, zarówno u kanclerza jak i ewentualnie u prezydenta Niem. Republiki Federalnej, po wstępnym omówieniu tych wszystkich zagadnień w urzędzie spraw zagranicznych przez szefa wydziału prawnego O. N. Z.

Wypadek na szosie — między Cheltenham i Sorrento

Nie ma większej męki niż jazda samochodem obok kierowcy. Z reguły prowadzi inaczej niż ty. Nie znaczy to wcale, by kierowca prowadził gorzej od ciebie. Może prowadzi lepiej. Lecz prowadzi inaczej. Ty dodałbyś gazu przy wymijaniu o ułamek sekundy przedziej. Albo zdjąłbyś nogę z gazu widząc zbliżające się światła regulacji ruchu. Albo przesunąłbyś nogę na hamulec, zamiast regulować tylko gazem.

W twoim przekonaniu towarzysz podróży robi kardynalne błędy. Lecz nie wypada ci tego powiedzieć. Bo w głębi duszy wiesz, że sam popełniałbyś także błędy. Tylko trochę inne. W tym cały sek. Moje błędy są zawsze wytłumaczalne. Jego błędy nigdy. Ale nie mówisz nic — siedzisz wparty w siedzenie i nogi cię bolą. Nogi? Dlaczego? Jasne. Nieświadomie zapierasz się nimi w podłogę, hamujesz i dodajesz gazu. W imaginacji, więc boleć cię powinna raczej głowa, a nie nogi. Lecz bolą właśnie nogi bo napinasz mięśnie i pracujesz nimi cały czas.

Na setnym, czy którymś tam kilometrze, podsuwasz towarzyszkowi nieśmiało myśl, że „może się wymienimy przy kierownicy? Może jesteś zmęczony?“. Nie jest wcale zmęczony. Zresztą to jego wóz i chce prowadzić. Co ważniejsze uważa się za lepszego kierowcę i nie ufa ci. Jedziemy więc dalej: on prowadzi a ja się męcę, wycekując w napięciu jak zareaguje na niespodzianki, których jest zawsze pełno na najlepszej szosie czy autostradzie.

Z Gloucester do Londynu wcale daleka droga. Ot, tak trzysta kilometrów z hakiem. Droga zresztą śliczna. Na szlaku leży Cheltenham, miejscowość kuracyjna po trosze a po trosze rolnicza. Słynie z doskonałych serów i z pięknej architektury z okresu „regencji“. Style i okresy historii sztuki — inaczej się nazywają w Anglii niż na kontynencie, gdzie przyjęto ogólnie nomenklaturę francuską. Ta w dużej mierze obowiązuje także w języku polskim. Lecz u Anglika określenie „meble empire“ wywołuje zmruczenie oczu w ciężkim namyśle o jaki okres i o jakie meble chodzi. Oczywiście im bardziej jest wykształcony tym łatwiej wprytomni sobie, że chodzi o okres związany z panowaniem a raczej z życiem Napoleona. My z drugiej strony musimy się trochę pogłowić by umiejscowić w czasie „okres chippendale“. W samej rzeczy pokrywa się

prawie choć nie całkiem z „empire“. W architekturze „styl regencji“ to tarysy, białe ściany obstawione prostymi kolumnami, mała ilość ozdób i nacisk na panoramę architektoniczną. W takim stylu utrzymane są okolice Regent Parku w Londynie, budowane przez sławnego architekta Nasha. W takim stylu utrzymane jest centrum mijanego przez nas Cheltenham. W tymże stylu zbudowano wiele gmachów w Warszawie za księstwa warszawskiego i w okresie do powstania listopadowego. Naprzykład Belweder lub pierwszy gmach banku polskiego. Aha, więc styl neoklasycystyczny? Tak, właśnie: neoklasycyzm i styl regencji w Anglii pokrywają się ze sobą w czasie i różnią się tylko w szczegółach. A także w ilości pozostałych do dziś gmachów.

Ciekawe to wszystko choć bardzo proste. Lubię dowiadywać się rzeczy ciekawych, lecz niekoniecznie od kierowcy samochodu, który — przysięgam — przekracza ciągle dopuszczalną szybkość, bo mu się spieszy do Londynu.

Między Cheltenham a Burford gadał trochę mniej, bo droga szła przez Cotswold Hills — Wzgórza Cotswold. Malownicza okolica. Gra barw nieprzytomnie piękna, a wsie i miasteczka wyglądają jak dekoracje teatralne.

Domy, te bardzo stare i te bardzo nowe, kryte często strzechą. Bo taka moda. Kosztowna moda, bo dach ze strzechy kosztuje znacznie więcej niż z dachówki, zwłaszcza, że — o ironio nazwy — musi być specjalnie impregnowany. To znaczy ze słomy i sitowia tak spreparowanego chemikaliami, by miał odporność na ogień podobną do płyty azbestowej.) Lecz dziś krajobraz jest zupełnie niepodobny do normalnego dla tej okolicy Anglii. Zieleni znikła pod grubą warstwą śniegu.

Drzewa (ileż tu tego i jakże piękne na wiosnę, w lecie i jesienią, gdy korony buków, grabów, klonów i dębów z dumnej zieleni przeobrażają się w zorzę płonącą czerwieni) dziś wyglądają jak srebrne kandelabry okryte skrzęcym szronem.

Ciężka zima w tym roku i niezwykła dla Anglii. Szosa oczyszczona pracowitą orką pługów śnieżnych, lecz zwężona dziwnie bo po bokach zaspy. A po mimo rozsiewanego na nawierzchni szutru, mieszanego z solą lub innymi chemikaliami wóz drga pod ręką, zarzuca, wchodzi w ześlizgi na zakrętach. Pod wieczór bierze mróz a mgiełka — biała na szczęście a nie jak w

Londynie brudno-żółta — każe mimo-woli obniżać szybkość na liczniku. Towarzysz mój milczy i prowadzi ostrożnie.

Jak każdemu z doświadczenia wiadomo milczenie kierowcy jest równie niepokojące jak zbytnia gadatliwość. Może się zmęczył? Może go sen bierze? Wiadomo, że grzejnik działa usypiająco. Zaczynam więc gadać ja, by go ożywić. Mówię, że zaraz będzie High Wycombe i czy pamięta jak przed sześciu laty, zatrzymaliśmy się tam na kolacji i spotkaliśmy tę szatynkę co to wyszła potem za Tadziką, który wtedy był z nami i podpiał sobie zdrowo, bo spotkał Anglika z którym razem byli na kursie radiowym w Centrum Wyszkożenia Pancernego w Abbassia w Egipcie? Towarzysz mój nic a nic z tego nie pamięta, czemu się dziwić nie należy, gdyż nie było go wtedy z nami, tylko był inny kolega. Zaczynam wobec tego mówić o czym innym. Lecz milknę obrażony, bo towarzysz mój zamiast się cieszyć, że mu czas umiłam, powiada nagle: Zdrzemnij się raczej, bo mi przeszkadzasz prowadzić, droga coraz cięższa i te ciężkie lory zarzucają na ślizgawicy. Jak będziesz mi zaprzętał uwagę swoim gadaniem to nie będę mógł uważać. I zapnij pas, tyle razy cię prosiłem.

Pas zapiąłem dla świętego spokoju. I chociaż dobitnie i niestety opryskliwie oświadczam, że spać nie będę. Przecież zdrzemnąłem się wcale słodko. Wiedziałem, że jadę samochodem lecz we Włoszech z Amalfi do Sorrento. Droga kręta, jak wstążka rzucona niedbale na stoki gór. Niebo lazurowe w dole Zatoką Neapilińska o tym samym co niebo kolorze. A obok mnie, nie mój mrukiwy towarzysz podróży z Gloucester do Londynu, lecz ktoś kto miał słońce w oczach a kogo ja miałem w sercu. Lecz, uwaga. Droga niebezpieczna, nie wolno mi patrzeć ani na niebo ani na morze, ani na nią. Mam patrzeć na szosę. Więc patrzę, zmieniam prędkość biegi a czujne ręce trzymam na kierownicy, delikatnie i mocno zarazem.

Budzi mnie piekielnie silne uderzenie w brzuch. Tak jakby mnie coś rozciąło naskroś, wgniatając przerażone wnętrza w stos pacierzowy. Potem rzuca mną coś w prawo, potem w lewo. Coś zgrzyta wokół mnie. Znajomy zgrzyt. Słyszany zgrzyt. Kraksa? I tak i nie. „Dobrze, żeś zapiął te pasy — syczy towarzysz — rozwalił byś głowę na amen“.

Przekora nie pozwala mi przyznać racji: to poco tak hamujesz... Przecieram zapoconą szybę rękawiczką, patrzę i przestaję się pytać poco przyjaciel zahamował. Wychodzimy z ciepłego „Fordy“ na szosę, podobnie jak kierowcy i pasażerowie kilkunastu samochodów i zielonego autobusu dalekobieżnego, już z londyńskim numerem „718“. W szybko zapadającym zmroku szosa wygląda niesamowicie. Wozy stoją w poprzek. Ogromna lora wspierała się na przydrożną zaspę. Światła przestawione z przyćmionych na pełne oświetlają ośnieżoną scenę, zapełniającą się coraz większą ilością ludzi. Tworzy się coraz większy zator, gdyż z obu kierunków ruch został zahamowany. Za chwilę setki samochodów — z Londynu i do Londynu — utworzą kilkukilometrową kolejkę. Lecz nie... kilku kierowców, chlopy na schwał w skórzanych kurtkach, pewno z ciężarówek, organizuje natychmiast oczyszczenie szosy. Robią przepust środkiem, pomagają samochodom zjechać na skraj. Wszystko odbywa się bez krzyku i bez jednego niepotrzebnego słowa, I już — a nie minęło chyba ponad trzy minuty od chwili gdy poczułem uderzenie w brzuch — kierunek do Londynu jest oczyszczony i wąż samochodów sunie wolno środkiem szosy. Już jest dwóch policjantów na motocyklach a także motocykl ratowniczy „AA“. „AA“ to „Automobile Association“ jeden z dwóch klubów samochodowych Wielkiej Brytanii. „Popatrz jak sprawnie... mówi mój towarzysz — pewnie za minutę będzie pogotowie...“

Lecz obeszło się bez pogotowia. Nie było ofiar wypadku. Nie było właściwie wypadku. Po prostu jeden z wozów — piękny nowiuteńki „Zephyr“ ześliznął się nagle na przeciwną stronę szosy, co spowodowało gwałtowne zahamowanie kilkunastu samochodów z obu kierunków. Między innymi naszego. Nikt nikogo nie stuknął nawet. Wyobrażam sobie coby się działo, gdyby choć jeden z kierowców zamiast być dobrym, był tylko przeciętnym... „Albo gdyby był pod gazem“ — dodaje przyjaciel.

Policjanci gadają coś szybko w swe nadajniki radiowe na motocyklach. Jeden z notesem w rękę rozprawia z kierowcą „Zephyra“. Kierowca jest śliczną blondynką, zaplonioną po uszy.

Spotkaliśmy ją po kwadransie w High Wycombe pijąc herbatę. Jest ciągle szeszona. Podszedłem: „Miałaś szczęście, żeby to się stało między Amalfi i Sorrento, koniec byłby inny“. „Nie mogło by się tam stać, bo tam ty prowadziłeś“ — odpowiada z uśmie-

chem, który kiedyś tak wiele dla mnie znaczył.

Polka? — dziwi się mój towarzysz — zapuszczając motor — kto to jest? Dlaczego gadaliście o Sorrento i o Amalfi?

Dlaczegośmy gadali, ba!

— To Zula — mówię krótko — wystarczy ci?

Musi wystarczyć — zgodził się gderliwie mój towarzysz.

J. P. H.

SKANPOL CZY SKANDALPOL?

Od kilku lat Kołobrzeg stał się ulubionym miejscem dla turystów szwedzkich. To też, jak pisze „Sztandar Młodych“ z 28 sierpnia, władze ludowe, doceniając ważność przywozu do kraju koron szwedzkich, postanowiły wybudować tam nowy 10-piętrowy hotel. Miał to być najnowocześniejszy hotel na całym polskim wybrzeżu; przewidywał 350 łóżek, restaurację, cocktail bar, zakład fryzjerski, pokoje klubowe, parkingi, garaże z obsługą dla samochodów.

W 1958 ministerstwo gospodarki komunalnej zatwierdziło plany i rozpoczęło budowę. Od tego czasu termin wykończenia zmieniano już pięć razy, jednak dziś, po 6 latach, zarówno ludność jak i władze miejskie Kołobrzegu utraciły nadzieję na wykończenie hotelu-giganta, któremu dla podkreślenia przyjaźni skandynawsko-polskiej, nadano nazwę „Skanpol“ Do końca lipca br. wykończono zaledwie 27 procent budowy, na co wydano już 44 procent pieniędzy zapreliminowanych na budowę. W pierwszej dekadzie lipca pracowało na budowie 8, zaś w drugiej połowie lipca już tylko 6 robotników. We wrześniu nie pokazał się już zupełnie kierownik budowy.

Dziennik dodaje, że na budowie brak dosłownie wszystkiego: materiałów, dyscypliny pracy i architekta. Naokoło budynku leżą jakieś elementy konstrukcyjne i sterty zardzewiałego żelastwa i gnijących desek.

A wewnątrz: poprzez źle wykonany dach leje się woda do dolnych kondygnacji. W wielu pokojach otynkowano tylko jedną ścianę. Rury ułożono wewnątrz murów, ale, jak się okazało, zapomniano zainstalować zawory. Ludzie kręcą się po budowie i nikt właściwie nie wie co robić i od czego zacząć. Często brak taczki wstrzymuje pracę i powoduje zastój na kilka dni.

W tej sytuacji ludność Kołobrzegu nazwała projekt „Skandalpolem“.

Z ŻYCIA POLSKIEGO W ŚWIECIE

WALNY ZJAZD SPK WE FRANCJI

W niedzielę 29 listopada odbył się w Paryżu VIII Walny Zjazd delegatów SPK we Francji. W godzinach porannych kapelan SPK ks. A. M. Stopa odprawił nabożeństwo na intencję Ojczyzny, po czym rozpoczęły się obrady.

Otworzył je przewodniczący Rady kol. A. Baranowski. Minutą ciszy zebrani uczcili pamięć zmarłych: ks. arcybiskupa Józefa Gawliny, gen. Kazimierza Wiśniowskiego, przewodniczącego Rady Głównej Federacji Światowej SPK oraz wszystkich kolegów, którzy odeszli w zaświaty w okresie ostatniego trzeciecia.

Po krótkim referacie prez. Zarządu SPK M. Czarneckiego o zadaniach i pracy tej organizacji kombatanckiej we Francji nastąpiły przemówienia gości: przedstawicieli władz politycznych, Polskiej Misji Katolickiej oraz bratnich organizacji społecznych. Wszyscy mówcy zgodnie podkreślili wybitny udział SPK w życiu polskiego społeczeństwa niepodległościowego i w walce o sprawy polskie. A przedstawiciel Rektora Polskiej Misji Katolickiej we Francji dodał: „ks. infułat Kwaśny który nie mógł przybyć na wasz Zjazd, prosił mnie, bym w jego imieniu podkreślił, że dotychczasowa, nieugięta postawa polityczna SPK we Francji, postawa budząca szacunek i uznanie, w żadnym wypadku nie może ulec zmianie w przyszłości. Tego wymaga dobro sprawy polskiej. Przemawiali kolejno: ambasador K. Morawski, ks. red. A. Stopa (Polska Misja Kat.), dr S. Paczyński (Federacja Polskich Obrońców Ojczyzny), L. Strutyński (Zw. Rezerwistów i b. Wojskowych), B. Kukuryka (Niezależny Zw. Nauczycielstwa Pol.) i P. Kalinowski (Centralny Zw. Polaków).

Obradom przewodniczył kol. A. Baranowski w asyście kolegów S. Murcharskiego, A. Trautsolta i S. Domańskiego. Sprawozdanie ogólne z działalności ustępującego Zarządu złożył kol. M. Czarnecki. Dłuższy referat o reżymowej machinie dla rozróbki emigracji polskiej we Francji i metodach jej in filtracji w społeczeństwo francuskie wygłosił kol. S. Paczyński. Sprawozdanie ze spraw organizacyjnych złożył kol. S. Domański, a ze spraw finansowych kol. G. Tysowski. Protokół Komisji Rewizyjnej odczytał kol. S. Getter. Sprawozdanie z działalności Sądu Kol. złożył kol. W. Zelenki.

W dyskusji, która się następnie wywiązała, omawiano nie tylko sprawy poruszone w sprawozdaniach, lecz tak-

że takie zagadnienia jak wychowanie młodzieży i Polskie Liceum w Les Ageux, Skarb Narodowy, opieka nad grobami i dom w Lailly en Val. Zjazd raz jeszcze wykazał, że SPK we Francji jest głównym inicjatorem i wykonawcą wszelkiej pracy niepodległościowej. Jest ono też głównym przedmiotem zarówno bezpośrednich, brutalnych ataków jak i podziemnej perfidnej roboty agentów reżymowych. I jedno i drugie przynosi mu tylko zaszczyt.

Ustępujący Zarząd otrzymał absolutorium z podziękowaniem, a kol. G. Tysowski podziękowanie za należytą troskę o sprawę finansowe.

Zjazd dokonał wyboru nowych władz oraz delegatów na przyszły Światowy Zjazd SPK, który odbędzie wiosną 1966.

Rada: A. Baranowski — przewodniczący; E. Tuszewski, T. Parczewski, J.

Serafiński, J. Dobek, S. Horodyński, S. Mucharski, Z. Skolski, S. Słysz, W. Terlikowski, A. Tokarski, A. Trautsołt, T. Wallich, J. Switaj i W. Krzysztoń — członkowie

Zarząd: M. Czarnecki — prezes; S. Paczyński, S. Domański, K. Szabelski, J. Nomarska, C. Chowaniec, i M. Jurkiewicz — członkowie.

Komisja Rewizyjna: S. Getter — przew.; M. Zołnowski, J. Gossin — członkowie.

Sąd Koleżeński: T. Wyrwa — przew.; W. Zeleniński, T. Czajkowski, Z. Laskowski, J. Lipowicz, K. Mihałka, S. Młodzianowski, M. Protasewicz, F. Rynikiewicz — członkowie.

Delegaci na W. Zjazd SPK: A. Baranowski, M. Czarnecki, S. Paczyński, K. Szabelski.

HOJNY OFIARODAWCA

W listopadowym numerze „Orla Białego“ zamieściliśmy krótką notatkę zatytułowaną „Książki dla Uniwersytetu“, informując czytelników, iż w związku z zamiarem uruchomienia w najbliższej przyszłości katedry słowiańskiej na Uniwersytecie Canberra, Zarząd SPK w Australii postanowił ofiarować dla lektoratu polskiego bibliotekę obejmującą w pierwszym rzędzie dzieła klasyków polskich, a następnie opracowania naukowe o Polsce zarówno w języku rodzimym jak i angielskim.

Rozporządzając ograniczonymi funduszami na ten cel, Zarząd SPK zwró-

cił się za naszym pośrednictwem z apelem do instytucji oraz osób prywatnych o książki dla przyszłej biblioteki uniwersyteckiej.

Wezwanie to znalazło natychmiastowy oddźwięk. Do Zarządu Federacji SPK w Londynie kilka osób nadesłało dary, wśród których znajdują się bardzo wartościowe dzieła. Dziękując im z całego serca za ten piękny dowód troski o szerzenie znajomości kultury polskiej w świecie, pragniemy w pierwszym rzędzie skierować te słowa do p. Tadeusza Biernakiewicza z Hove, który ofiarował ok. 250 tomów, prawdopodobnie więk-

szość swego zbioru. Uniwersytet Jagielloński obchodził w ub. roku 600-lecie swego istnienia. Tadeusz Biernakiewicz, sam wychowanek tej uczelni-jubilatki, złożył jej indywidualny hołd ofiarowując swój księgozbiór na rzecz nowo powstającego ośrodka studiów polonistycznych.

W KILKU SŁOWACH...

Polacy w Australii przeprowadzają zbiórki na budowę kościoła w Marayong (Nowa Płd. Walia). Kościół ten, pod wezwaniem Najśw. Panny Marii Królowej Polski, jako „Polish War Memorial Chapel“, będzie pomnikiem dla Polaków poległych w ciągu tysiąclecia w obronie wiary i ojczyzny.

Koło AK w Kanadzie ufundowało tablicę pamiątkową ku czci lotników kanadyjskich, poległych w lotach do Polski, szczególnie w okresie Powstania Warszawskiego. W uroczystości odsłonięcia tablicy wziął udział premier Kanady Lester B. Pearson. Przekazania tablicy w imieniu AK dokonał Stefan Korboński.

13 grudnia w Domu SPK w Toronto, Kanada otwarto staraniem Koła SPK nr 20 wystawę filatelistyczną o tematyce obrazującej historię Polskich Sił Zbrojnych w znaczkach i stemplach pocztowych. Znaczki pochodzą z kolekcji dra med. Henryka Fenigsteina.



Sukces polskiego rzeźbiarza-karykaturzysty na londyńskiej wystawie rzeźby portretowej Głowy Quintin Hogga, Alec Home'a, Chruszczowa i prez. L. B. Johnsona w wykonaniu Stefana Barana

Koło SPK nr 34 w Pittsburgu, USA zebrało 1218 dolarów na pomoc inwalidom wojennym Polskich Sił Zbrojnych. Zbiórki przeprowadzano w parafiach polskich.

W St. Catherines, prowincji Ontario założono nowe koło SPK. Ogółem w ciągu r. 1964 powstały w Kanadzie 3 nowe koła.

Nowe koło powstało również w Geelong w Australii. Dzięki pracy Komitetu Organizacyjnego pod przewodnictwem kol. A. Lipkowskiego oraz zachęcie ks. kan. Jaroszki, duszpasterza polskiego w Geelong 30 b. wojskowych wstąpiło w szeregi organizacyjne.

W parafii Najświętszej Rodziny w Pittsburgu, Pa, USA za zezwoleniem miejscowego biskupa Johna Wrighta wprowadzono język polski do nabożeństw. Miejscowe Koło SPK wydało przy tej okazji odezwę wyrażającą nadzieję, że inne parafie pójdą również tym śladem.

Koło SPK w Perth, Szkocja posiada własny Dom Kombatanta. Uroczystość otwarcia z udziałem Lorda Provosta i jego małżonki, odbyła się 28 listopada 1964.

W Domu Kombatanta w Huddersfield, W. Brytania uruchomiono świetlicę dla młodzieży. Poświęcenia lokalu dokonał ks. proboszcz J. Dryżałowski. W uroczystości wzięły udział prezes krajowego SPK S. Soboniewski.

Sprawą młodzieży interesuje się żywo także Koło SPK w Scunthorpe, które wspólnie z Komitetem Rodzicielskim postanowiło zorganizować Klub Młodzieżowy przy Domu Kombatanta.

Doroczna wycieczka-pielgrzymka do Włoch połączona z udziałem w uroczystości złożenia hołdu poległym na Monte Cassino odbędzie się w maju 1965.

Staraniem Komitetu wyłonionego przez organizacje polskie w Holandii urządzono w Amsterdamie, Holandia, w listopadzie ub.r. wystawę, której celem było przedstawienie w skrócie dorobku Polaków w tym kraju.

Z PRAC BIURA STUDIÓW SPK

W dniach 28 listopada i 19 grudnia odbyły się dwa kolejne zebrania Biura Studiów przy Zarządzie Federacji SPK, na których dyskutowano nad referatem inż. J. Żaby „Współpraca Polskich Organizacji Niepodległościowych w Świecie“. W wyniku debat nad wspomnianym referatem uchwalono tezy programowe uzasadniające potrzebę powołania Światowego Kongresu Polaków.

ZGON UCZONEGO POLSKIEGO

12 listopada zmarł na atak serca kol. dr Feliks M. Kiciński, ppor. art. 2 Korpusu, założyciel Koła SPK nr 5, Canberra. Zmarły osierocił żonę i 2 dzieci. Dr Kiciński zmarł w Sydney, gdzie pracował od roku w firmie naftowej „Continental Oil Company“. Był on jednym z poważniejszych polskich paleontologów w Australii, a jego znajomość otwornie kredowych, szczególnie Nowej Gwinei, była wysoko ceniona. Pracował przez szereg lat w Bureau of Mineral Resources w Canberra, w firmach naftowych na Nowej Gwinei, w N. Zelandii oraz w Trynidadzie.

Sp. PŁK BEHCZYC-RUDNICKI

17 grudnia 1964 zginął w wypadku samochodowym koło Innsbrucka płk Adam Behczyc-Rudnicki. Pochowany został na cmentarzu Solbad Hall w Austrii.

Płk Rudnicki był żołnierzem P.O.W. i I Brygady Legionów. Przed drugą wojną światową redagował dziennik „Polska Walcząca“. W Austrii, gdzie osiadł, interesował się życiem zbiorowym miejscowej Polonii i był jednym z założycieli Stowarzyszenia Polskiej Kultury w Widniu.

ZJEDNOCZENIE POLEK

W Ognisku Polskim w Londynie odbyło się doroczne Walne Zebranie Zjednoczenia Polek na Emigracji.

O swojej działalności kobiety mało mówią i mało piszą w prasie, chociaż mają bardzo pozytywne osiągnięcia: prowadzą własny, dobrze prosperujący hotel, w którym jest także siedziba organizacji, miejsce zebrania członków, pracy społecznej.

Zjednoczenie Polek dało dużo pracy przy zakładaniu Domu im. Ojca Kolbe, hostelu dla starszych pań i nadal bierze czynny udział w jego administracji. Ponadto stale zajmuje się wysyłką paczek do Polski dla dzieci i samotnych kobiet. W ciągu roku wydano gotówką ponad £300 na pomoc dla Kraju i wysłano ponad 4.000 lbs. odzieży. Pamięta o chorych w szpitalach londyńskich, urządza bazy, imprezy towarzyskie, odczyty, wieczory dyskusyjne; wydaje własne pismo „Głos Kobiet“.

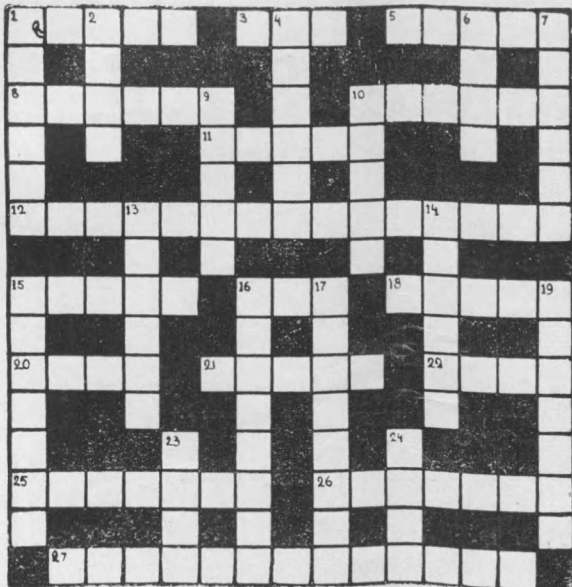
Członkinie Zjednoczenia dokonały imponującego wyczynu: dysponując bardzo skromnymi funduszami, kupiły dwa domy na Earl's Court, w bliskim sąsiedztwie swojego hotelu.

Część domu zajmują lokatorzy, trzy pomieszczenia przeznaczono dla zebrania i pracy organizacji, w pozostałych mieszkają członkinie.

Na Walnym Zebraniu — jednogłośnie — wybrano zarząd w poprzednim składzie.

Zebraniu przewodniczyła p. Lidia Ciołkoszowa. Do prezydium weszły pp.: I. Komorowska i J. Rybińska. Sekretarzowały: pp. H. Bohdanowiczowa i R. Mądra. W skład zarządu na rok 1964/65 weszły: A. Januszajtis — przewodnicząca, E. Zamoyska — wiceprzewodnicząca; M. Brzezińska — sekretarka; J.D. Czernecka — skarbniczka oraz pp. Z. Michałowska, M. Narzymba, T. Rutkowska, H. J. Stankiewiczowa, M. Sulkowa i H. Witkowska. Z limited'u wchodzi do Zarządu: pp. J. Hausnerowa, Z. Gergovich, I. Komorowska. Komisja rewizyjna: pp. T. Daumanowa, I. Gruszkowa, I. Malewska, A. Moszczyńska. Sąd koleżeński: pp. A. Dabanowiczowa, M. Pawłowska, N. Tabaczyńska.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Przedstawicielstwo we Francji: „SYRENA-ELKA“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.). Przedstawicielstwo w MIDLANDACH angielskich: T. Podgórski — 19, Park View Road, Bradford 9. W BELGII: J. Korab-Brzozowska-Csaky, 116 rue Joseph II, Bruxelles 4, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Liccia 19, Roma; w ARGENTYNI: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bieńkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy.



ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) „... albo Dzikie Mąz“ (Kochanowski); 3) kwiat; 5) brudny i wysmarowany; 8) wydarzenie; 10) odpoczynek w ruchu; 11) kraj Ptolomeuszów; 12) fanfaron w konkursach na scenie (6, 1, 8); 15) wielki historyk rzymski; 16) ptak; 18) złoty środek?; 20) i 22) karnawałowy order?; 21) robimy przeważnie to w nocy (wspak); 25) herb rodziny; 26) strój, który polecał Mickiewicz; 27) brak manier.

Pionowe: 1) urzędnik policyjny w Ameryce; 2) znaczek oplaca mu drogę (wspak); 4) inaczej niż

wczoraj? (wspak); 4) cecha elektronów; 7) gdy się go najesz, boisz się?; 9) w rondelku i w kapeluszu; 10) ciągle; 13) pytający ptaszek?; 14) wrzawa i zamieszanie; 15) planowanie z podpórką; 16) w towarzystwie innej osoby; 17) pomoc; 19) był nim major Plut; 23) w więzieniu male (wspak); 24) materiał z Tybetu?

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 566/64

Poziome: 1) Tunis, 3) źle, 5) bożek, 8) Roland, 10) zbytki, 11) ekipy, 12) nadspodziewanie, 15) kudły, 16) Pan, 18) chęci (wspak), 20) i 22) zgrzyzota, 21) Uzbek, 25) Marengo, 26) rezerwa, 27) niebieski ptak.

Pionowe: 1) termin, 2) i 6) należyty, 4) Lubiec, 7) knieje, 9) demon, 10) zydel, 13) soltys, 14) asceza, 15) smoczek (wspak), 16) przeboje, 17) nieborak, 19) czaprak, 23) Bona (wspak), 24) Piza (wspak).

UWAGI PRZYDROŻNE

Nikt tak nie nienawidzi człowieka, który w otwartym i odważnym zmaganiu się zdobył władzę, jak ambitny tchórz, który przegrał walkę o władzę dlatego, bo bał się walczyć o nią otwarcie.

Kto zbyt często ma słuszość, ma dużo wrogów.

Dobry aforyzm nie polega na odkryciu nowej prawdy, tylko na sposobie podania starej.

Niewiadomo nigdy, czym się poczuje dotknięty człowiek, obciążony kompleksem niższości.

Trzeba się czasem umówić, że czerwone światło, które się w drodze zapaliło między dwojgiem ludzi, nie jest czerwone, ale zielone. W przeciwnym razie ludzie ci mogą się nigdy nie spotkać.

Tak zwane „gaffy“ popelnia każdy człowiek — jedni z powodu braku wychowania, drudzy mimo dobrego wychowania a wreszcie trzeci z nadmiaru dobrego wychowania.

Nie martw się więc, gdy spostrzeżesz, że popelniles „gaffę“. Znajomi twoi popelnili względnie popelniają również, jeżeli nie dzisiaj, to jutro.

Głupcowi należy na czas przyciąć język, żeby nie być później zmuszonym do ucinania mu głowy.

SZYBKIE



PRZEKAZY

PIENIĘŻNE

DO POLSKI

TAZAB

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W. 7.

Tel. FRE 3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100 East 10th St., N. York 3. NY.

WE FRANCJI:

PACZKI do POLSKI i ROSJI

LEKARSTWA!

LEKARSTWA!

ELKA S.A.R.L. 20 rue Legendre,
Paris 17-e.

BILETY

KOLEJOWE,
SAMOLOTOWE,
OKRĘTOWE

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio
z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.
Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street
Tel. MID 1526

KSIĘGARNIA S.P.K.

(P. C. A. PUBLICATIONS LTD.)

20, QUEENS GATE TERRACE — LONDON, S. W. 7.

Tel.: KNightsbridge 3500

KSIĘGARNIA OTWARTA:

codziennie w godz. 10 — 7 ppł.

soboty w godz. 10 — 4 ppł.

Stale na składzie: prasa i książki emigracyjne i krajowe oraz
wydawnictwa i podręczniki szkolne dla dzieci i młodzieży.

Biblioteki, szkoły i Koła S.P.K. otrzymują specjalny rabat.

ZAMÓWIENIA POCZTOWE załatwiamy odwrotnie.

Zapraszamy wszystkich do odwiedzenia naszej księgarni, bogato
zaopatrzonej i przyjemnie urządzonej.

Naszych Klientów i Przyjaciół prosimy o łaskawe kierowanie Swych
znajomych do Księgarni S.P.K.



ZMIANA ADRESU

BIURO PODRÓŻY



ANGLOPOL TRAVEL LTD.

tuż przy stacji SOUTH KENSINGTON

38, THURLOE PLACE

LONDON, S. W. 7 — Tel.: KENSington 3223

(róg Exhibition Road — na szlaku Daquise—Ognisko)

Wszelkie Bilety, Sprowadzanie Krewnych, Wizy,
Bony Hotelowe, Wakacje, Przekazy pieniężne.

PRZEKAZY PIENIĘŻNE

Paczki „Do Wyboru“ — Przesyłki Wolne Od Cła

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA

L I M I T E D

na 81, Cromwell Rd., London, S.W. 7 — Tel.: FRE 7888

KSIĘGARNIA I DOM
WYDAWNICZY



GRYF

169-171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11. Tel. BAT 1445

POLECA WIELKI
WYBÓR KSIĄŻEK
POLSKICH

Przedstawicielstwo na Wielką
Brytanię

MIESIĘCZNIKA
KULTURA

Administracja miesięcznika
ORZEŁ BIAŁY